

Polska Zbrojna

95
LAT

NR 9 (845) WRZESIEŃ 2016

CENA 6,50 Zł (w tym 8% VAT)

INDEKS 337 374 ISSN 0867-4523

TESTY KORMORANA

NOWOCZESNY NISZCZYTEL
MIN DLA POLSKICH
MARYNARZY

MEHMETÇIK PO PRZEJŚCIACH

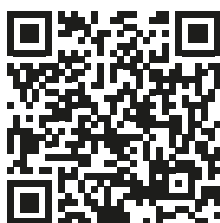
REWOLUCYJNE
ZMIANY W ARMII
TURECKIEJ

DEBATA POLSKI ZBROJNEJ

Zbrojeniowy azymut



200 stron **fotografii lotniczych** *zespołów akrobacyjnych z całego świata*



*Obejrzyj
fragment
albumu*

Jedyny taki album w Polsce
zamów u nas ↙

BIBLIOTEKA POLSKI ZBROJNEJ

sekretariat@zbrojni.pl tel.: (48) 261 845 365, (48) 261 840 400

Z SZEREGU WYSTĄP



IZABELA
BORAŃSKA-
-CHMIELEWSKA



INWESTYCJE W POLSKI PRZEMYSŁ ZBROJENIOWY TO PRIORYTET W DZIAŁANIACH KIEROWNICTWA RESORTU OBRONY NARODOWEJ.

Marynarka wojenna, obrona powietrzna, cyberprzestrzeń, wojska pancerne i obrona terytorialna – to główne obszary sił zbrojnych ujęte przez resort w planach rozwoju na najbliższe trzy lata. Zdaniem uczestników debaty, która odbyła się w redakcji miesięcznika „Polska Zbrojna”, polski przemysł zbrojeniowy jest najlepiej rozwinięty w naszej części Europy, jednak aby w pełni wykorzystać jego potencjał, są potrzebne długoterminowe strategie i komunikacja na linii przemysł – wojsko w kwestii potrzeb. Jak podkreślali nasi rozmówcy, reprezentanci Departamentu Polityki Zbrojeniowej MON, Inspektoratu Implementacji Innowacyjnych Technologii Obronnych i Polskiej Izby Producentów na rzecz Obronności Kraju, jest kilka obszarów strategicznych, które dla bezpieczeństwa państwa muszą być utrzymane w Polsce. Obejmują one: produkcję maszyn bezzałogowych, ochronę i przetrwanie wojsk, nowe materiały, kryptologię i – co bardzo ważne – amunicję.

Idealnym miejscem do debat na temat planów i możliwości polskiego przemysłu zbrojeniowego jest 24. już Salon Przemysłu Obronnego w Kielcach, który rokrocznie przyciąga czołowe światowe koncerny branży zbrojeniowej. Dziennikarze „Polski Zbrojnej” będą czynnie brać udział w tym wydarzeniu, inicjując spotkania i debaty z ekspertami.





Zdjęcie na okładce:
Michał Wajnchold

NR 9 (845)
WRZESIEŃ 2016

TEMAT NUMERU

IZABELA BORAŃSKA-CHMIELEWSKA,
TADEUSZ WRÓBEL

10 / W poszukiwaniu zbrojeniowego azymutu

Sławomir Kułakowski, Dariusz Momot,
Bogdan Kawalec dyskutują o polskiej
zbrojeniówce.

ROBERT CZULDA

19 / Wielka piątka

Kto rządzi amerykańskim rynkiem
zbrojeniowym?

TADEUSZ WRÓBEL

23 / Rozgrywający w regionie

Lider produkcji dla wojska w Ameryce
Południowej.

RAFAŁ CIASTOŃ

27 / Rewolucja w kraju Haszymidów

Jordania to dobry przykład na to, jak
sprawnie rozwijać rodzimy przemysł
zbrojeniowy.



ARMIA

ŁUKASZ ZALESIŃSKI

30 / Kormoran na szerokich wodach

Nowoczesny niszczyciel min dla
polskiej marynarki w połowie lipca
rozpoczął próby morskie.

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

36 / Flota dla VIP-ów

Jakie będą samoloty dla
najważniejszych osób
w państwie?

MARCIN GÓRKA

38 / Wstęga do lamusa

O tym, czy nadszedł już czas
na wymianę sprzętu dla wojsk
inżynieryjnych do budowania
przepraw.

ANNA DĄBROWSKA

42 / Rosomaki w kopalni

Polacy na ćwiczeniach w Estonii.

KRZYSZTOF WILEWSKI

46 / Bez zakłóceń

„CWIX '16” – nauka współdziałania
wojsk NATO.

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

49 / Zastrzyk nadziei

Refleksje ze spływu kajakowego
zorganizowanego dla weteranów
misji i ich rodzin.

KRZYSZTOF WILEWSKI

52 / Spece od liftingu

W cyklu „Wojsko od kulis” –
16 Żuławski Batalion Remontowy.

BOGUSŁAW POLITOWSKI

58 / Gen obronności

Jan Maciejewski o grupach
paramilitarnych i proobronnych
oraz o polskim patriotyzmie.

PAULINA GLIŃSKA

62 / Kto wstąpi do OT?

Rozpoczęła się rekrutacja do wojsk
obrony terytorialnej.

Znajdziesz nas tutaj:





ARSENAŁ

ROBERT CZULDA

70 / Lot w przyszłość

Departament Obrony USA zainicjował program FVL, który zrewolucjonizuje amerykańskie lotnictwo śmigłowcowe.

PAULINA GLIŃSKA

75 / Master po polsku

Na pytania o M-346 odpowiada ppłk pil. Marek Kejna.

STRATEGIE

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

84 / Nakręcanie spirali przemocy

Wywiad z Ryszardem Machnikowskim o faktach i mitach dotyczących terroryzmu.

MICHAŁ ZIELIŃSKI

90 / Każ nam zginąć, a zginiemy

Zamach stanu oczami młodych Turków.

MATEUSZ CHUDZIAK

95 / Mehmetçik po przejściach

Czy turecka armia zdoła podźwignąć się po lipcowych wydarzeniach?

TOMASZ OTŁOWSKI

98 / Talibowie grają na czas

Terroryści cierpliwie czekają, aż świat na dobre zapomni o Afganistanie.

ROBERT SENDEK

108 / Lot z problemami

Kryzys w bułgarskich siłach powietrznych.

HISTORIA

PIOTR KORCZYŃSKI

112 / Bitwa o mapy

O działalności konspiracyjnych kartografów w czasie II wojny światowej.

JACEK JAWORSKI

118 / Zapomniany aliant

W 1939 roku w Polsce powstała formacja wojskowa złożona z czeskich i słowackich uciekinierów.

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

122 / Wszystkich nie odnajdziemy nigdy

Krzysztof Szwagrzyk o pracach związanych z poszukiwaniem i identyfikacją żołnierzy pomordowanych w latach 40. i 50.

JAKUB NAWROCKI

128 / Bateria śmierci

Kulisy i przebieg tragicznej bitwy pod Dytiatynem.

TADEUSZ WRÓBEL

132 / Przeciwnik samolotów

W cyklu „Niezwykłe maszyny” – lekkie krążowniki przeciwlotnicze.

HORYZONTY

JACEK SZUSTAKOWSKI

136 / Żołnierze na medal

Sportowcy w mundurach na olimpiadzie w Rio de Janeiro.

KADR





DEFILADA UŚWIETNIŁA ŚWIĘTO WOJSKA POLSKIEGO.
Wzięło w niej udział blisko 1,5 tys. polskich żołnierzy
oraz około 200 z kilkunastu innych państw.

➤ Więcej na ten temat na str. 8-9

FOT. MICHAŁ NIWICZ



ROBERT SIEMASZKO/CO-MON

Wojskowy dzień

Żołnierze świętowali 96. rocznicę Bitwy Warszawskiej.

Umordowana Polska, która dopiero co odrodziła się po ponad stu latach zaborów, broniła swojej słabutkiej wtedy państwowości. To dzięki ówczesnym żołnierzom dziś możemy być dumni z wielkiej tradycji naszej wojskowości”, mówił prezydent Andrzej Duda podczas uroczystości z okazji Święta Wojska Polskiego. Minister Antoni Macierewicz podkreślił, że 15 sierpnia przypominamy o zasługach żołnierzy, którzy w 1920 roku obronili ojczyznę przed bolszewickim najazdem.

Obchody uświetniła defilada wojskowa. Można było zobaczyć przelot śmigłowców, m.in. Mi-17 i Mi-24, oraz samolotów transportowych C-130 Hercules i C-295 CASA, a także myśliwców Su-22, MiG-29 i F-16. Warszawiacy podziwiali też kołowe transportery opancerzone Rosomak, samobieżne armatohaubice kalibru

152 mm Dana, wyrzutnie rakietowe WR-40 Langusta, czołgi Leopard 2A5, 2A4 oraz PT-91, a także amerykańskie uzbrojenie – czołgi Abrams, wóz zabezpieczenia technicznego Hercules i transportery Bradley. W sumie w defiladzie uczestniczyło blisko 1,5 tys. polskich żołnierzy oraz około 200 żołnierzy z kilkunastu innych państw. Po paradzie w parku Agrykola odbył się żołnierski festyn.

W przeddzień święta ponad 200 osób otrzymało z rąk ministra obrony odznaczenia państwowe, resortowe oraz nominacje na wyższe stopnie wojskowe. Cztery oddziały oraz dziesięciu żołnierzy wyróżniono wpisaniem zasług do „Księgi honorowej Wojska Polskiego”, 24 osoby otrzymały honorowy tytuł Zasłużony Żołnierz Rzeczypospolitej Polskiej. Minister Macierewicz wręczył także 55 aktów mianowania na wyższe

stopnie oraz stanowiska służbowe, a siedmiu osobom przyznano medale „Siły Zbrojne w Służbie Ojczyzny”. Ponad stu żołnierzy i pracowników wojska zostało także uhonorowanych medalami „Za Zasługi dla Obronności Kraju”. Na stopień porucznika zostali mianowani uczestnicy powstania warszawskiego – sanitariuszki i łączniczki: ppor. Ewa Jeglińska i ppor. Barbara Otwinowska oraz ppor. Jerzy Ogłędzki, który w czasie powstania był dowódcą drużyny i brał udział w walkach na Woli, Powązkach i w Śródmieściu.

Z kolei podczas uroczystości w Ossowie, gdzie w 1920 roku Wojsko Polskie po raz pierwszy w czasie Bitwy Warszawskiej pokonało Armię Czerwoną, szef MON-u złożył wieńce pod Krzyżem Pamięci ks. Ignacego Skorupki oraz na Cmentarzu Bohaterów 1920 roku. PZ, MC, JT ■



Generalskie gwiazdki

Trzech pułkowników, na wniosek ministra obrony narodowej, zostało mianowanych generałami brygady, a pięciu generałów dostało kolejną gwiazdkę. Do stopnia generała broni zostali awansowani: gen. dyw. Michał Sikora oraz gen. dyw. Leszek Surawski. Gen. Sikora jest pierwszym zastępcą szefa Sztabu Generalnego Wojska Polskiego. Wcześniej był związany z Dowództwem Generalnym Rodzajów Sił Zbrojnych. Z kolei gen. Surawski od marca pełni funkcję inspektora wojsk lądowych w DGRSZ. Kolejną gwiazdkę dostało trzech generałów brygady. Wśród nich gen. bryg. Rajmund Andrzejczak, dowódca 12 Dywizji Zmechanizowanej. Awansował też gen. bryg. Marek Sokołowski, dowódca 16 Dywizji Zmechanizowanej w Elblągu. Trzeci jest gen. bryg. Andrzej Reudowicz, dowódca Połączonego Centrum Działania Bojowych NATO w Stavanger.

Do stopnia generała brygady prezydent awansował trzech pułkowników. Pierwszą generalską gwiazdkę dostał płk Robert Głęb, dowódca Garnizonu Warszawa. Generałem został też płk Wojciech Marchwica, szef Zarządu Wojsk Aeromobilnych i Zmotoryzowanych w DGRSZ. Prezydent mianował też na wyższy stopień płk. Stanisława Żmudę, dyrektora Departamentu Wojskowej Służby Zdrowia w MON i szefa Służby Zdrowia Wojska Polskiego. PZ, PG ■

Podwyżki dla żołnierzy

Wynagrodzenie żołnierza wzrośnie średnio o około 380 zł.

Tak wynika z rozporządzenia, które na wniosek ministra obrony podpisał prezydent Andrzej Duda. Zgodnie z zasadami wyliczania uposażeń dla służb mundurowych, przez ustalony wskaźnik mnoży się kwotę bazową, którą co roku rząd określa w ustawie budżetowej. Od 2009 roku wynosi ona 1523,29 zł. Wskaźnik, na którego podstawie jest obliczane średnie wynagrodzenie żołnierzy, wynosił od początku 2016 roku 2,95, teraz będzie to 3,20, dzięki czemu przeciętne wynagrodzenie żołnierza wzrośnie z 4493,71 zł brutto do 4874,53 zł.

Nowe rozwiązanie będzie obowiązywało od 1 stycznia 2017 roku. „To będzie największa podwyżka od ośmiu lat”, mówi płk Marian

Babuška, przewodniczący Konwentu Dziekanów Korpusu Oficerów Zawodowych. Dotychczasowe przeciętne wynagrodzenie żołnierza było niższe niż pensje innych służb mundurowych. „Ten krok ma służyć wyrównaniu wynagrodzeń oraz dowartościowaniu sił zbrojnych, których rola dla bezpieczeństwa kraju niepomniernie wzrasta w obecnej sytuacji międzynarodowej”, informował Paweł Soloch, szef Biura Bezpieczeństwa Narodowego.

W ciągu najbliższych miesięcy zapadnie decyzja, czy wszyscy żołnierze dostaną podwyżkę w tej samej wysokości, czy też wzrost płacy będzie uzależniony od stopnia i zajmowanego stanowiska. Podział środków należy do ministra obrony. PZ, PG, MKS ■

Nauka na rosomakach

Do Wrocławia trafią symulatory dla dowódców plutonów.

Wyższa Szkoła Oficerska Wojsk Lądowych we Wrocławiu podpisała umowę na dostawę nowego typu symulatorów kołowych transporterów opancerzonych Rosomak. Od jesieni 2016 roku dowódcy plutonów piechoty zmotoryzowanej rozpoczną naukę na nowym systemie do szkolenia taktycznego, który dostarczy firma Trinity Interactive z Warszawy. Urządzenie będzie się składać z czterech modułów bojowych, czterech modułów dla kierowców, pięciu stanowisk dowódcy drużyny lub plutonu oraz jednego stanowiska omówienia

ćwiczeń. Moduły będą odwzorowanymi w skali 1:1 przedziałami funkcjonalnymi rosomaków. Mają być także wyposażone we wszystkie podstawowe urządzenia i systemy, którymi dysponują załogi KTO. To, co się dzieje na zewnątrz, będzie wyświetlane na umieszczonych wokół kabiny monitorach LCD. PZ, KW ■



SPROSTOWANIE

W sierpniowym numerze „Polski Zbrojnej” w materiale „Pilot z pazurem” podaliśmy niewłaściwe imię płk. pil. Rościsława Stepaniuka.

TEMAT NUMERU

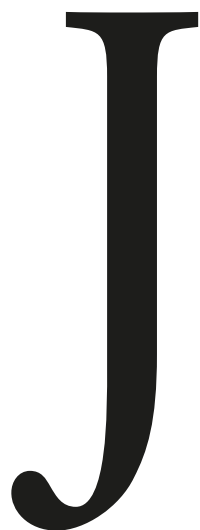
/ PRZEMYSŁ ZBROJENIOWY

W POSZUKIWANIU ZBROJENIOWEGO AZYMUTU

*Z Bogdanem Kawalcem, Sławomirem
Kułakowskim, Dariuszem Momotem*

**o polskim przemyśle obronnym, stojących przed nim
wyzwaniach i rysujących się szansach rozmawiają
Izabela Borańska-Chmielewska i Tadeusz Wróbel.**





aka jest kondycja polskiej zbrojeniówki?

Sławomir Kułakowski: Mamy najlepiej rozwinięty przemysł zbrojeniowy w tej części Europy. Udało się tego dokonać dzięki siłom zbrojnym, które lokowały w krajowych firmach różne zamówienia. Bardzo niepokojące jest zaś utożsamianie polskiej zbrojeniówki wyłącznie z sektorem kontrolowanym przez państwo. Odchodzimy od dotychczasowej sytuacji, kiedy to wszyscy producenci płacący podatki w Polsce byli traktowani jednakowo. Sekowanie firm prywatnych spowoduje, że zmienią one profil produkcji, przeniosą się za granicę albo upadną. Tymczasem to właśnie one są dostawcami wielu komponentów do finalnych wyrobów powstających w spółkach należących do Polskiej Grupy Zbrojeniowej. Dlatego to PGZ powinno zależeć na wspieraniu firm prywatnych, bo siedzi razem z nimi na jednej gałęzi. Jej plany bycia najsilniejszym graczem na rynku zbrojeniowym w tej części Europy bez krajowych poddostawców pozostaną mrzonkami.

Dariusz Momot: Znam wiele firm, które są poza Polską Grupą Zbrojeniową, a oferują bardzo wysokiej jakości produkty całkowicie polskie. Oprócz tego podmioty prywatne bardzo efektywnie korzystają z funduszy zagranicznych, np. Europejskiej Agencji Obrony.

Bogdan Kawalec: Jeśli zatem w przyszłości PGZ zdecyduje się na alians z partnerem zagranicznym i dojdzie np. do wymiany akcji, to czy przestanie ona być firmą polską? Państwo powinno stworzyć takie warunki funkcjonowania, by producenci prywatni, polscy czy zagraniczni, byli zainteresowani produkcją zbrojeniową na terenie naszego kraju.

Sławomir Kułakowski: Jest jednak sporo problemów do rozwiązania, zwłaszcza na pozio-

mie politycznym. Ostatnia wieloletnia strategia dotycząca naszego przemysłu obronnego skończyła się w 2012 roku. Niestety nie została podsumowana, nie stwierdzono więc, jakie popełniono błędy i czego nie zrobiono. Minęły cztery lata i nie ma nowej strategii dla tej branży, która uwzględniałaby zmiany w przepisach prawnych, kierunki niszowe, byśmy nie szli szeroką ławą, rozpraszając fundusze na badania i rozwój. Nie ma strategii promocji eksportu zbrojeniówki, bo nikt nie przeprowadził analizy, co tak naprawdę z naszych produktów można sprzedać za granicą.

Może część polskich firm nie chce tego, bo się zdarza, że MON płaci więcej za produkt rodzimy niż zagraniczny?

Dariusz Momot: Owszem, zdarza się, że produkt zagraniczny jest tańszy od rodzimego. Ale są nieekonomiczne powody, żeby kupować nasz wyrób. Podobnie robią Stany Zjednoczone, gdzie do pewnej granicy cenowej nabywa się droższe wytwory krajowe.

Sławomir Kułakowski: Należy uwzględnić rachunek ekonomiczny ciągniony. Za granicą kupujemy „goły” produkt, a nasz jest obciążony m.in. podatkami. Oprócz tego niekiedy kluczowe znaczenie dla bezpieczeństwa państwa ma utrzymanie pewnej produkcji w kraju, mimo że jest kosztowniejsza od importu.

Dariusz Momot: Zgadzam się, że na wysokość ceny mają wpływ inne czynniki. To m.in., że jest konieczne utrzymanie produkcji i dostaw w czasie szeroko rozumianego kryzysu.

Sławomir Kułakowski: Niestety, często resort zdaje sobie sprawę z tego, że jego warunki nie mogą być spełnione i, zamiast wy-



JAROSŁAW WIŚNIEWSKI

Państwo powinno stworzyć warunki, by wytwórcy byli zainteresowani produkcją zbrojeniową na terenie Polski

PPŁK BOGDAN KAWALEC

Jest szefem Wydziału Analiz w Oddziale Analiz i Programowania Departamentu Polityki Zbrojeniowej. Absolwent Wydziału Elektroniki Wojskowej Akademii Technicznej. W 1999 roku rozpoczął pracę w Departamencie Rozwoju i Wdrożeń MON, który w następnym roku przekształcił się w Departament Polityki Zbrojeniowej MON.

dłużyć ów czas dostaw, akceptuje to, że poniesie dodatkowe koszty.

Może względy bezpieczeństwa powinny być ważniejsze od ekonomii?

Sławomir Kułakowski: Jeżeli nie będziemy uwzględniać warunków ekonomicznych, to nawet jeśli nasze produkty będą dobre i znajdą nabywcę w kraju, nie staną się konkurencyjne za granicą, bo ich ceny okażą się oderwane od rzeczywistości.

Resort obrony zamierza uczynić z rodzimego przemysłu obronnego głównego dostawcę uzbrojenia i sprzętu wojskowego.

Bogdan Kawalec: Pogląd, że polski przemysł ma być głównym dostawcą wojskowego sprzętu technicznego dla naszych sił zbrojnych, jest znany od dawna, bo ma związek z bezpieczeństwem państwa. Trudno jednak nie podnieść jednej bardzo ważnej kwestii: co nasz przemysł obronny jest w stanie zaoferować? I trzeba pamiętać, że w tej dziedzinie nie będzie szybkich zmian w ciągu kilku miesięcy czy dwóch lub trzech lat. Plan modernizacji technicznej jest przewidziany na dziesięć lat – to za mało czasu, by powstał i został wprowadzony do użycia zupełnie nowy produkt. W grę wchodzi więc zakupy sprzętu, który już istnieje lub jeśli prace nad nim już trwają od jakiegoś czasu.

Dariusz Momot: Oczywiście wszyscy chcielibyśmy móc osiągnąć zdolności operacyjne wyznaczone w programie modernizacji technicznej czy strategii rozwoju sił zbrojnych z udziałem polskiego przemysłu obronnego. Nie jest on jednak w stanie spełnić wszystkich wymagań, jakie stawiamy, gdy chcemy kupić sprzęt nowy. Zredukowano armię, więc powinniśmy mieć najnowocześniejszy sprzęt, tak by zniwelować ewentualne różnice potencjałów na polu walki.

Sławomir Kułakowski: Nie ma na świecie przemysłu zbrojeniowego, który byłby w stanie w 100% zaspokoić potrzeby sił zbrojnych. Rozmawiając o możliwościach, ➔

Technologie trzeba nabywać wtedy, gdy w jakiejś dziedzinie jesteśmy kilka poziomów niżej, bo dzięki temu niwelujemy dystans dzielący nas od czołówki



zwłaszcza produkcyjnych, naszego przemysłu nie możemy patrzeć na nie przez pryzmat 120-tysięcznej armii czasu pokoju, ale powinniśmy uwzględniać zapotrzebowanie w razie zagrożenia wojennego. Bez długoterminowego planowania nasza zbrojeniówka zawsze będzie kilka kroków w tyle za przemysłem obronnym wiodących krajów, bo nie znając potrzeb, nie zdąży dostarczyć żołnierzom nowoczesnych technologii i rozwiązań. Jeśli chodzi o projekty krótkoterminowe, to mamy do czynienia z pewną rozbieżnością między tym, co dziś produkuje nasze firmy, a tym, czego oczekują siły zbrojne. Oczywiście wojskowi chcą mieć wszystko to, co jest najlepsze na świecie, i taka jest ich rola. Politycy zaś muszą podjąć decyzję, uwzględniając realia ekonomiczne.

Dariusz Momot: Słusznie Pan prezes zauważył, że może oprócz kilku najbardziej rozwiniętych państw, przemysł narodowy nie jest w stanie zaspokoić wszystkich potrzeb sił zbrojnych. W przypadku długoterminowego planowania rozwoju przemysłu obronnego jest potrzebna zgoda ponadpartyjna, bo jeśli plany będą zmieniane co kilka lat, po wyborach, to nie będzie żadnych szans na stworzenie w Polsce zaawan-

sowanych technologii i ciągle będziemy uzależnieni od importu. Oczywiście nie możemy też popadać w drugą skrajność – autarkię, bo także inne kraje często importują np. pewne podzespoły, które oferuje najwyżej kilku renomowanych producentów. Zresztą zamknięcie się na kontakty zagraniczne uwsteczniłoby nas.

Sławomir Kułakowski: Jeśli jest decyzja polityczna, że gros zamówień ma być skierowanych do polskiego przemysłu zbrojeniowego, to trzeba uruchomić odpowiednie procedury, środki finansowe i rozwiązania prawne, aby było to możliwe do wykonania. W wymiarze krótkoterminowym będzie to trudne. Rozpoczynane obecnie prace badawczo-rozwojowe potrwają bowiem od pięciu do ośmiu lat, zanim powstanie nowy produkt. Dlatego pewnie będziemy musieli korzystać z licencji, które zwykle ograniczają lub całkowicie uniemożliwiają eksport powstałych u nas wyrobów, czego przykładem jest przeciwpancerny pocisk kierowany Spike. Tymczasem eksport jest dla naszej zbrojeniówki koniecznością.

A ten, niestety, jak wiadomo, jest daleki od doskonałości.



JAROSŁAW WIŚNIEWSKI

SŁAWOMIR KUŁAKOWSKI

Jest pułkownikiem rezerwy i absolwentem Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu im. Mikołaja Kopernika w Toruniu, szkoły oficerów rezerwy oraz podyplomowych studiów w Akademii Sztabu Generalnego WP. Pełnił wiele odpowiedzialnych funkcji w instytucjach MON-u oraz był doradcą szefa Biura Bezpieczeństwa Narodowego ds. gospodarczo-obronnych. Od 2001 roku jest prezesem Polskiej Izby Producentów na rzecz Obronności Kraju.

Sławomir Kułakowski: To вина systemu, który uniemożliwia efektywny eksport. Aby można było go rozwijać, są konieczne produkty, nad którymi mamy pełną kontrolę, czyli powstałe na bazie rodzimych technologii. Z drugiej strony nie warto wymyślać koła, skoro ono istnieje. Technologie trzeba nabywać wtedy, gdy w jakiejś dziedzinie jesteśmy kilka poziomów niżej, bo dzięki temu niwelujemy dystans dzielący nas od czołówki. Przy zawieraniu transakcji należy jednak zagwarantować sobie możliwości dalszego rozwijania technologii i zapewnienia praw intelektualnych do tych nowych rozwiązań. Nieprecyzyjne zapisy lub ich całkowity brak w umowach sprawiają, że niekiedy nie dochodzi do zawarcia kontraktu eksportowego, bo nie zgadza się na to zagraniczny poddostawca jakiejś części. Nawet jeśli nie naruszamy jego bezpośrednich interesów, to często w grę wchodzi interesy kraju, z którego

pochodzi. Bywa, że po wyeliminowaniu nas z rynku, dane państwo przedstawia własną ofertę...

Polski przemysł chce odgrywać wiodącą rolę w programie modernizacji technicznej sił zbrojnych. Jak mają się te aspiracje do jego możliwości?

Sławomir Kułakowski: Jako priorytety wskazano obronę powietrzną i okręty podwodne. W tym wypadku udział naszej zbrojeniówki będzie ograniczony. Dostrzegam też inne zagrożenie. Czy w związku z tworzeniem obrony terytorialnej i zwiększaniem liczebności sił zbrojnych uda się utrzymać w przyszłości obecne 20% budżetu MON-u na modernizację techniczną? Zwłaszcza że trudno będzie podnieść odsetek produktu krajowego brutto przeznaczony na obronność, bo komuś innemu trzeba by te pieniądze zabrać.

Dariusz Momot: Mamy 14 programów operacyjnych. Ze względu na możliwości finansowe nie ma szans, by polska zbrojeniówka odgrywała we wszystkich z nich rolę wiodącą. Dla przemysłu obronnego ważne są plany resortu obrony. Jeśli chodzi o te krótko- i średnioterminowe, jesteśmy w dobrej sytuacji, ale moim zdaniem przemysł nie wie, co my, jako wojsko, chcemy mieć za 20–30 lat. Oprócz tego takie plany długoterminowe powinny być ze sobą skorelowane. Ani polskich firm, ani ośrodków naukowych nie stać na jednoczesne prowadzenie wielu prac badawczo-rozwojowych, z których zaledwie kilkoma po jakimś czasie zainteresuje się wojsko.

Sławomir Kułakowski: Mam nadzieję, że nie powtórzą się sytuacje z przeszłości, gdy wyżsi rangą dowódcy krytykowali polski przemysł zbrojeniowy za brak w ofercie konkretnych produktów i zapowiadali ich zakup za granicą, choć wcześniej nie informowali zbrojeniówki, że takimi wyrobami są w ogóle zainteresowani.

Pojawia się pomysł, aby firmy zbrojeniowe nie ograniczały się tylko do produkcji specjalnej, ale wytwarzały też wyroby na rynek cywilny.

Dariusz Momot: Z takim rozwiązaniem zetknęliśmy się w Turcji, gdzie np. producent pojazdów opancerzonych w ofercie ma również autobusy.

Sławomir Kułakowski: W przeszłości takie rozwiązanie funkcjonowało także u nas, w Polsce. Gdzieś na strychu mam maszynę do pisania z radomskiego Łuczniaka. W latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku zrezygnowano jednak z produkcji cywilnej. Teraz jej wznowienie będzie niezwykle trudne, bo trzeba w nią zainwestować. Oprócz ➔

tego postęp w wielu sferach produkcji cywilnej był szybszy niż w tej wojskowej. Dlatego przygotowania do jej wznowienia potrwają wiele lat, ale jednocześnie jest to przyszłość, bo zamówienia wojskowe przypominają sinusoidę i trzeba mieć alternatywę na czas, gdy będą się zmniejszać lub całkowicie ustaną. Do tego zdolności produkcyjne w niektórych dziedzinach zostały tak rozbudowane, że są większe niż potrzeby naszej armii. Dlatego teraz musimy aktywnie szukać zagranicznych rynków zbytu dla wielu wyrobów, by móc spokojnie zacząć prace nad nowymi produktami.

I tak dochodzimy do sedna problemu – co może produkować nasz przemysł obronny, a czym powinien się zająć w przyszłości?

Sławomir Kułakowski: Wystarczy przeprowadzić prostą analizę produkcji naszej zbrojeniówki, by móc określić, czego nie będzie ona w stanie wytwarzać w przyszłości. Wojsko dobrze zna jej możliwości, także same firmy wiedzą, co mogą robić. Zawsze jednak może się pojawić ktoś, kto stwierdzi, że jest w stanie uruchomić produkcję pewnego wyrobu, jeśli dostanie odpowiednie środki finansowe. Często są to firmy „garażowe”, które skupiają cały wysiłek na zdobyciu zamówienia, a dopiero potem zaczynają się zastanawiać, jak je wykonać.

Dariusz Momot: Ministerstwo obrony przygotowało plany krótko- i średnioterminowe, a długoterminowe to już sprawa rządu.

Sławomir Kułakowski: My, jako przemysł, podejmiemy się każdego zadania, jeśli będziemy pewni, że jest priorytetowe i wieloletnie. Wtedy w grę wchodzi zaangażowanie własnych środków. To politycy powinni wskazać przemysłowi obronemu, co powinien produkować.

Jakie dziedziny produkcji zbrojeniowej mają dla nas znaczenie strategiczne? Właśnie taką produkcję za wszelką cenę powinniśmy utrzymać w Polsce. Czy jest to amunicja, broń strzelecka, pojazdy pancerne?

Dariusz Momot: W kraju musi pozostać produkcja maszyn bezzałogowych. Polskie firmy mają już pewien potencjał w tej dziedzinie. Do tego dochodzą ochrona i przetrwanie wojsk, nowe materiały oraz kryptologia.

Bogdan Kawalec: Zgadzam się. W dziedzinie kryptologii Polska powinna korzystać z własnych rozwiązań, nawet jeśli będą one mniej zaawansowane od tych oferowanych przez firmy zagraniczne.

Rozwijamy technologie krytyczne, które mają być dostępne tylko dla nas, ale za zgodą MON-u czy rządu mogą być potem dostarczane za granicę

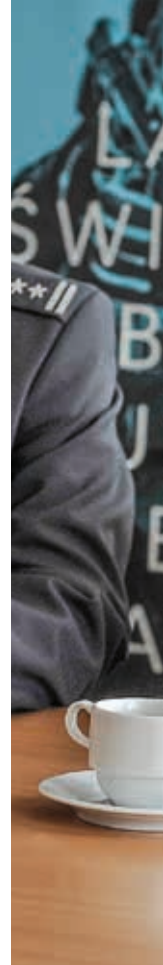
Dariusz Momot: Podobnie powinno być z szeroko pojętą komunikacją, w której mamy spore osiągnięcia i nie najgorszy sprzęt – od wyposażenia indywidualnego żołnierza po zautomatyzowane systemy dowodzenia. Inna dziedzina to środki precyzyjnego rażenia.

Z tym jest gorzej...

Dariusz Momot: To prawda, że jest gorzej, ale powinniśmy dążyć do tego, aby mieć własne rozwiązania, by podczas realnych działań nie spotkała nas niemiła niespodzianka, że pocisk czy raketa z nieznanym nam powodem nie zadziała.

Sławomir Kułakowski: Również amunicja obowiązkowo powinna być w całości produkowana w kraju. Tymczasem my jesteśmy uzależnieni od importu prochu, bo nasz nie spełnia współczesnych standardów. Zapłonniki też musimy kupować za granicą. Jak niebezpieczny jest brak własnej amunicji, pokazuje przykład Ukrainy. Kraj ten szuka naboju kalibru 5,45 mm, których żadne państwo środkowoeuropejskie należące do NATO już nie produkuje.

Dariusz Momot: Co do amunicji, to około 60% jej komponentów wytwarzamy w kraju.





JAROSŁAW WIŚNIEWSKI

PŁK DYPL. DARIUSZ MOMOT

Jest absolwentem Wyższej Szkoły Oficerskiej Wojsk Łączności i Akademii Obrony Narodowej. Służbę wojskową pełnił w 9 Pułku Łączności, 9 Pułku Dowodzenia, 11 Lubuskiej Dywizji Kawalerii Pancernej, Dowództwie Generalnym Rodzajów Sił Zbrojnych. Obecnie jest szefem Oddziału Identyfikacji i Analiz w Inspektoracie Implementacji Innowacyjnych Technologii Obronnych.

Sławomir Kułakowski: Naszą słabością jest też brak silników wysokoprężnych własnej konstrukcji. W wypadku broni pancernej powinniśmy zaś uwzględnić, że produkcja nowego czołgu trwa dziewięć miesięcy, więc w razie konfliktu bylibyśmy zdani tylko na sprzęt, który już mamy. Dlatego należy zapewnić odpowiednie ilości części zapasowych do takich pojazdów, by móc naprawiać uszkodzone czołgi.

Dariusz Momot: Jeśli chodzi o przyszłość, to rozwijamy technologie krytyczne, które mają powstawać wyłącznie w kraju i być dostępne tylko dla nas, ale oczywiście za zgodą MON-u czy rządu mogą one być potem dostarczane za granicę. I3TO wskazało już pewne technologie, które na początek powinny być

dostępne tylko na nasze potrzeby, a polscy naukowcy je opracowali. Obecnie pod naszym nadzorem jest prowadzonych kilka projektów. Jednym z nich jest fotowoltaika, a dokładnie folia wytwarzająca energię elektryczną. Interesujemy się również grafenem. Stworzyliśmy też bazę danych o nowych technologiach, które mogą zainteresować siły zbrojne. Aczkolwiek są potrzebne pewne zmiany w prawie, m.in. dotyczące finansowania prac, aby ułatwić realizację tych projektów, przynajmniej do poziomu demonstratora technologii. Obecne prawo zamówień publicznych ogranicza te możliwości. Oczywiście mamy furtkę, którą jest podstawowy interes bezpieczeństwa państwa, ale dotyczy to tylko produktów gotowych, a nie uruchomienia prac badawczo-rozwojowych i wprowadzania nowych technologii. Inną kwestią, wymagającą stworzenia jasnych uregulowań, są prawa własności intelektualnej, zwłaszcza gdy w powstanie produktów przemysłu zbrojeniowego jest zaangażowanych wiele podmiotów – wojsko, uczelnie, przemysł.

Sławomir Kułakowski: Niejasności związane z prawami własności intelektualnej utrudniają lub wręcz blokują eksport. Tak było, gdy Brazylia chciała kupić licencję zestawów Grom.

Może przydałaby się jedna instytucja odpowiadająca za zamówienia i prace badawczo-rozwojowe?

Bogdan Kawalec: Jest sprawą drugorzędą, czy będzie to jedna instytucja, czy będziemy mieli do czynienia z trzema podmiotami. Ważniejsze jest, aby powstał sprawny system pozyskiwania sprzętu wojskowego.

Sławomir Kułakowski: Zgadzam się. Najważniejszy jest system, na którego podstawie można tworzyć różne organy, do ich nazw nie przykładam większej wagi.

Skoro wiemy, co jest możliwe do wyprodukowania w kraju, samodzielnie lub we współpracy z partnerami zewnętrznymi, to może też należy jasno wskazać, czego nie da się stworzyć w Polsce.

Dariusz Momot: Z pewnością należałoby to zrobić, ale to nie my jako resort obrony narodowej powinniśmy mówić polskiemu przemysłowi, z produkcji czego powinien zrezygnować. To znowu zadanie dla polityków. Zdolności, jakie zamierzamy osiągnąć w konkretnych latach, są wskazówką, jaki sprzęt będzie nam potrzebny. Niestety do wojska są przypisywane różne projekty, zupełnie niezwiązane z jego potrzebami.



Plan modernizacji technicznej jest przewidziany na dziesięć lat. To za mało, by powstał i został wprowadzony zupełnie nowy produkt

Sławomir Kułakowski: W strategii dotyczącej przemysłu obronnego powinno zostać wskazane, na jaką produkcję państwo będzie dawało dodatkowe środki finansowe i w jakiej dziedzinie zmieniano przepisy prawne, stymulując rozwój pewnych sfer zbrojeniówki, których znaczenie uznano za strategiczne. W wypadku zaś innych dziedzin produkcji decyzja powinna być pozostawiona samym firmom. Jestem przeciwnikiem jakichkolwiek zakazów. Jeśli firma uzna, że stać ją na samodzielne opracowanie jakiegoś produktu i widzi dla niego rynek zbytu za granicą, niech go tworzy. Nie wykluczam też, że jeśli powstanie dobry produkt, to może zainteresować się nim też armia polska.

Jak postrzegają Panowie kwestię szerszego włączenia się naszego kraju w duże programy wielonarodowe? W przeszłości nie weszliśmy w takie projekty.

Sławomir Kułakowski: Większość dzisiejszych programów wielonarodowych w zachodniej zbrojeniówce rozpoczęła się w latach dziewięćdziesiątych XX wieku. W tym czasie ani MON, ani tym bardziej firmy przemysłu obronnego nie były przygotowane na takie przedsięwzięcia. Większość działań była nastawiona na to, aby przetrwać. Także nasi politycy nie wykazywali żadnego zainteresowania włączeniem się w te projekty. Wtedy nie było planów rozwoju zbrojeniówki, raczej starano się ją zmniejszać, a zagraniczni doradcy zalecali nawet jej całkowitą likwidację.

Bogdan Kawalec: Należy pamiętać, że w tych czasach MON dysponowało bardzo ograniczonymi środkami, jakie mogło przeznaczyć na modernizację techniczną. Zatem nie bardzo widziano sens włączania się w programy wielonarodowe bez pewności, że będziemy w stanie kupić dany produkt.

Sławomir Kułakowski: Muszą istnieć pewne uregulowania prawne, abyśmy mogli włączyć się w programy wielonarodowe. Przed laty zamierzaliśmy w ramach Grupy

Wyszehradzkiej zmodernizować śmigłowce Mi-24. Okazało się, że nie było rozwiązania, które pozwoliłoby podzielić ów program pomiędzy cztery państwa i każde chciało mieć własnego integratora. W efekcie do gry włączyli się Rosjanie, oferując Czechom nowe śmigłowce i pomysł modernizacji upadł.

Dariusz Momot: Ja jestem za wchodzeniem polskich firm do wielonarodowych konsorcjów, bo jest to szansa na dalszy rozwój.

Od lat głośno się mówi o trudnościach w kontaktach między wojskiem a przemysłem, które wynikają z ograniczeń prawnych.

Sławomir Kułakowski: Wprowadzone przed laty przepisy spowodowały, że wojskowi zaczęli unikać kontaktów z przemysłem z obawy, że zarzuci się im korupcję. Tymczasem bliskie relacje wojsko-przemysł są konieczne, bo ułatwiają tworzenie takich produktów, jakich oczekuje przyszły użytkownik.

Dariusz Momot: Rzeczywiście przyjęcie przepisów ograniczających takie kontakty doprowadziło do paradoksalnej sytuacji – przed kilku laty można było mieć kłopoty po wypiciu kawy w jakiejś firmie. Ale to się zmieniło. Moja instytucja ma wręcz obowiązek utrzymywania kontaktów z przemysłem.

Sławomir Kułakowski: Problemem bywała też niechęć instytucji wojskowych do współpracy. Przed laty poprosiłem oficjalnie o informację, czy się sprawdza sprzęt wojskowy używany na misji w Libanie. Odpowiedź była odmowna. Wsiadłem więc ze współpracownikami do samolotu i poleciałem do tamtejszego kontyngentu. W rozmowach z żołnierzami uzyskaliśmy pełną wiedzę na interesujący nas temat. Oczywiście po powrocie do kraju przekazaliśmy ją przemysłowi. Czy z niej skorzystano? Nie wiem. ■

ROBERT CZULDA

Wielka piątka

Amerykański rynek zbrojeniowy jest najpotężniejszy na świecie, ale jednocześnie bardzo wymagający. Wejście w zdominowane i podzielone pomiędzy największe koncerny środowisko jest praktycznie niemożliwe.

U S A F

Tragedia dla wielu i czasem okazja dla niektórych. Tak bez wątpienia można mówić o wojnie. Dotyczy to też II wojny światowej, która dała Stanom Zjednoczonym sposobność stania się globalnym supermocarstwem, a rodzimym firmom zbrojeniowym, wówczas lokalnym i mało znaczącym, pozwoliła doścignąć, a potem przegonić, ówczesnych liderów tej branży. Momentem przełomowym był rok 1942, kiedy to cała gospodarka amerykańska została przestawiona na produkcję

wojenną. Podczas gdy Europa po nalotach bombowych ginęła w gruzach, amerykańskie koncerny liczyły zyski, rosnąc w siłę. Raz zdobytej pozycji już nigdy nie oddały.

Spowodowany zimną wojną dynamiczny rozwój firm zbrojeniowych sprawił, że już na początku lat sześćdziesiątych ubiegłego wieku przemysł obronny stał się największą gałęzią amerykańskiej gospodarki. Doszło też do redukcji rozdrobnienia – o ile bowiem podczas II wojny światowej 100 największych amerykańskich firm zbroje-



Światowi giganci

Pozycja	Firma	Dochód (2014) [mld USD]	Zmiana (2013/2014) [%]	Udział dochodów z sektora obronnego [%]
1	Lockheed Martin 	40	-0,90	88
2	Boeing 	29	-9,40	32
3	BAE Systems	25	-9,20	92
4	Raytheon 	22	0,80	97
5	General Dynamics 	19	-1,50	60
6	Northrop Grumman 	18	-5,60	77
7	Airbus Group	15	-11,70	18
8	United Technologies 	13	9,50	20
9	Finmeccanica*	11	-3,10	54
10	L-3 Communications 	11	-5,10	81

* Obecnie Leonardo. Źródło: „DefenseNews”.

AMERYKAŃSKIE FIRMY ZBROJENIOWE SĄ PREMIOWANE NA RYNKU WEWNĘTRZNYM.

Ciągle obowiązuje wprowadzona w 1933 roku ustawa „Buy American”, która – co sugeruje sama jej nazwa – nakazuje, by znaczna część produktów publicznych była wytwarzana w USA, z amerykańskich części lub materiałów. Nawet jeśli rodzima oferta jest droższa (do 50%), to i tak powinna wygrać kontrakt. Drugim dokumentem utrudniającym Departamentowi Obrony zakupy poza granicami kraju jest tzw. poprawka Berry`ego z 1941 roku, określająca źródło pochodzenia wyposażenia osobistego żołnierzy. Obecność obcych firm też jest ściśle regulowana. W 1988 roku wprowadzono tzw. poprawkę Exon–Florio. Na jej mocy każda transakcja, szczególnie fuzja lub wykupienie amerykańskiej firmy, może zostać zablokowana przez prezydenta z powodu zagrożenia bezpieczeństwa narodowego.

niowych realizowało 67% kontraktów dla wojska, z czego 25 największych zakładów 4%, o tyle na początku lat sześćdziesiątych wskaźniki te wzrosły kolejno do 74 i 55%. Jednocześnie zaczął się rozwijać eksport. W 1970 roku zysk 25 największych firm zbrojeniowych ze sprzedaży do państw trzecich wynosił zaledwie 4%, a sześć lat później było to już 20%.

OSTATNIA WIECZERZA

Hossa dla amerykańskich firm zbrojeniowych skończyła się wraz z kresem zimnej wojny. Gdy upadał Związek Radziecki, Stany Zjednoczone jeszcze bardziej przyspieszyły rozpoczęte w 1985 roku redukcje wydatków na zbrojenia. Mniejsze firmy nie były w stanie tego przetrwać. Dotyczyło to szczególnie tych, które weszły na rynek obronny w czasie zimnej wojny. Teraz wiele przedsiębiorstw musiało zrezygnować z pewnych oddziałów i je zamknąć. Tak uczynił utworzony w 1899 roku General Dynamics, który

w latach 1991–1992 sprzedał znaczną część swych zakładów, co doprowadziło do wzrostu rynkowej wartości firmy o ponad 100%. Podobnie postąpił Rockwell International, wcześniej nabywca słynnych zakładów lotniczych North American Aviation – w latach dziewięćdziesiątych zrezygnował z wojskowych oddziałów.

Amerykański rząd postanowił wówczas nie ingerować w prawa rynku. Decyzja ta została ogłoszona na kolacji, którą w 1993 roku przygotował ówczesny sekretarz obrony Les Aspin dla 15 prezesów firm zbrojeniowych. Spotkanie, znane w branży jako „ostatnia wieczerza”, miało jedno przesłanie – Pentagon nie będzie już tyle zamawiał i firmy muszą się przystosować do nowych realiów. Doprowadziło to do upadków, a przede wszystkim do serii fuzji, czego efektem jest wyraźny oligopol.

Już w 1994 roku Northrop Corporation wykupił Grumman Aerospace Corporation. Rok później Lockheed Corporation połączył się z zakładami Martin Marietta,



RAYTHEON



**W CIAGU DEKADY
PO ZAKOŃCZENIU
ZIMNEJ WOJNY**
liczba firm zbrojeniowych produkujących samoloty i okręty wojenne spadła z ośmiu do trzech, a wozów bojowych – z trzech do dwóch.

by stworzyć koncern Lockheed Martin. McDonnell Douglas, znany m.in. z produkcji samolotów DC-10, F/A-18 Hornet i F-15 Eagle, w 1997 roku stał się częścią Boeinga, który rok wcześniej wchłonął wojskowe departamenty Rockwell International. W 1997 roku Raytheon przejął dział zbrojeniowy Hughes Aircraft Company (wraz z departamentem rakietowym, w tym AIM-120 AMRAAM, BGM-71 TOW i AIM-120 AMRAAM), a rok później AlliedSignal.

Dla koncernu Northrop Grumman pozostały mniejsze, ale cenne firmy, takie jak Westinghouse Electronic Systems i Teledyne Ryan Aeronautical. Ta pierwsza tworzyła radary (w tym AN/TPS-43), druga – samoloty i bezzałogowce. Lockheed Corporation w 1993 roku przejęła oddział Fort Worth, należący do General Dyna-

mics. Ten koncern zaś w 1995 roku wykupił stocznię Bath Iron Works, w 1996 Teledyne Vehicle Systems, w 1998 National Steel and Shipbuilding Company, a w 1999 Gulfstream Aerospace. W 1997 roku kupiono od koncernu Lockheed Martin dwa sektory – Defense Systems i Armament Systems. Ostatecznie nie doszło do megafuzji zakładów Lockheed Martin i Northrop Grumman – w 1998 roku zablokował ją amerykański rząd. Konsolidacja zakończyła się w 2002 roku, kiedy jeden z ostatnich dużych „wolnych elektronów”, a więc lotniczo-rakietowy koncern TRW został przejęty przez Northropa Grummana.

WYGRYWAJĄ TYLKO SILNI

Na amerykańskim rynku pozostało zaledwie pięć dużych firm, które podzieliły pomiędzy siebie sfery funkcjonowania. Na czele listy gigantów plasuje się Lockheed Martin, który notuje dochody z działalności wojskowej rzędu 40 mld dolarów rocznie. To ciągle największy dostawca sprzętu dla Pentagonu i jednocześnie dla wszystkich rodzajów sił zbrojnych. Firma wśród ostatnich sukcesów ma m.in. samoloty C-130, F-22 i F-35. Wyprzedza drugiego na liście Boeinga z dochodem o połowę mniejszym (w 2015 roku zamówienia za 13,6 mld dolarów). Trzeci jest General Dynamics (13,6 mld dolarów), następnie Raytheon (13,1 mld dolarów) i Northrop Grumman (10,6 mld dolarów).

Pomiędzy rekinami krążą też mniejsze ryby, które rzadko zachowują niezależność. Przykładem są stworzone w 1925 roku zakłady Sikorsky Aircraft, znane z wielu śmigłowców, w tym SH-3 Sea King, CH-53E Super Stallion i UH-60 Black Hawk. W 2015 roku koncern został sprzedany przez United Technologies Corporation (UTC) Lockheedowi Martinowi.

Na rynku śmigłowców wojskowych z Boeingiem i Sikorskim rywalizuje Bell Helicopter, obecnie część koncernu Textron, który ma również takie firmy jak Cessna Aircraft czy Beechcraft. Zakłady specjalizujące się w podsystemach, jak dostawca silników Pratt & Whitney, to zaś część UTC. Niezależność udało się zachować niewielkiej, jak na amerykańskie warunki (12 tys. pracowników wobec 126 tys. u Lockheed Martina), firmie Oshkosh Corporation, produkującej specjalistyczne samochody.



„WIELKA PIĄTKA” SYSTEMATYCZNIE TRACI POZYCJĘ HEGEMONA NA LIŚCIE DOSTAWCÓW DLA PENTAGONU

Pozycja na rynku jest z góry ustalona. Przykładowo, w dziedzinie samolotów bojowych trwa duopol Boeinga i Lockheed Martina, ale każdy ma swój segment, nienaruszalny przez drugą stronę. Lockheed Martin dominuje na rynku samolotów bojowych, podczas gdy Boeing oferuje F/A-18E/F Super Hornet, C-17 Globemaster i C-5 Galaxy. Trzeci w wyścigu Northrop Grumman, którego produkcja opiera się na ciągle używanych bombowcach B-2 Spirit, został zmuszony szukać swojego miejsca gdzie indziej – w sektorze bezzałogowców.

Nie inaczej jest w wymiarze morskim. W latach dziewięćdziesiątych sześć amerykańskich stoczni wojсковych, a więc National Steel & Shipbuilding Company, Newport News Shipbuilding, Electric Boat, Bath Iron Works, Ingalls i Avondale stały się własnością dwóch firm – Northrop Grumman i General Dynamics. Doprowadziło to do ograniczenia konkurencyjności i wprowadzenia de facto monopolu. Jeśli więc rząd Stanów Zjednoczonych chce nabyć nowy lotniskowiec lub nawodny okręt wojenny, może rozmawiać jedynie z koncernem Northrop Grumman, podczas gdy okręty desantowe może zaoferować tylko General Dynamics.

Mimo że role są podzielone, to jednocześnie każda z firm nieustannie szuka niszy. „Kilka dekad temu istniała określona hierarchia”, zauważa Barry D. Watts z niezależnego Center for Strategic and Budgetary Assessments. „Niektóre firmy budowały całe platformy, inne dostarczały podsystemy, a jeszcze inne jedynie komponenty. W wyniku konsolidacji [...] firmy często pojawiają się jednocześnie w tych trzech rolach”. Autor podaje przykład koncernu Lockheed Martin, który w programie okrętów LCS dla US Navy, bez wkładu własnych technologii, występuje jako integrator technologii, z kolei dostarcza wkład technologiczny jako integrator w projekcie F-35, a jednocześnie zapewnia podsystemy i komponenty do innych samolotów bojowych. Firma współpracuje z Boeingiem w dziedzinie rakiet nośnych, z Northropem Grummanem przy okazji F-35. Boeing i Bell Helicopter razem tworzą V-22, ale jednocześnie rywalizują przy okazji projektu nowego śmigłowca (FVL). Granice między konkurentami a partnerami są tym samym bardzo niejasne.

NOWI GRACZE

Chociaż Stany Zjednoczone są i w dającej się przewidywać przyszłości pozostaną liderem w wydawaniu pienię-

dzy na wojsko, to firmy zbrojeniowe czekają pewne wyzwania. Z powodów technologicznych i finansowych Pentagon jest zmuszony inwestować w kolejne wersje rozwojowe i remonty już używanych platform, na ogół o zimnowojennym rodowodzie. Oznacza to, że możliwość zyskania nowych kontraktów i zagospodarowania innych segmentów sił zbrojnych jest i będzie niewielka. Nieliczne programy są likwidowane, przesuwane lub gruntownie modyfikowane. Szansą, ale bardziej na utrzymanie pozycji niż ekspansję, są kontrakty międzynarodowe, o które amerykańskie firmy zabiegają coraz intensywniej. Obecnie ten element jest dla amerykańskiej zbrojeniówki korzystny – od stycznia tego roku sprzedano na zewnątrz broń za około 35 mld dolarów, co jedynie potwierdzenia maksymę, że im gorzej na

świecie, tym lepiej dla koncernów zbrojeniowych.

Jednocześnie widać wyraźnie, że o ile „wielka piątka” dominuje na rynku tradycyjnych firm zbrojeniowych, o tyle powoli, ale systematycznie traci pozycję hegemonistyczną na liście dostawców dla Pentagonu. Obecnie Stany Zjednoczone około 45% wszystkich zamówień na sprzęt i usługi składają w przedsiębiorstwach spoza branży zbrojeniowej, w tym takich jak Apple i Dell. Dotyczy to także firmy farmaceutycznej McKesson, która zajmuje ósmą pozycję na liście głównych dostawców Departamentu Obrony.

Znamienne jest to, że na liście „Fortune 500”, przedstawiającej największe amerykańskie firmy, Lockheed Martin jest na 64. pozycji, a Boeing na 27. (ze względu na sprzedaż cywilną). Jeszcze w latach pięćdziesiątych ubiegłego wieku na liście „Fortune 100” było 15 firm zbrojeniowych, a ich udział w dochodzie 100 największych przedsiębiorstw Ameryki wynosił 30%. Teraz jest to mniej niż 3%. Firmy stricte obronne z listy „Fortune 100” mają tylko 1,5% dochodów. Jako przykład zmieniających się tendencji eksperci podają chociażby koncern Google, który w 2013 roku wykupił Boston Dynamics, firmę realizującą dla US Army, US Marine Corps i US Navy program wojskowych robotów. „Transakcja ta nie była zaskoczeniem”, zauważa na łamach „Foreign Affairs” William J. Lynn III i dodaje: „Wydatki na badania i rozwój są w Google’u większe niż w jakiegokolwiek firmie zbrojeniowej. Wartość rynkowa, szacowana na 400 mld dolarów, to ponaddwukrotnie więcej niż firm General Dynamics, Northrop Grumman, Lockheed Martin i Raytheon razem wziętych”.

Pierwsze znaczące firmy zbrojeniowe powstały w Brazylii już w okresie międzywojennym, ale wielka rozbudowa przemysłu obronnego rozpoczęła się w latach sześćdziesiątych XX wieku. Wtedy pojawiły się m.in. firma lotnicza Empresa Brasileira de Aeronáutica, czyli Embraer, i produkująca pojazdy pancerne Engenheiros Especializados – Engesa.

Czas rozkwitu brazylijskiej zbrojeniówki przypadł na lata osiemdziesiąte XX wieku, gdy Brazylia należała do grona największych eksporterów uzbrojenia na świecie, zajmując w zestawieniach miejsce między piątym a ósmym. Za granicę trafiało 80–90% produkcji, której odbiorcami było ponad 40 krajów z Ameryki Łacińskiej, Azji, Afry-

po której Irak nie miał prawa importować broni, mocno uderzyła w przemysł obronny tego latynoskiego państwa. Z drugiej strony, nie było zamówień od własnej armii, bo po odsunięciu wojskowych od władzy, demokratyczne rządy ograniczyły wydatki na obronę. Przykładem tych kłopotów było bankructwo w 1993 roku firmy Engesa. Przemysł obronny został wówczas zmarginalizowany.

W latach 1993–2012 wartość eksportu wyniosła 739 mln dolarów, co dało Brazylii 25. miejsce na świecie. Z kolei wartość importowanego uzbrojenia przekroczyła 5,4 mld dolarów.

Na początku obecnej dekady udział przemysłu obronnego w wytworzeniu produktu krajowego brutto Brazylii wynosił poniżej 0,2%.



Brazylia ma najbardziej rozwinięty przemysł obronny w Ameryce Południowej.

ki i Bliskiego Wschodu. Jednocześnie Brazylijczycy nawiązywali współpracę z partnerami zagranicznymi. W 1981 roku Embraer wraz z włoskimi firmami Alenia i Aermacchi stworzył np. konsorcjum produkujące odrzutowy samolot szturmowy AMX.

Jednym z powodów prosperity brazylijskiej zbrojeniówki w tym czasie było zaopatrywanie w broń obu stron wojny iracko-irańskiej. Brazylijczycy wchodzili też na te rynki, na których ze względów politycznych nie chciały sprzedawać broni Stany Zjednoczone, Europa Zachodnia i Związek Sowiecki. Koniec wojny iracko-irańskiej, a później pierwsza wojna w rejonie Zatoki Perskiej,

W produkcję zbrojeniową jest zaangażowanych około 400 firm, tych kontrolowanych przez państwo i prywatnych, w których dominuje kapitał rodzimy, i należących do podmiotów zagranicznych. W zakładach wytwarzających bezpośrednio na potrzeby obronności jest zatrudnionych 25 tys. pracowników, a w kooperujących z nimi firmach około 100 tys. W latach 2012–2017 brazylijski resort obrony zaplanował na zakupy uzbrojenia i sprzętu wojskowego około 21 mld dolarów, co stanowi mniej niż 9% ogólnych nakładów na obronę w tym czasie.

Embraer zaczął działalność od produkcji lekkich samolotów transportowych własnej konstrukcji, ale już w la- ➔



W ofercie brazylijskiej firmy lotniczej jest turbośmigłowy lekki samolot szturmowy i do szkolenia zaawansowanego EMB-314 Super Tucano.



FORÇA AEREA BRASILEIRA

JEDYNY ZAKŁAD

W 1978 roku na brazylijski rynek weszła francuska firma lotnicza Aérospatiale, tworząc joint venture z władzami stanu Minas Gerais i spółką holdingową Bueninvest. W mieście Itajubá zbudowano wytwarzający śmigłowce zakład Helibras (na zdjęciu), jedyny w Ameryce Południowej. Obecnie brazylijskie komponenty stanowią 48–54% montowanych tam maszyn. Dotychczas powstało kilkaset śmigłowców, zarówno dla odbiorców wojskowych, jak i cywilnych, w kraju i za granicą.



G. LEONARDI/AGEN. MINAS GERAIS

tach siedemdziesiątych ubiegłego wieku zakłady opuszczały produkowane na licencji włoskiej szkolno-bojowe odrzutowce EMB 326GB Xavante. Firma przetrwała trudne czasy, bo równoległe z produkcją wojskową zaczęła wytwarzać samoloty na rynek cywilny. W niektórych brazylijskich regionach, takich jak Amazonia, nie ma dróg, więc transport powietrzny bywa jedynym środkiem transportu. Embraer wykorzystał zapotrzebowanie na awionetki i w 1974 roku rozpoczął licencyjną produkcję amerykańskich maszyn Piper PA-34 Seneca. Wielkim sukcesem na rynku wojskowym okazał się zaś szkolny samolot EMB-312 Tucano.

W latach osiemdziesiątych brazylijska firma postanowiła wejść w nowy segment rynku lotniczego – odrzutowce pasażerskie. Teraz w jej ofercie jest wiele typów maszyn zabierających od 37 do ponad 100 pasażerów oraz samoloty dyspozycyjne (także dla VIP-ów). Embra-

er rywalizuje z kanadyjskim Bombardierem o trzecie miejsce wśród producentów pasażerskich odrzutowców na świecie, za Airbusem i Boeingiem.

PRIORYTET – WOJSKO

Mimo sukcesu na rynku cywilnym nadal jest ważna produkcja wojskowa. W ofercie brazylijskiej firmy lotniczej jest turbośmigłowy lekki samolot szturmowy (przeciwpartyzancki) i do szkolenia zaawansowanego EMB-314 Super Tucano. Od 2009 roku Embraer prowadzi też prace nad średnim dwusilnikowym odrzutowym samolotem transportowym KC-390. Program ten ma charakter wielonarodowy, gdyż włączyły się do niego Czechy, Portugalia i Argentyna. Podczas tegorocznego salonu lotniczego w Farnborough zacieśnienie współpracy przy KC-390, nawiązanej już w 2012 roku, zapowiedział Boeing. Choć samolot nie wszedł jeszcze do produkcji,

kilka państw, oprócz Brazylii, zadeklarowało zakup ponad 30 tych transportowców.

W grudniu 2013 roku Brazylia ogłosiła, że myśliwcem nowej generacji dla jej sił powietrznych będzie szwedzki Gripen E/F. Na początek chce kupić 36 maszyn, które będzie produkował Embraer, ale możliwe jest rozszerzenie zamówienia do ponad 100 egzemplarzy. Wśród czynników, które zaważyły na tym, że szwedzki SAAB pokonał konkurentów z Francji i USA, była największa otwartość na transfer technologii. Brazylijczykowi nie chodzi tylko o nabycie nowych odrzutowców, lecz także o poszerzenie kompetencji rodzimego sektora zbrojeniowego – zakup uzbrojenia musi przynieść korzyści gospodarce kraju.

Największe szanse na wygranie przetargów mają firmy z już istniejącymi zakładami w Brazylii, deklarujące ich zbudowanie lub nawiązujące współpracę z miejscowymi przedsiębiorstwami. Przykładem takiego podejścia jest brazylijski program pancerny. Wraz z upadkiem firmy Engesa ustała produkcja pojazdów opancerzonych. Teraz odtworzono ją we współpracy z włoską firmą Iveco, która po podpisaniu 18 grudnia 2009 roku kontraktu na kołowy transporter opancerzony zbudowała zakład w Sete Lagoas w stanie Minas Gerais. Iveco zainwestowało tam 55 mln reali, czyli 23 mln euro. Za te pieniądze powstały nowe hale o powierzchni 18 tys. m². Maksymalne możliwości produkcyjne zakładów w Sete Lagoas sięgają 114 transporterów rocznie. To zaangażowanie Włochów opłaciło się, bo w kwietniu 2016 roku brazylijska armia ogłosiła, że ich wóz LMV Lince został wybrany na przyszły lekki kołowy opancerzony pojazd wielozadaniowy. Iveco opracuje też ośmiokołowe podwozie do ciężkiego wozu rozpoznawczego, na którym prawdopodobnie zostanie zamontowana włoska wieża z armatą kalibru 105 mm.

Partnerem Iveco w programie pancernym jest izraelski Elbit. Jego brazylijska spółka Aeroelectronica Industria de Componentes Avionicos Sistemas dostarcza zdalnie sterowane systemy wieżowe UT-30BR, ale oferta jest szersza i obejmuje m.in. urządzenia do samolotów i śmigłowców, bezzałogowce, sprzęt łączności, optoelektroniczny i nawigacyjny oraz symulatory. Dlatego Izraelczycy od lat uczestniczą w modernizacji brazylijskich statków powietrznych, m.in. myśliwców F-5 i szturmowców AMX. Inna brazylijska spółka Ares Aeroespacial e Defesa, która od 2010 roku też należy do Elbitu, dostarcza montowane na transporterach Guarani zdalnie sterowane moduły uzbrojenia z karabinami maszynowymi.

Otwarcie na współpracę i transfer technologii legły u podstaw sukcesu na brazylijskim rynku francuskiego holdingu DCNS. Francuzi zdobyli wielomiliardowy kontrakt na dostawę okrętów podwodnych, bo zaakceptowali wymóg, że mają być wybudowane w miejscowych stocz-

niach. Zgodnie z umową powstaną cztery jednostki typu Scorpène o napędzie dieslowsko-elektrycznym. Francuzi zgodzili się również wesprzeć program budowy pierwszego brazylijskiego okrętu podwodnego o napędzie atomowym. Na potrzeby tego programu postanowiono zbudować nową stocznię i bazę morską w Itaguaí.

WŁASNE ZDOLNOŚCI

Brazylijski przemysł obronny ma w ofercie wiele produktów, które opracował samodzielnie. Jedną z dziedzin, w której odnotowano spore osiągnięcia, jest broń strzelecka. Na świecie są znane pistolety i rewolwery firmy Forjas Taurus. Państwowa firma Indústria de Material Bélico do Brasil, czyli IMBEL, jest z kolei producentem karabinów i karabinków dla sił zbrojnych. W 2012 roku do produkcji wszedł rodzimej konstrukcji karabinek szturmowy IA2, pierwszy, który powstał w 100% w Brazylii. Docelowo ma trafić do wszystkich rodzajów sił zbrojnych, które dotąd używają różnych typów broni długiej.

Brazylijczycy mają też znaczące osiągnięcia w produkcji broni raketowej. Spółka Avibras Indústria Aeroespacial stworzyła system artylerii raketowej Astros 2020 z naprowadzanymi za pomocą GPS-u pociskami SS-AV-40 o zasięgu 40 km, który jest następcą systemu Astros II. Firma pracuje m.in. nad pociskiem AV-TM300 o zasięgu 300 km. We współpracy z południowoafrykańską firmą Denel i miejscową Mectron – Engenharia, Indústria e Comércio stworzył też naprowadzany na podczerwień pocisk krótkiego zasięgu powietrze–powietrze A-Darter. Mectron jest jedynym w Ameryce Południowej producentem, który ma własny lotniczy pocisk antyradarowy MAR-1. W jego ofercie znalazł się również naprowadzany laserowo średniego zasięgu pocisk przeciwpancerny MSS-1.2 i przeciwokrętowy MAN-1.

Nową dziedziną działalności brazylijskiej zbrojeniówki są bezzałogowe statki powietrzne. Pionierem jest powstała w 2005 roku FT Sistemas, której pierwszy minidron FT-100 Horus kupiła brazylijska lądówka, a w tym roku zamówiono je dla piechoty morskiej. Udało się go również wyeksportować do jednego z państw afrykańskich.

Renesans brazylijskiej zbrojeniówki sięga minionej dekady, gdy władze państwowe rozpoczęły wielką modernizację sił zbrojnych, zaniedbywanych od zakończenia wojskowej dyktatury w 1985 roku. Problemem dla tej dziedziny przemysłu pozostaje jednak niestabilność finansów publicznych. Cięcia budżetu obronnego, który w około 80% jest pochłaniany przez pensje i emerytury żołnierzy, powodują, że nie zawsze siły zbrojne mają pieniądze na zakupy uzbrojenia. Brak zamówień przysparza zaś problemów firmom, więc starają się one zdobywać jak najwięcej kontraktów zagranicznych. ■

W NUMERZE WRZEŚNIOWYM „MÓWIĄ WIEKI”

Temat miesiąca:

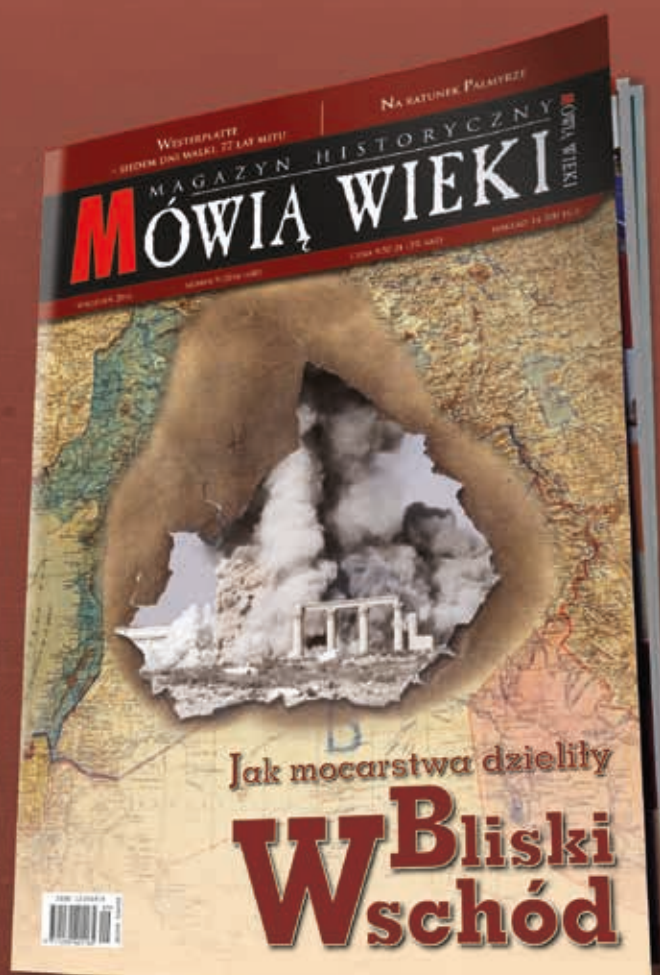
Jak mocarstwa dzieliły Bliski Wschód

A w środku m.in.:

- ☞ 1916–1920 – wielki podział Imperium Osmańskiego
- ☞ Deklaracja lorda Balfoura
- ☞ Lawrence z Arabii – między mitem a rzeczywistością
- ☞ Na ratunek Palmyrze

Ponadto:

- Józef Beck i polska polityka zagraniczna,
 - Wrzesień 1939 – próba nowego spojrzenia,
 - Westerplatte – siedem dni walki, 77 lat temu,
 - Polska zginęła... Sowiecka propaganda we wrześniu 1939 roku
- i wiele więcej.



Szanowni Prenumeratorzy „Mówią wieki”

Gorąco zachęcamy – prenumerujcie „Mówią wieki”.
Nowa niższa cena (także dla szkół) to jedynie 45 zł za sześć numerów!

Od lipca pismo będzie miało objętość minimum 80 stron
i będzie również dostępne w wersji elektronicznej (e-Kiosk).

ZAMÓWIENIA I KONTAKT

Prenumeratę w wydaniu tradycyjnym można zamówić drogą elektroniczną,
wysyłając maila na adres: prenumeratamw@gmail.com
lub dokonując wpłaty według podanego wyżej cennika na konto:

11 1240 1037 1111 0010 5184 4720
(w tytule przelewu proszę wpisać: prenumerata Mówią wieki)

Prenumeratę elektroniczną można zamówić na stronach: egazety.pl, ekiosk.pl, nexto.pl

RAFAŁ CIASTOŃ

Rewolucja w kraju Haszymidów

Chociaż w Jordanii większość uzbrojenia pochodzi z importu, to dzięki kierunkowi wyznaczonemu przez króla Abdullaha tamtejsza zbrojeniówka coraz lepiej zaspokaja potrzeby sił zbrojnych.

Licząca 6,5 mln mieszkańców Jordania utrzymuje około 100-tysięczne siły zbrojne. Jest to konieczność podyktowana położeniem geopolitycznym tej bliskowschodniej monarchii. Gdy produkt krajowy brutto, w 30% wytwarzany przez przemysł, wynosi 37,6 mld USD (dane za 2015 rok według przygotowywanego przez CIA „The World Factbook”), a jednocześnie wydatki obronne są na poziomie 3,5% PKB (w 2014 roku według „The Military Balance”), rodzima produkcja nie jest w stanie zaspokoić potrzeb sił zbrojnych. Nie oznacza to jednak, że Amman polega w tej materii wyłącznie na imporcie, a sektor zbrojeniowy jest zaniedbywany. Po kilkunastu latach rozwoju w pewnych niszowych dziedzinach Jordańczycy mają się czym pochwalić.

KRÓL PRZEMYSŁU

Za wielkiego orędownika rodzimego przemysłu obronnego należy uznać króla Abdullaha II. Ten 54-letni dziś monarcha, generał major wojsk specjalnych, niespełna dwa miesiące po wstąpieniu na tron w 1999 roku powołał do życia Biuro Konstrukcyjno-Rozwojowe im. Króla Abdullaha (King Abdullah II Design and Development Bureau – KADDB), jednostkę badawczo-rozwojową bezpośrednio podporządkowaną ministrowi obrony. Rozpoczęło ono działalność rok później, a dziś stanowi filar jordańskiej zbrojeniówki. Wśród jego produktów znajdują się zarówno konstrukcje rodzime, jak i modernizacje sprzętu zagra-

nicznego, używanego przez jordańskie siły zbrojne i policję.

Jeśli spojrzeć na dane dotyczące jordańskiego eksportu w ostatniej dekadzie, zestawione przez Sztokholmski Międzynarodowy Instytut Badań nad Pokojem (Stockholm International Peace Research Institute – SIPRI), można zauważyć, że większość eksportu stanowi pozyskiwany i niekiedy również modernizowany sprzęt producentów zagranicznych, np. myśliwce F-5 sprzedane Brazylii i Kenii, czołgi M-60, które trafiły do Libanu, czy dostarczone Pakistanowi śmigłowce AH-1 Cobra i myśliwce F-16.

Większe dostawy rodzimego sprzętu to sprzedaż Libii samochodów opancerzonych Nimr oraz samolotów obserwacyjno-rozpoznawczych SB7L-360 Seeker, które trafiły do Tanzanii, a wcześniej również do Iraku. SB7L-360 to produkt Seabird Aviation Jordan, australijsko-jordańskiego joint venture, obejmującego Seabird Aviation Australia oraz KADDB. Ogółem w latach 2006–2015 Jordania wyeksportowała sprzęt o wartości 375 mln USD (licząc wg wartości dolara z 1990 roku), co nie jest może wynikiem imponującym (polski eksport w tym okresie zamknął się w kwocie 833 mln USD), jeśli jednak pokusić się o porównanie z poprzednimi latami, to te liczby świadczą o stopniowym rozwoju tej gałęzi przemysłu. W latach 1996–2005 wartość jordańskiego eksportu wyniosła 68 mln USD, z czego 61 mln to dostawy dla Iraku w latach 2004–2005. Te liczby najdobit-

Z CZASEM W JORDAŃSKIEJ OFERCIE GŁÓWNĄ ROLĘ PRZESTANIE ODGRYWAĆ REEKSPORT UŻYWANEGO SPRZĘTU PRODUKCJI ZACHODNIEJ



niej pokazują, jak się zmieniła tamtejsza zbrojeniówka od momentu objęcia tronu przez Abdullaha.

SILA WSPÓŁPRACY

Aby zaistnieć w branży obronnej, Jordania potrzebowała partnerów strategicznych. Co ciekawe, w tej grupie znalazły się zarówno państwa Zachodu, jak i Federacja Rosyjska oraz tzw. wschodzące rynki Azji i Afryki. Partnerem przy produkcji lekkich pojazdów opancerzonych jest np. brytyjska spółka Jankel Group, podczas gdy dzięki rosyjskiemu Rosoboronexportowi jest produkowany granatnik przeciwpancerny RPG-32 Nashab. Współpracę nawiązano także z południowoafrykańskim Paramount Group (produkcja elementów wyposażenia platform lądowych, morskich i powietrznych), tureckim Aselsan (systemy noktowizyjne), szwedzkim Securitas (ochrona osobista), malezyjskim Brahim's Holdings (racje żywnościowe), Bin Jabr Group ze Zjednoczonych Emiratów Arabskich (samochody Nimr) czy wspomnianą już firmą z Antypodów. W prace nad przebudową czołgów Centurion w bojowy wóz piechoty jest zaś zaangażowany amerykański gigant zbrojeniowy General Dynamics, a w modernizację M-60 włącza się Raytheon. Firmy te często zawiązują joint venture pod egidą KADDB, a powstała w ten sposób spółka córka wprowadza produkt na rynek krajowy i ewentualnie na rynki zewnętrzne. Warto zatem przyrzeć się nieco bliżej portfolio KADDB.

Jordańczycy zmodernizowali służące w ich armii brytyjskie czołgi Challenger-1. Wymienili m.in. system kierowania ogniem, system stabilizacji armaty czy system obrony przed bronią masowego rażenia. Do zintegrowania jest także przewidziana nowa, bezzałogowa wieża ze 120-milimetrową armatą gładkolufową Falcon.

Z kolei Phoenix to program modernizacji amerykańskich czołgów M-60. Część wycofywanych z linii egzemplarzy przerabia się także na wozy zabezpieczenia technicznego Monjed. Pewna liczba starszych centurionów została też przebudowana na ciężkie bojowe wozy piechoty Tamsah – mając masę 60 t i dwuosobową załogę przewożą one do dziesięciu żołnierzy desantu. Podwozie centuriona zostało również wykorzystane przy budowie wozów MAP II, służących jako bwp lub wozy dowodzenia lub amunicyjne. Jordańczycy mają jednak wciąż prawie 300 wycofanych z linii centurionów, więc opracowują także kolejną konstrukcję – bwp Dawsar. KADDB oferuje również modernizację pojazdów rodziny Scimitar i Scorpion.

Środowisko pustynne i półpustynne doskonale nadaje się do wykorzystania lekko uzbrojonych i opancerzonych pojazdów terenowych – Jordańczycy produkują bądź rozwijają kilka ich typów. Desert Iris to lekki wóz (masa 1,6 t) uzbrojony w zależności od wariantu w karabin maszynowy kalibru 7,62 mm lub 12,7 mm, 106-milimetrowe działo bezodrzutowe lub wyrzutnie ppk. Wspomniany wcześniej Nimr to cięższy (ponadczterotonowy) pojazd, opracowany w Zjednoczonych Emiratach Arabskich, lecz montowany również w Jordanii. Dla sił bezpieczeństwa i ochrony granic zostały stworzone m.in. pojazdy A Jawad i Al Tha'lab, a także powstało wiele wozów dowodzenia, ambulansów, samochodów dla VIP-ów. Z ciekawszych konstrukcji, które nie trafiły jeszcze do seryjnej produkcji, należy wymienić projekt transportera opancerzonego Wahash, a także program modernizacji pojazdów MRAP typu Cougar, zakładający montaż nowego uzbrojenia oraz systemu kamer termicznych.

Eksport uzbrojenia Jordanii [w mln USD, wg wartości z 1990 roku]

	2006	2007	2008	2009	2010	2011	2012	2013	2014	2015	Łącznie
Brazylia			12	32							44
Irak		13									13
Kenia					79		20				99
Liban				28	28					18	74
Libia								1			1
Pakistan								24	114		138
Tanzania		0,5									0,5
Jemen					6						6
Łącznie		13	12	60	113		20	25	114	18	375

Źródło: SIPRI

Biuro Konstrukcyjno-Rozwojowe im. Króla Abdullaha projektuje systemy zdalnie sterowane, czyli roboty do celów pirotechnicznych i rozpoznawczych. Pracuje również nad trzyosiowym zdalnym pojazdem bojowo-transportowym (jego ładowność ma wynosić do 200 kg, przy czym może to być zarówno transportowany ładunek, jak i system uzbrojenia).

ŚWIETLANA PRZYSZŁOŚĆ

Mówiąc o jordańskiej zbrojeniówce, trudno nie wspomnieć o dwóch podmiotach podporządkowanych Biuru Konstrukcyjno-Rozwojowemu im. króla Abdullaha, czyli grupie inwestycyjnej i parku przemysłowym.

KADDB Investment Group powstała w 2010 roku jako inwestycyjno-sprzedażowe ramię KADDB, a jej głównymi celami są: tworzenie i rozwój powiązań biznesowych z partnerami zagranicznymi, transfer know-how, dbałość o kadre jordańskiej zbrojeniówki. Jest także wystawcą reprezentującym Amman na targach zbrojeniowych na świecie. Firma składa się z pięciu branżowych klastrów: motoryzacyjno-przemysłowego, broni i amunicji, wyposażenia osobistego, elektronicznego i elektrooptycznego oraz pomocniczego. Obszarami jej szczególnego zainteresowania są przede wszystkim regiony Bliskiego Wschodu i Afryki, to głównie bowiem na tych rynkach jordańskie nowości i oferty modernizacyjne mają szansę być konkurencyjne.

KADDB Industrial Park został utworzony decyzją króla w 2006 roku. Położony około 50 km od Ammanu i oferujący powierzchnię użytkową 1,8 mln m² park

przemysłowy jest pierwszą w regionie specjalną strefą ekonomiczną tylko dla przemysłu obronnego. Mieszczą się tam zakłady produkujące samochody opancerzone i do przewozu VIP-ów, małe samoloty, systemy nokto- i termowizyjne, elementy wyposażenia i ochrony osobistej, amunicję, racje żywnościowe itd., czyli w zasadzie całość jordańskiej zbrojeniówki. Park jest reklamowany jako położony na pograniczu trzech kontynentów – Europy, Azji i Afryki, na terenie państwa dającego gwarancje stabilności politycznej, oferującego korzystne warunki biznesowe, nowoczesną infrastrukturę i wykwalifikowaną siłę roboczą.

W ciągu ostatniej dekady Jordania kupiła łącznie sprzęt o wartości 1,6 mld USD. Głównymi dostawcami były Stany Zjednoczone, Holandia, Belgia i Rosja. W najważniejszych kategoriach uzbrojenia haszymidzkie królestwo pozostanie oczywiście uzależnione od importu, ale dzięki kierunkowi wyznaczonemu przez króla Abdullaha rodzimy przemysł będzie w stanie w coraz większym stopniu zaspokajać potrzeby sił zbrojnych i formacji bezpieczeństwa. Współpraca z partnerami zagranicznymi i coraz częstsze wizyty przedstawicieli firm jordańskich na najbardziej prestiżowych targach przemysłu zbrojeniowego na świecie dają także podstawy sądzić, że z czasem w jordańskiej ofercie główną rolę przestanie odgrywać reeksport używanego sprzętu produkcji zachodniej, będzie się w niej za to pojawiać coraz więcej produktów KADDB i spółek z nim powiązanych. ■



Jordańczycy zmodernizowali służące w ich armii brytyjskie czołgi Challenger-1.

RICHARD BLUMENSTEIN / USMC

ARMIA

/ MARYNARKA WOJENNA

MARIAN KLUCZYŃSKI



ŁUKASZ ZALESIŃSKI

KORMORAN NA SZEROKICH WODACH

Na dobry początek okrętem nieźle pokołysało, a pokład został wysmagany przez porywisty wiatr. Wszelkie niedogodności stały się jednak mniej ważne wobec faktu, że budowa nowoczesnego niszczyciela min dla polskiej marynarki wkroczyła w fazę końcową. W połowie lipca ORP „Kormoran” rozpoczął próby morskie.



Pierwsza kawa na pokładzie? Jeszcze nie z ekspresu, jeszcze na wodzie z butelki, a nie z zapasów okrętowych, z kubka wypełnionego tylko do połowy, żeby nie porozlewać, bo naprawdę mocno bujało. Ale smakowała doskonale”, przekonuje kmdr por. Piotr Sikora, dowódca 13 Dywizjonu Trałowców. Trudno, aby było inaczej. Ten dzień mogłaby marynarzom zepsuć chyba tylko jakaś gigantyczna katastrofa, do której na szczęście nie doszło. 14 lipca niszczyciel min ORP „Kormoran” opuścił stocznię Remontowa Shipbuilding SA w Gdańsku, by rozpocząć próby morskie – ostatnie testy przed wejściem do służby.

SZTAFETA W NATOWSKIM ZESPOLE

W morze wychodzi nowoczesny, pachnący świeżością, budowany od podstaw dla polskiej marynarki okręt... Na taki moment trzeba było czekać ponad 20 lat, kiedy Stocznia Marynarki Wojennej wypuściła na Bałtyk trałowiec ORP „Wdzydze”. Pod względem technologicznym te dwie dekady to cała epoka. „Przed rozpoczęciem prób po raz kolejny przeszedłem się po okręcie. W pewnej chwili zacząłem się zastanawiać, czy w ogóle jestem w stanie ogarnąć te wszystkie systemy, tę masę elektroniki... »Kormorana« trudno porównać z jakąkolwiek jednostką przeciwminową polskiej marynarki. Bez dwóch zdań: to zupełnie nowa jakość”, podkreśla kmdr ppor. Michał Dziugan, dowódca nowego okrętu.

Historia budowy nowoczesnego niszczyciela min sięga wczesnej jesieni 2013 roku. Wówczas to Inspektorat Uzbrojenia Ministerstwa Obrony Narodowej podpisał umowę z konsorcjum, na którego czele stoi Remontowa Shipbuilding w Gdańsku, dawniej znana jako Stocznia Północna. W ciągu kilkudziesięciu ostatnich lat

przedsiębiorstwo stworzyło około tysiąca różnego typu jednostek pływających, w tym kilkadziesiąt okrętów. Wśród nich znalazł się choćby przebudowany z rosyjskiej stacji demagnetyzacyjnej okręt dowodzenia ORP „Kontradmiral Xawery Czernicki”. Kontrakt z resortem obrony zakładał, że do tej listy zostaną dopisane trzy jednostki typu Kormoran. Ich zadania mają się wiązać z poszukiwaniem, klasyfikacją, ale też stawianiem min morskich. Okręty będą osłaniały inne jednostki podczas przejścia morzem oraz pilnowały kluczowych szlaków żeglugowych. Podejmą też służbę w SNMCMG1, czyli pierwszym ze stałych zespołów sił obrony przeciwminowej NATO, który odpowiada za bezpieczeństwo na morzach północnej Europy. Dla Polski to szczególnie ważne, ponieważ rodzima marynarka od lat odgrywa podczas misji wiodącą rolę. Dwukrotnie zespołem dowodzili polscy oficerowie, okrętem flagowym zaś dwa razy był ORP „Kontradmiral Xawery Czernicki”. W skład SNMCMG1 regularnie wchodzi też niszczyciele min projektu 206FM, które jednak powoli dożywają swoich dni. I właśnie ich następcami mają się stać kormorany.

GOSPODARZE ODLICZAJĄ DNI

Budowa prototypowej jednostki ruszyła krótko po podpisaniu umowy. W gdańskiej stoczni powstał okręt o długości 58,5 m, szerokości przekraczającej 10 m oraz wyporności 830 t. Jego kadłub został zbudowany z amagnetycznej stali. „Ciekawym rozwiązaniem jest też napęd, który można porównać do samochodowej hybrydy. Okręt ma silniki spalinowe, ale też elektryczne, dzięki którym może się poruszać stosunkowo cicho”, wyjaśnia kmdr ppor. Dziugan. Wszystko to znacznie podnosi bezpieczeństwo załogi. Miny nowej generacji, które ma ona odnajdywać i niszczyć, są pobudzane przez pole magnetyczne i odpowiednio wysokie natężenie dźwięku.



WIELE ROZWIĄZAŃ Z „KORMORANA” ZOSTAŁO ZASTOSOWANYCH W NASZYCH SIŁACH MORSKICH PO RAZ PIERWSZY. OKRĘT JEST NASZPIKOWANY ELEKTRONIKĄ

A to dopiero początek. Wystarczy wspomnieć, że marynarze dostaną do dyspozycji zintegrowany system walki, nowoczesne sonary, liczne pojazdy podwodne, 23-milimetrową armatę Wróbel II, która wkrótce zostanie zastąpiona przez nowo skonstruowaną armatę Tryton kalibru 35 mm. Prototypowy egzemplarz niedawno został zamontowany na pokładzie korwety zwalczania okrętów podwodnych ORP „Kaszub”, gdzie przechodzi testy. Armaty może strzelać zarówno do celów powietrznych, jak i nawodnych, w ciągu minuty wyrzuci 550 pocisków na odległość do 4 km, a sterowana jest przez konsolę znajdującą się wewnątrz okrętu. Nowy niszczyciel min będzie też miał trzy WKM-y kalibru 12,7 mm.

„W pierwotnych planach były dwa. Zasugerowaliśmy jednak montaż trzeciego na rufie, która często na okrętach jest słabiej broniona”, tłumaczy kmdr por. Sikora.

Wiele zastosowanych na ORP „Kormoran” rozwiązań to dzieło polskich inżynierów. Wystarczy wymienić system wspomagania dowodzenia, stację hydrolokacyjną oraz ładunki do niszczenia min. Za ich dostawę odpowiada Ośrodek Badawczo-Rozwojowy Centrum Techniki Morskiej – spółka wchodząca w skład Polskiej Grupy Zbrojeniowej. „Systemy i urządzenia opracowane w CTM-ie to efekt doświadczenia, które ośrodek zdobywał przez ponad 30 lat. Dzięki nim nowo wybudowany niszczyciel ➔

ORP „KORMORAN”

POWINIEN WEJŚĆ DO SŁUŻBY W MARYNARCE WOJENNEJ W LISTOPADZIE 2016 ROKU

min stanie się ważnym elementem systemu bezpieczeństwa morskiego państwa”, podkreśla Andrzej Kilian, prezes spółki.

Tymczasem sam okręt rośnie w oczach. Z każdym dniem przybywa na nim wyposażenia, a budowę śledzą przedstawiciele załogi. „Marynarze muszą dokładnie wiedzieć, gdzie znajdują się poszczególne przewody. To ważne, tym bardziej że ORP »Kormoran« jest jednostką prototypową”, wyjaśnia kmdr por. Sikora. Rolę obserwatorów odgrywali również podczas prób morskich. „Za pracę okrętu odpowiada na razie załoga cywilna. Mamy u siebie wykwalifikowanych pracowników, którzy się tym zajmują”, podkreśla Bartłomiej Pomierski, dyrektor ds. projektów specjalnych w gdańskiej stoczni Remontowa Shipbuilding. Marynarzom pozostaje odliczanie dni do chwili, kiedy staną się na pokładzie prawdziwymi gospodarzami. A wszystko wskazuje na to, że już niedługo...

ZWROTNY JAK KORMORAN

Tak więc pierwszy dzień na morzu był trudny. Padało, bujało, siła wiatru dochodziła do pięciu, sześciu stopni w skali Beauforta, stan Bałtyku zaś oscylował wokół czterech stopni w skali Douglasa. A to oznacza, że wysokość fal sięgała nawet 2,5 m. Podczas drugiej serii testów w pierwszej połowie sierpnia było już o wiele lepiej. Na wodach Zatoki Gdańskiej sprawdzono działanie siłowni głównej i pomocniczej oraz manewrowość jednostki. Okręt np. rozpędzał się do maksymalnej prędkości, a potem gwałtownie hamował i dawał całą wstecz, wykonywał też zwroty przez poszczególne burty. „Jego możliwości zadziwiły nawet nas”, przyznaje kmdr ppor. Dziugan. „Okręt jest niezwykle zwrotny. Idąc całą naprzód, potrafi niemal w miejscu obrócić się o 180 stopni. Efekt jest niesamowity, bo z tyłu tworzy się ogromna fala, która wręcz przelewa się przez rufę”, dodaje. Podczas pierwszych wyjść sprawdzano również systemy wentylacji, klimatyzacji, mechanizmy hydrauliczne odpowiadające za podnoszenie i opuszczanie stacji podkilowej, działanie radaru czy też łączność – zarówno wewnętrzną, która zapewnia komunikację pomiędzy poszczególnymi działami, jak i zewnętrzną – z kapitanatem nadzorującym ruch na wodach Zatoki Gdańskiej. „Pierwsze testy miały przede wszystkim dać odpowiedź na pytanie, czy okręt jest w stanie bezpiecznie wyjść z portu i przemieszczać się po morzu”, wyjaśnia kmdr ppor. Dziugan.

Z czasem sprawdziany będą się stawały coraz bardziej skomplikowane. Wkrótce ORP „Kormoran” przeciwiczy np. współpracę ze śmigłowcem. Potem testy obejmą m.in. systemy bojowe, w tym działanie pojazdów podwodnych. Okręt ma sonar zmiennej głębokości Double Eagle, który jest opuszczany pod wodę na światłowodzie. Do tego dochodzi autonomiczny, bezzałogowy pojazd Hugin. Pływa on po wyznaczonej wcześniej trasie i rejestruje zalegają-

ce pod powierzchnią obiekty. „Na pokładzie znajduje się też pojazd Morświn, połączony z okrętem za pomocą specjalnej pępowiny. Będzie on mógł podkładać toczone, czyli ładunki wybuchowe przeznaczone do detonacji min”, informuje kmdr por. Sikora. Jednostka zostanie wyposażona wreszcie w głuptaki, i to w dwóch wersjach. Pierwsza, inspekcyjna, posłuży do identyfikacji ewentualnych niewybuchów; druga, bojowa, sama zdetonuje się przy obiekcie, który należy zniszczyć. „Takie rozwiązanie jest bardzo dobre, gdy działa się pod presją czasu, np. tuż przed desantem własnych wojsk”, zaznacza kmdr por. Sikora. Możliwości głuptaków były już przez marynarzy z 13 Dywizjonu sprawdzane na Świnie. „Zależało nam, by przetestować je na akwenie, gdzie nurt jest bardzo silny”, podkreśla kmdr por. Sikora. Warto zaznaczyć, że zarówno morświn, jak i głuptak to dzieła naukowców z Politechniki Gdańskiej.

HISTORIA Z NOWYM ROZDZIAŁEM

Jak dotąd, budowa i testy ORP „Kormoran” przebiegają zgodnie z planem. Jeśli nie wydarzy się nic nieprzewidzianego, powinien on wejść do służby w listopadzie 2016 roku. Dołączy do 13 Dywizjonu Trałowców, który stacjonuje w gdyńskim porcie, a podlega 8 Flotylli Obrony Wybrzeża w Świnoujściu. W dziejach marynarki zostanie otwarty zupełnie nowy rozdział. „Wiele rozwiązań z »Kormorana« zostało zastosowanych w naszych siłach morskich po raz pierwszy. Okręt jest naszpikowany elektroniką. Opanowanie poszczególnych systemów wymaga od marynarzy długich przygotowań i węższej niż dotąd specjalizacji. Niewykluczone, że to właśnie kierunek, w którym będzie zmierzać szkolenie w całej naszej marynarce”, podsumowuje kmdr por. Dziugan. Kolejne dwa niszczyciele typu Kormoran zgodnie z planem powinny powstać i wejść do służby w 2019 oraz 2022 roku. ■



MUZEUM
WOJSK
LĄDOWYCH
w Bydgoszczy

ul. Czerkaska 2, 85-641 Bydgoszcz
tel. 261 41-20-26, fax 261 41-23-31

www.muzeumwl.pl

Znajdź nas na Facebooku 

Oddział w Toruniu
ul. Sobieskiego 24-28, 87-100 Toruń
tel. 261 43-24-66
fax 261 43-24-65

Oddział we Wrocławiu
ul. Obornicka 108, 50-961 Wrocław
tel. 261 65-74-23, 261 65-74-24



W czerwcu 2016 roku rząd podjął decyzję, aby Ministerstwo Obrony Narodowej rozpoczęło procedurę pozyskania dwóch małych oraz trzech średnich samolotów (w tym jednego używanego) do przewozu najważniejszych osób w państwie. Jak tłumaczy płk Sławomir Lewandowski, główny specjalista w Inspektoracie Uzbrojenia, mały samolot to statek powietrzny klasy bussines-jet o liczbie miejsc pasażerskich nie mniejszej niż 14, z zasięgiem

moloty zostanie zawarta jeszcze w tym roku, a na średnie (poprzedzona nieco dłuższymi negocjacjami z wykonawcami) w pierwszym kwartale 2017 roku. Zgodnie z przyjętymi założeniami producent, który wygra przetarg, powinien dostarczyć w 2017 roku małe samoloty oraz jeden średni używany (dostawa nowych jest planowana na lata 2020–2021, co jest związane z dłuższym czasem produkcji i koniecznością wyposażenia maszyn w różne systemy, a w tym obrony czynnej i biernej).

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

Flota dla VIP-ów

Resort obrony chce kupić samoloty dla najważniejszych osób w państwie. Chodzi o maszyny małego i średniego zasięgu.



kontynentalnym dla kompletu pasażerów oraz transatlantyckim dla ich zmniejszonej liczby. Średni natomiast powinien zabierać na pokład nie mniej niż 65 pasażerów.

Przetarg zostanie ogłoszony w trzecim kwartale 2016 roku. Cztery nowe maszyny oraz ewentualnie jedna używana mają kosztować około 1,7 mld zł. Pieniądze będą pochodzić z budżetów państwa i MON-u. Inspektorat Uzbrojenia przewiduje, że umowa na małe sa-

„Te samoloty powinny umożliwiać wykonanie lotów VFR [Visual Flight Rules] i IFR [Instrument Flight Rules] w międzynarodowej przestrzeni powietrznej, zgodnie z wymaganiami ICAO [International Civil Aviation Organisation]. Oznacza to, że ich wyposażenie i parametry powinny odpowiadać wymaganiom międzynarodowym dotyczącym samolotów danej klasy i osiągnięć”,

wyjaśnia płk Sławomir Lewandowski. Maszyny mają być wyposażone w najnowocześniejsze systemy bezpieczeństwa oraz dowodzenia z powietrza, a piloci zostaną przeszkoleni przez producenta. „Wstępne założenia i analizy wykazują, że pełną gotowość do przewozu najważniejszych osób w państwie na dostarczonych samolotach Siły Zbrojne RP osiągną po około sześciu miesiącach od dostawy”, mówi płk Sławomir Lewandowski.

Mniejsze samoloty będą obsługiwały loty krajowe, większe – europejskie, a po spełnieniu odpowiednich warunków również międzykontynentalne. Nie ma mowy o zakupie dużego samolotu, lecz o możliwości czarteru od LOT-u dreamlinera w razie wizyt państwowych na Dalekim Wschodzie czy w Australii.

POTRZEBNE OD LAT

Eksperti chwalą przyjęty przez MON kierunek zakupu samolotów dla VIP-ów. W większości krajów najważniejsze osoby w państwie mają do dyspozycji własne maszyny. Tymczasem u nas latają wyczarterowanymi od LOT-u embraerami 175. Tam zaś, gdzie niemożliwe jest użycie transportu cywilnego, np. w rejonie działań wojennych, wojsko przewozi oficjalne delegacje swoimi samolotami transportowymi. W gestii wojska pozostaje także transport śmigłowcami osób na najwyższych stanowiskach w państwie.

O zakupie samolotów dla VIP-ów mówi się co najmniej od lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku, kiedy roz-

W 2010 roku MON zawarło z LOT-em umowę na dzierżawę dwóch samolotów Embraer 175 do przewozu VIP-ów. Po jej wygaśnięciu, podpisano nowe porozumienie na lata 2014-2017.



ważano wymianę floty 36 Specjalnego Pułku Lotnictwa Transportowego. Żadne z przeprowadzonych postępowań nie zakończyło się jednak podpisaniem umowy. W 2010 roku MON zawarło z LOT-em umowę na dzierżawę dwóch embraerów 175 do przewozu VIP-ów. Gdy wygasła ona w 2013 roku, podpisano nowe porozumienie, na

lata 2014–2017. Na potrzeby rządu maszyny zostały odpowiednio przystosowane – przemalowano je w barwy RP, wyposażono w łączność satelitarną i przebudowano wnętrza. Embraery mają jednak istotne ograniczenia. Jak tłumaczy rząd, „nie zabezpieczają wymaganego bezpośredniego przelotu transatlantyckiego z kraju”. Dlatego poprzedni prezydent RP na szczycie ONZ-etu w Nowym Jorku latał samolotami rejsowymi.

KOLEJNE PODEJŚCIE

W 2013 i 2014 roku, po analizie wykorzystania embraerów, MON podjęło decyzję o pozyskaniu dwóch maszyn małych i dwóch średnich, które miały uzupełnić istniejący system transportu VIP-ów. Wyczarterowanie ich miało być rozwiązaniem tymczasowym. Pierwszy przetarg został unieważniony, bo uznano, że jedyna oferta jest za droga. Drugi nie wyłonił zwycięzcy, ponieważ do konkursu stanęły dwie firmy, podczas gdy w postępowaniu wymagano udziału co najmniej trzech.

Pod koniec lutego 2016 roku wiceminister Bartosz Kownacki poinformował, że został unieważniony przetarg na dwa małe samoloty pasażerskie do przewozu VIP-ów, rozpisany w poprzednim roku przez ówczesne

kierownictwo MON-u. Resort chciał wtedy kupić dwie maszyny z miejscami dla 12–14 pasażerów, mające nie więcej niż dziewięć lat, a nalot nie mógł być większy niż 3500 godzin. Przetarg unieważniono, bo – jak tłumaczył wiceminister Bartosz Kownacki podczas jednego z posiedzeń sejmowej Komisji Obrony Narodowej – dotyczył zakupu samolotów, które przewoziłyby zaledwie kilkanaście osób. Co więcej, była brana pod uwagę możliwość pozyskania maszyn używanych, mówił Bartosz Kownacki. Jak wówczas wyjaśniał, obecne kierownictwo ministerstwa zdecydowało się na równoległe ogłoszenie przetargów na zakup samolotów małych i średnich oraz na czarter dużej maszyny kilka razy w roku.

Choć oferty nie zostały jeszcze złożone, można przypuszczać, że w przetargu na mały samolot będą rywalizować m.in.: francuski Dassault Aviation (samolot Falcon), amerykański Gulfstream Aerospace i kanadyjski Bombardier (Global). Średnią maszynę wybierzemy najprawdopodobniej także spośród trzech producentów: amerykańskiego Boeinga, francuskiego Airbusa oraz brazylijskiego Embraera. ■



MARCIN GÓRKA

WSTĘGA DO LAMUSA

Nasze wojska inżynieryjne do budowania przepraw mają mosty P-64 Wstęga z lat sześćdziesiątych ubiegłego wieku, które przeżera korozja. Najwyższy czas rozejrzeć się za nowym sprzętem.

Międzynarodowe ćwiczenia „Anakonda” były okazją do weryfikacji nie tylko umiejętności współpracy między wojskami sojuszniczymi, lecz także sprzętu, którym dysponują wojska aliantów. Polscy saperzy byli pod wrażeniem, gdy przekonali się, jakie możliwości dają nowoczesne zestawy do budowy przepraw mostowych. Sami bowiem mają sprzęt z lat sześćdziesiątych ubiegłego wieku. „Nasz zwyczajnie się już zużywa”, przyznaje płk Andrzej

Solarz, szef Zarządu Inżynierii Wojskowej Inspektoratu Rodzajów Wojsk Dowództwa Generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych. „Potrzebujemy nowego sprzętu i bardzo dobrze, że w trakcie »Anakondy« była możliwość porównania wyposażenia naszego z sojuszniczym”.

Z POPRZEDNIEJ EPOKI

Nasza wstęga to konstrukcja sprzed 50 lat. Pierwsze komplety tych mostów Wojsko Polskie dostało na począt-



MOST M3 JEST SAMOBIEŻNY – PO ZRZUCENIU GO DO WODY URUCHAMIA SIĘ SILNIK I POJE- DYNICZY ELEMENT MOŻE SŁUŻYĆ OD RAZU JAKO PRZE- PRAWA PROMOWA DLA POJAZDU

COMCAM.PL

ku lat siedemdziesiątych, a ostatnie na początku lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku. Oczywiście ten sprzęt jest wciąż używany, bo działa dzięki zabiegom konserwacyjnym specjalistów z wojskowych warsztatów. Dzięki temu np. co roku w czerwcu PP-64 służy żołnierzom z 5 Pułku Inżynieryjnego w Szczecinie do budowy przeprawy przez Odrę na wysokości szczecińskiej starówki. Most jest wówczas jedną z atrakcji Dni Morza – tłumy mieszkańców Szczecina i turystów przechodzą po tej

przeprawie na wyspę Łasztownia, na co dzień trudno dostępnej dla pieszych.

W czasie „Anakondy” polscy saperzy zbudowali pod Krosnem Odrzańskim most w niewiele ponad pół godziny, ale tyle samo czasu zabrało żołnierzom z batalionu wielonarodowego postawienie przeprawy na odcinku ponaddwukrotnie szerszym. „Do budowy nowoczesnych mostów potrzeba mniej czasu, ale też zaangażowania mniejszej liczby ludzi i sprzętu do transportu”, podkreśla ➔



COMCAM.PL

POTRZEBA 46 ŻOŁNIERZY I 24 SAMOCHODÓW CIĘŻAROWYCH, ABY POSTAWIĆ NOWOCZESNĄ PRZEPRAWĘ PONTONOWĄ TYPU IRB NA DŁUGOŚCI 100 M

płk Solarz. To było szczególnie widać w trakcie ćwiczeń, kiedy udało się przetestować budowę przepraw za pomocą aż trzech różnych typów mostów. Wielonarodowy batalion inżynieryjny, stworzony na potrzeby „Anakondy” przez wojska brytyjskie, niemieckie i holenderskie, aż dwukrotnie wybudował na Wiśle pod Chełmnem przeprawę mostową z amerykańskich samobieźnych zestawów M3. Służyły one m.in. kolumnie amerykańskich pojazdów Stryker, które – jako transportujące wojska lądowe aliantów – zmierzały do Torunia, by odbić miasto z rąk wroga. Potem do budowy przeprawy na tym samym ponadtrzystumetrowym odcinku rzeki wielonarodowy batalion użył mostów pontonowych typu IRB. W obu wypadkach najpierw pojedyncze elementy konstrukcji służyły jako przeprawa dla pojazdów, które zabezpieczały budowę mostu z drugiej strony rzeki. Wtedy, pod osłoną śmigłowców z powietrza, na wodzie łączono poszczególne zestawy jak klocki.

BEZ PORÓWNIANIA

Polscy saperzy z 2 Pułku Inżynieryjnego wykorzystali natomiast własny sprzęt, pontonowe mosty PP-64. Wstęga, by połączyć brzozy Odry pod Krosnem Odrzańskim na szerokości 134 m. Nasi saperzy mieli okazję do porównania najważniejszych parametrów konstrukcji. Do zbudowania 100 m mostu z samobieźnych zestawów M3 potrzeba 24 żołnierzy i ośmiu samochodów do transportu. Aby postawić nowoczesną przeprawę pontonową typu IRB, na takim samym odcinku musi pracować 46 żołnierzy i są potrzebne 24 samochody ciężarowe. Zbudowanie 100 m mostu PP-64 wymaga już około 100 osób obsługi i aż 54 pojazdów! Różnica jest znaczna także w możliwościach przeprawowych. PP-64 był konstruowany z myślą o obciążeniu pojazdami do 40 t. Dzisiejsze pole walki wymaga jednak, aby mogły przejechać pojazdy ważące dwa razy więcej i takie możliwości dają właśnie M3 i IRB. A takich parametrów wymagają polskie czołgi Leopard – każdy z nich waży ponad 65 t.

Różnica jest także w samym sposobie budowy mostów. M3 jest samobieźny – po zrzuconiu go do wody uruchamia się silnik i pojedynczy element może służyć od razu jako przeprawa promowa dla pojazdu, który zabezpieczy budowę właściwej konstrukcji, następnie już na wodzie połączyć się z innymi w jedną wstęgę. W ten sposób most na szerokiej ponad 300 m Wiśle wybudowano w nieco ponad pół godziny, ustanawiając tym samym na „Anakondzie” nieoficjalny rekord.

PP-64 i IRB są budowane podobnie, bo oba są mostami pontonowymi, ale i tu widać ogromną różnicę w konstrukcji. Przede wszystkim IRB jest aluminiowy, a PP-64 zbudowany ze stali, więc wiele jego elementów rdzewieje i pęka. Oprócz tego IRB zrzuca się do wody i w niej następuje rozłożenie konstrukcji, a wstęgę trzeba rozłożyć jeszcze na samochodzie, więc jest konieczny dobry podjazd do wody dla ciężarówki. „Mosty z amfibii M3 możemy w zasadzie wybudować w każdym miejscu, bo nie potrzebujemy w ogóle nabrzeża do ich rozłożenia. IRB wymaga już wolnego odcinka brzozy, żeby można było zrzucić go z ciężarówek”, wyjaśnia dowódca wielonarodowego batalionu inżynieryjnego płk Thorsten Schwiering.

Wydawać by się zatem mogło, że most typu M3 bije wszystkie konstrukcje na głowę. Saperzy, choć są pod wrażeniem tego systemu, podkreślają jednak, że obie nowoczesne konstrukcje mają swoje plusy. „Wszystko zależy od potrzeb. Odmienne jest zastosowanie mostu typu M3 i IRB”, wyjaśnia płk Solarz. „Z pierwszego powstają tzw. szybkie przeprawy, np. dla oddziałów pierwszego rzutu, ale żeby postawić most dla logistyki czy służący dłuższy czas, do przepraw większych sił, lepsze zastosowanie ma konstrukcja IRB. Szczepnie mówiąc, przydałyby się nam mosty obu typów”. Nieoficjalnie wiadomo, że konstrukcja typu IRB jest dla naszego wojska wygodniejsza, ponieważ jest mostem pontonowym, zatem nie ma potrzeby zmieniania całego systemu szkolenia wojsk inżynieryjnych, które nie mają doświadczenia w budowaniu mostów typu samobieźnego. ■

ST. CHOR. SŁAWOMIR OSZMIAŃSKI


Data i miejsce urodzenia:

17 kwietnia 1976 roku,
Fornetka k. Suwałk.

W wojsku służy od: 7 listopada
1995 roku.

Tradycje wojskowe: brak.

Edukacja wojskowa: Szkoła Chorążych
Wojsk Rakietowych i Artylerii w Toruniu
(promocja 1999 roku).

Zajmowane stanowisko: dowódca plu-
tonu.

Jednostka wojskowa: 6 Batalion Po-
wietrznodesantowy w Gliwicach, 6 Bry-
gada Powietrznodesantowa w Krakowie.

Zostałem żołnierzem, bo: zawsze mi się
podobały mundur i dyscyplina wojskowa.

*Co robię po służbie:
w wolnych chwilach
relaksuję się przy
dobrym filmie lub
spaceruję z rodziną
po lesie. Interesuję się także
grami komputerowymi.*



Najlepsza broń: cenię niezawodność
karabinka kbk AKMS kalibru
7,62 mm, ale jako artylerzysta sta-
wiam na moździerz M-120.

Gdybym mógł zmienić coś w wojsku: uważam, że wiele elementów wyposażenia indywidualnego żołnierzy można byłoby wymienić na modele o lepszych parametrach technicznych. Powinno się także zmniejszyć liczbę „tworzonej” dokumentacji szkoleniowej i zmodyfikować sposób ewidencjonowania wyników szkolenia.

Moje największe osiągnięcie: dziewięć lat temu otrzymałem honorowy tytuł Podoficera Roku 6 Brygady. Oprócz tego opracowałem kilka programów obliczeniowych, które znacznie skracają czas przygotowania komend ogniowych podczas strzelań z moździerzy. Programy te są wykorzystywane przez wszystkie kompanie moździerzy w 6 BPD.



Misje i ćwiczenia: służyłem w Bośni i Hercegowinie w ramach PKW SFOR, następnie PKW EUFOR. Brałem udział w wielu różnego rodzaju ćwiczeniach, m.in. w „Anakondzie”.

Przełomowe wydarzenie w życiu: podjęcie decyzji o zawodowej służbie wojskowej.

W umundurowaniu polskiego żołnierza podobają mi się: kamuflaż oraz noszone na umundurowaniu symbole narodowe i znaki rozpoznawcze.

Gdybym nie został żołnierzem, byłbym dziś: nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Prawdopodobnie związałbym się z innym rodzajem służb mundurowych.

Moja książka życia: „Lśnienie”
Stephena Kinga.



Niezapomniany film: lubię oglądać polskie kino okresu powojennego oraz filmy sensacyjne. Wśród moich ulubionych filmów są: „Predator”, „Snajper”, „Czterej pancerni i pies” oraz „Czerwone berety”.

KADR

/ ĆWICZENIA



ANNA DĄBROWSKA

Rosomaki w kopalni

Polacy wzięli udział w serii ćwiczeń, które NATO, w związku ze wzmacnianiem stałej obecności państw sojuszu wspierających kraje bałtyckie, zorganizowało na terenie Litwy, Łotwy i Estonii.

PATRYK CIELIŃSKI/DGRSZ





Polska kompania zmotoryzowana, wspierana przez łotewski pluton przeciwpancerny oraz amerykańskich kadetów, uczyła się taktyki. Ćwiczono m.in. działania obronne i natarcie.

Działania taktyczne i kierowanie ogniem ćwiczyli żołnierze z 17 Wielkopolskiej Brygady Zmechanizowanej w Estonii. „Naszym poligonem jest plac ćwiczeń taktycznych Sirgala, w tym opuszczona kopalnia odkrywkowa niedaleko granicy rosyjskiej”, poinformował kpt. Krzysztof Ilnicki, dowódca 5 Kompanii Piechoty Zmotoryzowanej 7 Batalionu Strzelców Konnych. Szkolenie to część operacji „Assurance Measures”, czyli serii ćwiczeń, które NATO zorganizowało na terenie Litwy, Łotwy i Estonii w związku ze wzmacnianiem stałej obecności państw sojuszu wspierających kraje bałtyckie. To pierwsze tego typu szkolenie z udziałem polskich żołnierzy. Uczestniczyło w nim około 150 wojskowych, nie tylko z 5 Kompanii, lecz także strzelcy wyborowi, zwiadowcy oraz logistycy. Żołnierze zabrali

ze sobą 17 rosomaków w różnych wersjach, m.in. wóz ewakuacji medycznej oraz dwa transportery w wersji rozpoznawczej, a także karabinki i broń wyborową.

W czerwcu strzelcy szlifowali umiejętności na poligonie w Adazi na Łotwie. Wzięli tam udział w międzynarodowych manewrach „Saber Strike '16”. Polska kompania zmotoryzowana, wspierana przez łotewski pluton przeciwpancerny oraz amerykańskich kadetów, uczyła się taktyki. Ćwiczono m.in. działania obronne i natarcie. Z kolei w lipcu w Estonii żołnierze z Wędrzyna szkolili się wspólnie z wojskowymi z tamtejszych jednostek zmechanizowanych, dzieląc się nawzajem doświadczeniami. „Trening z Polakami to bardzo dobra okazja dla naszych sił zbrojnych do poznawania waszego wyposażenia i wyszkolenia, co buduje bazę do przyszłych



ŻOŁNIERZE 17 WIELKOPOL- SKIEJ BRYGADY ZMECHANIZOWA- NEJ ĆWICZYLI W OPUSZCZO- NEJ KOPALNI W ESTONII



wspólnych operacji w ramach NATO”, stwierdził na Facebooku ppłk Arno Kruusmann, dowódca estońskiego 1 Batalionu 1 Brygady Piechoty. Robert Filipczak, ambasador Polski w Estonii, mówił z kolei, że obecność polskich żołnierzy jest kontynuacją wieloletniej współpracy wojskowej obu krajów, ale przede wszystkim potwierdzeniem naszych sojuszniczych zobowiązań. Ostatnim etapem ćwiczeń było szkolenie na Litwie na poligonach w Rukle i Pabrade. Do domu żołnierze z 17 WBZ wrócili pod koniec wakacji. ■



KRZYSZTOF WILEWSKI

Bez zakłóceń

Mimo trwającego już kilkanaście lat zaangażowania militarnego w Afganistanie, na Bałkanach oraz w Zatoce Perskiej, armie sojuszu północnoatlantyckiego wciąż muszą się uczyć, jak współdziałać na polu walki.

Pilot śmigłowca zameldował: „za pięć minut jesteśmy nad celem”. „Potwierdzam, koordynaty bez zmian”, usłyszał w odpowiedzi. 26 listopada 2011 roku, tuż po godzinie drugiej w nocy, wojska NATO dokonały nalotu na niewielkie zabudowania na obrzeżach pakistańskiego miasteczka Salala. Zgodnie z informacjami wywiadu mieli się tam znajdować ważni lokalni przywódcy talibów. Niestety grupa uderzeniowa, składająca się z dwóch śmigłowców AH-64D Apache Longbows, szturmowej wersji transportowego herculesa, czyli AC-130H Spectre Gunship, pary F-15E Eagle oraz rozpoznawczego MC-12W Liberty, zamiast kryjówki ter-

rorystów, wybrała na cel swojego ataku dwa posterunki pakistańskiej armii. W wyniku bombardowania i ostrzału zginęło 28 miejscowych żołnierzy.

Wydarzenie nazwane przez media „Salala attack” lub „26/11 attacks” miało poważne konsekwencje dla operacji NATO w Afganistanie. Po tym incydencie Pakistan zamknął jedyną drogę zaopatrzeniową dla sił sojuszu, biegnącą z Peszawaru do Afganistanu. Rząd w Islamabadzie zażądał również, aby Amerykanie opuścili bazę sił powietrznych w Shamsi, skąd ISAF prowadziło operacje lotnicze na południe od Kabulu. Wprawdzie po kilku miesiącach Pakistan odblokował drogę oraz cofnął nakaz opusz-

CWIX '16

ZADANIA

- Walidacja oraz weryfikacja rozwiązań narodowych wspierających procesy dowodzenia.
- Ocena interoperacyjności rozwiązań teleinformatycznych w ramach osiągnięcia zdolności Federated Mission Networking.
- Ocena interoperacyjności rozwiązań teleinformatycznych w ramach osiągnięcia zdolności NRF oraz Joint Task Force.
- Ocena stanu interoperacyjności systemów modelowania i symulacji NATO z rozwiązaniami narodowymi.
- Rozwój zdolności teleinformatycznych w dziedzinie „NATO Cyber Defence”.
- Analiza możliwości wykorzystania nowych technologii w zastosowaniach militarnych.

czenia bazy, ale nie wiadomo, za jaką cenę polityczną i ekonomiczną.

Chociaż od „Salala attack” minęło już prawie pięć lat, do dziś nie wiadomo, czy wtedy zawinił człowiek, wpisując do sojuszniczego systemu dowodzenia błędne dane o położeniu celu, czy może to system źle przekazał do statków powietrznych dane z ziemi. Po tej tragedii NATO nadało priorytet nie tylko usprawnieniu funkcjonującej w Afganistanie sojuszniczej sieci dowodzenia (Afganistan Mission Network), lecz także jak najszybszemu osiągnięciu przez sojusz lepszej interoperacyjności w zarządzaniu walką.

SIŁA I SŁABOŚĆ GRUPY

Właściwie od początku istnienia sojusz północnoatlantycki zdaje sobie sprawę z tego, że paradoksalnie jego największą słabością jest to, że tworzy go kilkadziesiąt państw. Sztuką jest bowiem, żeby armie z tylu krajów sprawnie ze sobą współdziałały na polu walki. Przy czym to wyzwanie wraz z upływem lat wcale nie znika. Wręcz przeciwnie. Kiedyś wystarczyło opracowanie wytycznych i norm. Współczesne pole walki jest jednak tak dynamiczne, że wymaga błyskawicznych, podejmowanych w minuty, decyzji. Narzędziem, które to umożliwia, są nowoczesne systemy dowodzenia, łączności i rozpoznania klasy C4ISR (Command, Control, Communications, Computers, Intelligence, Surveillance and Reconnaissance).

NATO już od ponad 20 lat stara się wprowadzić automatyzację dowodzenia. Pierwsze ćwiczenia sojusznicze komputerowo wspomaganym systemów dowodzenia i łączności odbyły się bowiem w 1995 roku. „Combined Endeavor '95” są najlepszym przykładem na to, jak czasami słaba jest siła sojuszu. Początkowy zamysł ujednolicenia komputerowych systemów dowodzenia bardzo szybko padł bowiem ofiarą biznesowych interesów firm zbrojeniowych z USA i Europy. Zamiast jednności, w tej dziedzinie rozwijały się odrębne koncepcje, a ćwiczenia „Combined Endeavor” stały się areną rywalizacji i porównań.

Sprawy unormowały się dopiero w 2002 roku, gdy na szczycie w Pradze cały sojusz uznał, że czas scalić wysiłki. Powstała wtedy Agencja NATO ds. Konsultacji, Dowodzenia i Kierowania (NATO Consultation, Command and Control Agency – NC3A). Nowa instytucja miała się zająć opracowaniem standardów technicznych, które musiałyby spełniać wszystkie natowskie systemy dowodzenia. Wspólnie z utworzonym na podstawie praskich decyzji Strategicznym Dowództwem NATO ds. Transformacji (Allied Command Transformation) w 2004 roku po raz pierwszy zorganizowała ćwiczenia o kryptonimie „Coalition Warrior Interoperability” (CWI), na których miały być testowane i oceniane natowskie systemy dowodzenia i łączności. W 2009 roku przyjęto nazwę CWIX od słów „eXploration, eXperimentation, eXamination i eXercise”, i zdecydowano, że od 2010 roku ćwiczenia będą się odbywać w Centrum Szkolenia Sił Połączonych w Bydgoszczy (Joint Force Training Centre – JFTC).

NAJWAŻNIEJSZE DLA NATO

Kraje, które zdecydowały się wziąć udział w „CWIX '16”, zgłosiły ponad 200 teleinformatycznych systemów dowodzenia i łączności. Przez trzy tygodnie zostały one poddane aż 3,5 tys. przeróżnych prób i testów. Jak wyjaśnia mjr Alex Vershinin z US Army, który kierował zespołem przygotowującym CWIX w JFTC, na potrzeby szkolenia utworzono trzy wirtualne wielonarodowe bataliony, aby jak najlepiej oddać bojowe realia: „Najważniejszym zadaniem ćwiczeń była weryfikacja i ocena interoperacyjności poszczególnych rozwiązań teleinformatycznych, więc musiały być one sprawdzane w środowisku wielonarodowym. Dlatego zdecydowaliśmy utworzyć nie tylko międzynarodowe bataliony, lecz także kompanie”.

Amerykański oficer wyjaśnia, że ćwiczenia składały się z kilkudziesięciu, niepowiązanych ze sobą jednolitym scenariuszem, bojowych zadań. „W jednym np. francuski patrol otrzymał z polskiego drona rozpoznawczego dane, na których podstawie wezwał wsparcie ogniowe od oddalonego o 10 km pododdziału portugalskiej artylerii, a na do- ➔

DO UDZIAŁU W ĆWICZENIACH „CWIX '16” ZGŁOSIŁO SIĘ 21 PAŃSTW:

17 należących do NATO: Bułgaria, Kanada, Czechy, Dania, Francja, Niemcy, Węgry, Włochy, Holandia, Norwegia, Portugalia, Rumunia, Słowacja, Turcja, Wielka Brytania, Stany Zjednoczone i Polska; a także cztery kraje partnerskie sojuszu: Austria, Szwajcaria, Finlandia i Szwecja. Pięć krajów należących do NATO: Albania, Belgia, Estonia, Litwa i Hiszpania oraz cztery kraje partnerskie: Australia, Nowa Zelandia, Ukraina i Korea Południowa, zgłosiły do ćwiczeń akces, ale jako obserwatorzy. W podobnej roli wystąpiły dowództwa i agencja NATO: Naczelne Dowództwo NATO ds. Transformacji (Allied Command Transformation – ACT), Centrum Szkolenia Sił Połączonych NATO (Joint Force Training Centre NATO – JFTC), Połączone Centrum Działań Bojowych (Joint Warfare Centre – JWC), NATO Centre for Maritime Research and Experimentation – CMRE, NATO Cooperative Cyber Defence Centre of Excellence – CCD COE, NATO Modelling and Simulation Centre of Excellence – M&S COE, Agencja Łączności i Informacji NATO (NATO Communications and Information Agency – NCIA). ■

dowało, że do akcji musi wkroczyć również włoskie lotnictwo”, opisywał mjr Vershinin, podkreślając, że w zadaniu najważniejsze było sprawdzenie, jak systemy dowodzenia i łączności z poszczególnych państw komunikują się ze sobą.

Znaczenie ćwiczeń „CWIX” dla całego NATO i jego przyszłości bardzo mocno podkreślał gen. Denis Mercier, naczelny dowódca NATO ds. transformacji, który pojawił się w Bydgoszczy z krótką wizytą. „Działając w operacjach wielonarodowych, musimy mieć pewność, że nasze systemy dowodzenia i łączności są w pełni kompatybilne, a przekazywanie między poszczególnymi nacjami informacji, rozkazów, danych rozpoznawczych, będzie się odbywało bez najmniejszych przeszkód”, mówił, zwracając uwagę, że „CWIX” to największe ćwiczenia tego typu organizowane przez NATO. Co więcej, francuski generał wyjawiał, że od tego roku będą się wpisywały w dwuletni cykl szkoleń zwiększających interoperacyjność nатовskich systemów dowodzenia: „Rozwiązania testowane podczas „CWIX”, po naniesieniu poprawek i ulepszeń, będą ponownie weryfikowane w trakcie przyszłorocznych ćwiczeń o kryptonimie »Steadfast Cobalt«. Kolejnym etapem będzie ich certyfikacja operacyjna za dwa lata na »Trident Juncture« lub »Trident Joust«”.

MOCNE POLSKIE AKCENTY

Podobnie jak w poprzednich latach, polska armia była jednym z najbardziej aktywnych uczestników ćwiczeń „CWIX”. Jak podkreślał gen. bryg. Jan Dziedzic, zastępca szefa Sztabu Generalnego WP, polskie wojsko sprawdziło tutaj aż 13 rozwiązań teleinformatycznych. „Jaśmin i Łeba to są systemy używane przez naszą armię i tutaj testujemy ich kolejne możliwości”, mówił generał w czasie

wizyty. Dodał też, że polska armia w międzynarodowym środowisku weryfikuje rozwiązania przeznaczone dla wojsk lądowych, sił powietrznych oraz sił morskich.

Jeśli chodzi o systemy dla lądówki, to sprawdzano m.in. wymianę informacji między stanowiskami dowodzenia szczebla taktycznego i operacyjnego oraz identyfikację własnych i sojuszniczych wojsk na polu walki. Co do tych przeznaczonych dla marynarzy i lotników, to podczas ćwiczeń nacisk położono na sprawdzenie implementacji w nich nатовskich protokołów – m.in. Link 11B, Simple-Link 11, Link 16 oraz NFFI. Jak wypadły polskie rozwiązania na międzynarodowych testach? Znakomicie. „Jesteście w ścisłej czołówce w tej dziedzinie. Wasz system Jaśmin służył w batalionach do wymiany danych między systemami dowodzenia z różnych krajów, bazujących na odmiennych protokołach i bazach danych”, komentował jeden z belgijskich oficerów z NCIA (NATO Communications and Information Agency).

KROK W PRZYSZŁOŚĆ

Bez komunikujących się ze sobą bez problemów zautomatyzowanych systemów dowodzenia i łączności wojska NATO nie będą mogły działać sprawnie na polu walki. „CWIX” pokazują, że armie na całym świecie albo już mają niezbędne do tego narzędzia, albo bardzo szybko mogą się o nie postarać. Niestety, na tych ćwiczeniach wciąż widać, że nadal silne są interesy narodowe. Sojusz musi więc jeszcze wyraźniej niż do tej pory wystąpić w roli nadzorca i narzucić obowiązujące wszystkich normy i standardy. Czy to się uda, pokażą kolejne edycje „CWIX”. Przygotowania do następnej już ruszyły. Pierwsza konferencja planistyczna w tej sprawie odbędzie się późną jesienią tego roku. ■



MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

Zastrzyk nadziei

**Na spływie kajakowym odzyskują wiarę we własne siły.
To także kolejny krok w integracji środowiska.**

Kilometry czuć w mięśniach, ale humory dopisują. To już drugi spływ kajakowy Krutynia 2016 organizowany przez Stowarzyszenie Rannych i Poszkodowanych w Misjach poza Granicami Kraju. 40 uczestników (weteranów i weteranów poszkodowanych) przyjechało do miejscowości Zgon na Mazurach, naszej bazy wypadowej. Każdego dnia mamy do pokonania kilku- lub kilkunastokilometrowy odcinek rzeki Krutyni. Paweł Wojaś, gospodarz, u którego nocujemy, zapewnia, że to łagodna rzeka i radzi, żeby trzymać się kilku zasad: nie podpływać do ptaków (mijamy po drodze łabędzie i liczne kaczki rodziny, a komu dopisze szczęście, może dostrzec drapieżnego bielika i rybołowa, a także największą sowę – puchacza), nie wpływać w trzciny i nabrzeżne sitowie, bo tam są ptasie łęgowiska, nie zapominać, że znajdujemy się na terenie Mazurskiego Parku Krajobrazowego. A tu są przepiękne widoki, co jest dodatkowym atutem, bo zapewniają chwile relaksu i odprężenia – jakże ważne w procesie rehabilitacji przez sport, która wiąże się ze sporym wysiłkiem fizycznym.

Grupie weteranów kajakarzy towarzyszy psycholog Agnieszka Klawinowska (także weteran), która współpra-

cjuje ze Stowarzyszeniem i w razie potrzeby służy fachowym wsparciem. Wieczorem, gdy żarzy się ognisko, a na grillu pieką się kiełbaski, łatwiej się rozmawia o trudnych sprawach niż w gabinecie psychologa w jednostce. Weterani poszkodowani dobrze się czują w swoim gronie, bo są do siebie podobni. Jedni nie mają ręki, inni nogi, są tacy, którzy chorują na schizofrenię lub depresję. Mimo swoich ułomności, potrafią jednak cieszyć się chwilą.

Nad bezpieczeństwem uczestników spływu czuwa ratownik medyczny kpr. Bartłomiej Pankiewicz z 10 Brygady Kawalerii Pancernej. Każdego dnia zjawia się na zbiórce z 12-kilogramowym plecakiem. W tej „apteczce” jest wszystko, co może się przydać: szyny do usztywniania złamań, płyny infuzyjne, opatrunki i plastry, leki. Na szczęście oprócz paru otarć nie było poważniejszych kontuzji.

PO PIERWSZE, REHABILITACJA

Rehabilitacja przez sport jest od lat popularyzowana w armii amerykańskiej, stawianej za wzór w opiece nad weteranami. Lekarze zachęcają do aktywności fizycznej byłych żołnierzy niepełnosprawnych ruchowo, a także →



„CORAZ CZĘŚCIEJ ORGANIZUJEMY ZAJĘCIA REHABILITACYJNE, W KTÓRYCH WYKORZYSTUJEMY RÓŻNE DYSCYPLINY SPORTOWE”,

mówi Marek Rzdokiewicz, wiceprezes Stowarzyszenia Rannych i Poszkodowanych w Misjach poza Granicami Kraju.

Kierowca rajdowy Krzysztof Hołowczyc robi pamiątkowe zdjęcie z grupą weteranów.

tych z zespołem stresu bojowego. „Coraz częściej organizujemy zajęcia rehabilitacyjne, w których wykorzystujemy różne sportowe dyscypliny”, mówi Marek Rzdokiewicz, wiceprezes Stowarzyszenia Rannych i Poszkodowanych w Misjach poza Granicami Kraju. Oprócz spływu kajakowego wymienia rajdy rowerowe oraz kursy nurkowania. Zgłasza się na nie coraz więcej osób.

Na spływie nawet ci najbardziej poszkodowani radzą sobie z wyzwaniem, jakim jest codzienne wiosłowanie. „Dają radę, bo działanie w grupie motywuje”, podkreśla Marek. Na co dzień pracuje przy biurku. Na spływie siada jednak do kajaka i płynie. Mimo bólu barku. Witold Kortyka z kolei, który na misji w Iraku uszkodził kręgosłup, jest zadowolony, bo „choć boli, taki trening na kajaku wzmacnia mięśnie grzbietu”.

Janusz Raczy, wiceprezes Stowarzyszenia (z misji w Iraku wrócił ze 100-procentowym uszczerbkiem na zdrowiu) ma poczucie, że odniesione rany go nie dyskwalifikują. Także inni weterani poszkodowani opowiadają, że dzięki spływowi odzyskują wiarę we własne siły. Tomasz Kloc, prezes Stowarzyszenia, zwraca uwagę, że pokonanie poszczególnych odcinków spływu wymaga współpracy; czasem kolega musi wiosłować za kolegę, który nie daje rady, silniejszy współpracuje ze słabszym, np. przy wyjściu z kajaka czy wtedy, gdy trzeba pokonać przeszkodę i przenieść kajak lądem.

W takiej sytuacji trzeba pomóc np. kpr. Dariuszowi Liszce, który w 2010 roku stracił na misji w Afganistanie rękę i ma 80-procentowy uszczerbek na zdrowiu. Rosomak, w którym jechał, wyleciał na minie. Darek pamięta głośnie „bum”, potem obudził się na ziemi, a przewrócony samochód leżał kilkanaście metrów dalej. Wtedy jeszcze nie wiedział, że ma w przedramieniu spo-

ną dziurę. W ranę wdało się zakażenie. Trafił do szpitala w Ramstein, ale nie pomogły nawet ściągnięte z USA antybiotyki. Zapadła decyzja o amputacji ręki do łokcia.

Dwa tygodnie temu Darek dostał nową protezę z włókna węglowego. Nałożona na nią gumowa rękawica do złudzenia przypomina ludzką skórę. W środku są małe silniczki, więc można ruszać palcami, a także np. przenieść szklankę. Ostatnio po raz pierwszy od dawna korzystał z obu rąk: kupił hot doga i coca-cola – w prawej ręce trzymał puszkę z napojem, a w lewej bułkę. Druga ręka przyda się także w pracy, bo Darek nadal służy w armii, choć na stanowisku „zdolny z ograniczeniem”. W kajaku płynie z kolegą, też weteranem poszkodowanym. „Dajemy radę”, zapewnia i opowiada, że metodą prób i błędów tak nauczył się trzymać wiosło, że nie odstają od grupy. „Mój partner mówi, że nie przeszkadzam”, żartuje.

W kajaku razem z Darkiem wiosłuje Krzysztof Fornal, były żołnierz 21 Brygady Strzelców Podhalańskich. W 2009 roku służył w Afganistanie jako kierowca roso-maka. Podczas jednego z patroli najechał na minę i został ciężko ranny. Miał połamane nogi i miednicę, uszkodzony kręgosłup, wstrząśnienie mózgu oraz wiele obrażeń wewnętrznych. Dziś jest już poza armią. Nie zamyka się jednak w czterech ścianach. Spływ jest dla niego okazją do spotkań z kolegami z misji, a także sprawdzenia własnych możliwości.

Jak to jest – zastanawia się Krzysztof – że dopiero, gdy wychodzi z kajaka, zaczyna odczuwać codzienne dolegliwości, w tym ból nogi, który jest skutkiem kilkakrotnego złamania kości podczas wypadku na misji, gdy zostało przerwane krążenie i doszło do uszkodzenia nerwów. „Co tam moja spuchnięta noga!”, myśli, gdy



Por.
Przemysław
Kowalski



Na cmentarzu w Pleckach został pochowany sierż. Krystian Banach, który wraz z czterema kolegami zginął 21 grudnia 2011 roku w Afganistanie. Uczestnicy spływu zapalili na jego grobie znicze i krótką chwilą zadumy uczcili pamięć Krystiana oraz innych poległych żołnierzy.

JANUSZ RACZY

patrzy na Darka. „Byłem pod wrażeniem, jak świetnie sobie radził, wiosłując jedną zdrową ręką i pomagając kikutom”, mówi.

PO DRUGIE, INTEGRACJA

Wiceprezes Stowarzyszenia Rannych i Poszkodowanych w Misjach poza Granicami Kraju Marek Rządziejewicz zwraca uwagę na integracyjny charakter spływu. Tym razem odbywa się on w rozszerzonej formule: oprócz byłych żołnierzy, którzy zostali ranni na misji, biorą w nim także udział misjonarze w błękitnych beretach oraz członkowie organizacji proobronnych. Na spływ przyjechało kilku członków Zrzeszenia Weteranów Działań poza Granicami Państwa. Organizacja powstała kilka miesięcy temu i wypełniła lukę: grupuje tych, którzy uczestniczyli w zagranicznych operacjach, ale nie zostali ranni.

Jak tłumaczy st. chor. sztab. Tadeusz Sąsiadek, wiceprezes Zrzeszenia, trudno porównywać wcześniejsze misje (głównie te pod błękitną flagą ONZ-etu) z operacjami w Iraku i Afganistanie. „Mimo że zazwyczaj nasze misje miały typowo rozjemczy charakter, to żołnierze także ocierali się o śmierć, głównie saperzy i kierowcy. Zdarzało się także, że ostrzeliwano nasze posterunki”, opowiada Sąsiadek, który w 1991 roku służył w Syrii, a w 1994 roku w Libanie. Wówczas jednak nie było ani ustawy, która dawałaby misjonarzom jakiegokolwiek uprawnienia zdrowotne, ani żadnego systemu pomocy. Dziś są zadowoleni z zaproszenia na spływ.

Członkowie Zrzeszenia mają nadzieję, że uda się rozszerzyć współpracę ze Stowarzyszeniem Rannych i Poszkodowanych w Misjach poza Granicami Kraju. Tadeusz Sąsiadek zapowiada, że „to pierwsze takie spo-

tkanie, ale na pewno nie ostatnie”. „Jesteśmy pod wrażeniem serdeczności, z jaką przyjęli nas weterani poszkodowani”, chwali organizatorów płk Andrzej Adamowicz (misja w Namibii w latach 1989–1990), a st. sierż. rez. Marek Witkowski (misja w Kosowie w 2006 roku) przyznaje, że podziwia, „jak oni się wzajemnie wspierają, jak pomagają słabszym”. Dr Beata Czuba, socjolog, pracownik naukowy na Wydziale Cybernetyki WAT, która w czasie spływu przeprowadziła wiele potrzebnych do badań naukowych rozmów z weteranami, zastrzykiem nadziei określa to, co ci ludzie sobie oferują, jak się wzajemnie wspierają.

O nawiązaniu bliższych kontaktów ze Stowarzyszeniem Rannych i Poszkodowanych w Misjach poza Granicami Kraju myśli także Bartłomiej Szwed, dowódca jednostki szkoleniowej Krakowskiej Legii Akademickiej. Jak mówi, dla młodej organizacji proobronnej cenne są doświadczenia weteranów i ich wiedza na temat działań na polu walki. Legionistą jest także Mateusz Mazur, który planuje studia w szkole oficerskiej. „Darzymy weteranów szacunkiem za to, co robili, liczymy na ich pomoc w szkoleniu naszych członków”, mówi.

Codziennie do kajaka wsiada także Krzysztof Dobkowski, członek organizacji proobronnej Stowarzyszenie na rzecz Obrony Terytorialnej Legia Nadnarwiańska. Po raz kolejny bierze udział w spływie, ale z nie mniejszym niż rok temu podziwem patrzy na tych uczestników, którzy mają orzeczonego wysokiego uszczerbek na zdrowiu. Władze Ostrołęki, skąd pochodzi Krzysztof, zapraszają co roku grupę weteranów na spotkania z młodzieżą, Legia Nadnarwiańska jest wówczas współgospodarzem. „Współpracujemy ze Stowarzyszeniem. Ułatwiamy te kontakty”, mówi Krzysztof. ■



POZNAJCIE
Z NAMI SPECYFIKĘ
SŁUŻBY ŻOŁNIERZY W RÓŻ-
NYCH JEDNOSTKACH POLSKIEGO
WOJSKA. W CYKLU „WOJSKO
OD KULIS” PRZECZYTAJCIE O MARY-
NARZACH, PILOTACH,
LOGISTYKACH, ARTYLE-
RZYSTACH, PRZECIW-
LOTNIKACH CZY
CHEMIKACH.

KRZYSZTOF WILEWSKI

Spece od liftingu

**Lubią mówić, że logistyka nie jest wszystkim, ale bez niej wszystko jest niczym.
W czasie wizyty w 16 Batalionie Remontowym można się przekonać,
że nie ma w tej maksymie logistyków ani odrobiny przesady.**

DO 2019 ROKU
POWSTANIE
NOWOCZESNY
WARSZTAT, W KTÓRYM
BĘDĄ NAPRAWIANE
I SERWISOWANE NIE
TYLKO CZOŁGI
LEOPARD 2, LECZ TAKŻE
ROSOMAKI ORAZ
ARMATOHABICE KRAB

KRZYSZTOF WILEWSKI

Przy dużym stole konferencyjnym w gabinecie dowódcy jednostki trzech oficerów studiuje znajdujące się przed nimi dokumenty wypełnione tabelkami. „Dowódco, bardzo trudno będzie to zrobić. Na ten miesiąc mamy napięty terminarz. Jasne, że na dwójce stoją teraz dwa twarde, które tylko czekają na części, ale te mają być już w poniedziałek i robota przy nich ruszy”, mówi jeden z żołnierzy. „Panowie, wiem jak jest. Tego nie musicie mi mówić. Ale ja oczekuję pomysłów, jak pomóc brygadzie, która ma problem. Za tydzień ważne ćwiczenia, a dwa wozy niesprawne”, odpowiada zapatrzoną w kwity podpułkownik. „To może zrobimy tak...”.

Po kilkudziesięciu minutach do jednego z mechaników pracujących przy rozłożonym na części czołgu T-72 podchodzi dowódca warsztatu. Po krótkiej wymianie zdań umorusany spec odkłada narzędzia do skrzynki, wyciera ręce i wyciągając z kieszeni telefon, cicho →



mruczy do siebie. „Oj nie będzie zadowolona, nie będzie...”, by po usłyszeniu kobiecego głosu rzec już głośno i wyraźnie: „Halo, kochanie, muszę jutro jechać na parę dni do Braniewa... Tak, mają tam niezły kłops i z chłopakami musimy im pomóc na miejscu, bo u nas nawet szpilki na hałę już nie damy rady wcisnąć... Tak wiem, obiecałem, wiem...”.

ŚWIATEK, PIĄTEK

Jednostki wojskowe, bez względu na to, czy są częścią sił powietrznych, morskich, czy lądowych, oprócz okresów wytężonej pracy mają też takie dni lub nawet tygodnie, gdy nikt się nie spieszy. Żołnierze odbierają dni wolne za ćwiczenia albo wyjeżdżają na urlopy. Są jednak takie miejsca na wojskowej mapie, gdzie bez względu na to, czy jest to środek letnich lub zimowych wakacji, praca idzie tak samo wartko. Jednym z takich miejsc jest 16 Żuławski Batalion Remontowy (16 brem) w Elblągu.

W jednostce ulokowanej aż w trzech elbląskich kompleksach – przy ulicach Królewieckiej, Łęczyckiej oraz Podchorążych, każdego dnia prawie 300 fachowców kilkudziesięciu specjalności zмага się z obsługą i naprawami setek sztuk uzbrojenia oraz sprzętu wojskowego z jednostek podległych nie tylko 16 Pomorskiej Dywizji Zmechanizowanej, lecz także logistycznych, powietrznych i morskich z północnej Polski.

Dowódca 16 Batalionu Remontowego ppłk Krzysztof Klin nawet nie ukrywa, że tak

szeroki zakres odpowiedzialności przekłada się wprost proporcjonalnie na ilość sprzętu i uzbrojenia, którym muszą się zająć jego podwładni. „Praktycznie cały czas mamy napięty terminarz. Już pod koniec roku rozpisujemy dokładny harmonogram prac nad sprzętem, który trafi do nas do naprawy i obsługi w poszczególnych tygodniach w następnym roku. A przecież musimy jeszcze być gotowi, aby zająć się sprawami pilnymi i nagłymi”, wyjaśnia oficer, który dowodzi jednostką od ponad czterech lat.

WSZYSTKO, CO JEŹDZI I STRZELA

A czym dokładnie zajmują się elbląscy remontowcy? W zasadzie wszystkim, co jeździ i strzela, ale takie stwierdzenie byłoby zbyt dużym uogólnieniem, bo w batalionie są wykonywane obsługi okresowe, naprawy bieżące oraz konserwacyjne czołgów, ciągników pancernych i bojowych wozów piechoty, haubic Goździk, transporterów MTLB, a także różnego rodzaju pojazdów ciężarowych i osobowych. Specjaliści z tej jednostki zajmują się również bronią strzelecką, sprzętem optyczno-noktowizyjnym, radiostacjami analogowymi i cyfrowymi, sprzętem saperskim i obrony przed bronią masowego rażenia. Jak różnorodny sprzęt i uzbrojenie trafiają do Elbląga, najlepiej widać na placach manewrowych, gdzie pojazdy czekają na naprawy lub odbiór po ich wykonaniu. Oprócz czołgów T-72 i PT-91 stoją jelicze i stary, świeżo pomalowane BWP-1,



KRZYSZTOF WILEWSKI (2)

16 ŻUŁAWSKI BATALION REMONTOWY



Batalion w Elblągu został utworzony 16 czerwca 1967 roku na bazie 4 Dywizyjnych Warsztatów Naprawy Czołgów oraz trzech podporządkowanych im jednostek: 4 Ruchomych Warsztatów Naprawy Czołgów, 5 Ruchomych Warsztatów Naprawy Uzbrojenia oraz 6 Ruchomych Warsztatów Naprawy Samochodów. Pierwszym dowódcą tej jednostki był mjr Henryk Wioska. W 1995 roku jednostka dostała pierwszy sztandar i nazwę wyróżniającą „Żułowski”. 16 Batalion Remontowy do 28 czerwca 2011 roku był podporządkowany 16 Dywizji (do 1990 roku Kaszubskiej Pancernej, od 1990 do 1991 roku Kaszubskiej Zmechanizowanej, która później stała się Pomorską Dywizją Zmechanizowaną). W 2011 roku 16 brem został podporządkowany Inspektoratowi Wsparcia Sił Zbrojnych i wszedł w strukturę 2 Regionalnej Bazy Logistycznej w Rembertowie. Latem 2013 roku jednostka znalazła się w składzie bydgoskiej 1 Pomorskiej Brygady Logistycznej im. Króla Kazimierza Wielkiego.

goździki i BWR-y oraz wozy pododdziałów łączności i walki radioelektronicznej.

Dowódca batalionu nie ukrywa, że kluczem do porażenia sobie z tak szerokim spektrum zadań jest wyspecjalizowana kadra. I wojsko nie ma problemów np. z mechanikami samochodowymi lub elektromechanikami, którzy kuszeni przez znacznie większe niż w armii pieniądze, porzucaliby służbę na rzecz zatrudnienia choćby w autoryzowanych stacjach obsługi wielkich koncernów samochodowych. „A gdzie ja znajdę pracę, w której jednego dnia wyjmuję silnik z ważącego kilkadziesiąt ton czołgu, drugiego zajmę się jalczem, starem czy iveco, a trzeciego będę wymieniał uszczelkę pod głowicą w bojowym wozie piechoty”, śmieje się umorusany po łokcie Sławomir Pietruszyński, młody elektromechanik, który sam zgłosił się po szkole średniej do elbląskiej jednostki do pracy jako cywil, a teraz chce w niej służyć jako żołnierz. Dlatego niedługo idzie na szkolenie do NSR-u,

a potem będzie czekał, aż się zwolni w jednostce etat. A ten, jak przekonuje ppłk Klin, na pewno się dla niego znajdzie: „To chłopak z ogromnym talentem, który w imponującym tempie przyswaja wiedzę. Wprawdzie teraz nie mam dla niego etatu szeregowego zawodowego, ale już niedługo kilku z moich żołnierzy z tego korpusu dostanie awanse podoficerskie, więc w naszych szeregach zrobi się miejsce”.

Takich zafascynowanych wojskowym sprzętem pasjonatów w 16 Batalionie jest znacznie więcej. Właściwie, gdy zapytać każdego z kierowników poszczególnych warsztatów, od ręki rzucają nazwiskami. Jednym z takich pozytywnie zakręconych na punkcie swojej pracy jest sierż. Roman Borowiec, dowódca drużyny remontu sprzętu łączności. Jak podkreślają zarówno jego przełożeni, jak i podwładni, ma on imponującą wiedzę na temat rozmaitych urządzeń łączności cyfrowej i analogowej, które są w wyposażeniu naszej armii. A co więcej, ➔

potrafi się nią dzielić z innymi, szkolić kolejnych „dru-cików”. Na dodatek szuka sposobów, aby usprawnić i ulepszyć system obsługi, serwisu i napraw radiostacji oraz radiotelefonów. „Czasem jest to drobna sprawa, jak modyfikacja procedury, której nikt nie zmieniał od lat, a wystarczyła mała korekta, by znacząco ją ulepszyć. Czasem to pomysły poważniejsze, takie jak budowa albo przekonstruowanie narzędzi służących nam do pracy”, opowiada jeden z podwładnych sierż. Borowca.

To, jak bardzo w swoją pracę są zaangażowani remontowcy, dobrze widać, gdy trzeba poświęcić czas prywatny. Tak jest np., gdy jakaś jednostka ma problemy ze sprzętem, a z powodu pełnych hal warsztatowych w Elblągu jedyną radą jest naprawa w jednostce, która może potrwać dzień, dwa dni, a czasem i tydzień. Dowódca batalionu wyjawia, że nie ma problemu z nakłonieniem swoich podwładnych do takich delegacji: „Jadą i robią swoją robotę”, mówi krótko.

LOKALOWE BOLĄCZKI

Dowódca 16 brem chętnie oprowadza po warsztatach przy ulicach Królewieckiej, Łęczyckiej, pokazując, czym się zajmują jego ludzie. Na pytanie, czy dowodzenie aż trzema kompleksami nie jest trochę uciążliwe, uśmiecha się szeroko: „To nie jest problem. Dajemy sobie radę. Gorzej, że infrastruktura, którą dysponujemy, choć wydaje się rozległa, bo mamy dużo garaży i stanowisk do pracy, jest w średnim stanie technicznym”, mówi i pokazuje popękaną podłogę w jednej z hal, gdzie stoją dwa PT-91, oraz suwnicę pod sufitem, która z racji kondycji technicznej może już podnosić jedynie kilkunetonowe ciężary zamiast kilkunastu ton.

Problemy z niedofinansowaniem infrastruktury batalionu to historyczna zaszczość. Jeszcze niedawno w pol-



ŻOŁNIERZE 16 BATALIONU REMONTOWEGO MAJĄ DO DYSPOZYCJI:

wóz zabezpieczenia technicznego WZT-2, ciągnik kołowy ewakuacyjny Iveco Eurotrakker, warsztaty pojazdów gąsienicowych i kołowych – WPG 1 i WPK 1 oraz różnego rodzaju specjalistyczne warsztaty i stacje, takie jak remontu silników, aparatury paliwowej, spawalnico-blaharski, optyczny, ładowania akumulatorów lub butli.

skiej armii pieniądze szły przede wszystkim do struktur operacyjnych, a dopiero w drugim rzucie do tych logistycznych i zabezpieczenia. Tak było nie tylko w 16 Dywizji Zmechanizowanej, lecz także w 12 DZ i 11 Dywizji Kawalerii Pancernej. A jeśli pieniądze nawet były, to w wypadku jednostki remontowej z Elbląga chyba brakowało nieco spójnej wizji przyszłości



TRZY PYTANIA DO

**Krzysztofa
Klika**

Na czym polega służba w 16 Batalionie Remontowym? Jakie wymagania musi spełnić kandydat do jednostki?

Potrzebujemy ślusarzy, spawaczy, mechaników, techników,

elektromechaników. Ważne jest również to, aby zainteresowane służbą osoby chciały podnosić swoje kwalifikacje, zdobywać nowe umiejętności. Istotne jest zrozumienie specyficzności na-

szej pracy. Tego, że jesteśmy od rozwiązywania problemów, i to na naszej jednostce spoczywa ciężar utrzymania sprawności technicznej sprzętu jednostek operacyjnych.

KLUCZEM DO PORADZENIA SOBIE Z SZEROKIM SPEKTRUM ZADAŃ JEST WYSPECJALIZOWANA KADRA. WOJSKO NIE MA PROBLEMÓW NA PRZYKŁAD Z MECHANIKAMI SAMOCHODOWYMI LUB ELEKTROMECHANIKAMI

16 Batalionu. Gdy likwidowano 13 Pułk Przeciwlotniczy, batalion miał się w całości przenieść do koszar przy ulicy Mazurskiej. Efekt – nie remontujemy nic w budynkach przy Królewieckiej i Łęczyckiej. Potem zapadła decyzja, że jednak pozostaje tu, gdzie jest, bo przeciwlotnicy nie przenoszą się do Gołdapi. Na szczęście teraz wygląda na to, że remontowcy nie tylko doczekają się inwestycji w infrastrukturę, lecz także zostanie uporządkowana ich sytuacja lokalowa. Według najnowszego planu za dwa lata mają opuścić budynki przy Królewieckiej i Podchorążych, żeby w całości zagościć w koszarach przy ulicy Łęczyckiej.

Aby mogli nadal wykonywać swoje zadania, do 2019 roku zostanie tam zbudowany nowoczesny kilkunastostanowiskowy warsztat, w którym będą naprawiane i serwisowane nie tylko czołgi Leopard 2, lecz także kołowe transportery opancerzone Rosomak oraz 155-milimetrowe armatohaubice Krab. Inwestycja jest już ujęta w planie na lata 2017–2019 i za kilka tygodni

powinny zostać rozpisane stosowne przetargi na jej wykonanie.

DEWIZA LOGISTYKÓW

Logistyka nie jest wszystkim, ale bez logistyki wszystko jest niczym. Tak brzmi jedna z ulubionych maksym ludzi związanych z tą dziedziną. Można nawet powiedzieć, że bez niej można przegrać wywaloby się już wygraną wojnę. I nie będzie w tym ani odrobiny przesady. Pracownicy cywilni i wojskowi z 16 Batalionu Remontowego w Elblągu nie tylko każdego dnia dbają o to, aby jednostki liniowe dysponowały sprawnym uzbrojeniem i specjalistycznym wyposażeniem. Oni muszą być gotowi do tego, aby te trudne zadania wykonywać również wtedy, gdy wybuchnie wojna. Wówczas zmieni się dla nich tylko jedno – ruszą w pole i będą pomagać przywracać sprawność uszkodzonemu uzbrojeniu tam, gdzie zajdzie taka potrzeba. ■

Czy jako pracodawcy trudno jest wam konkurować z rynkiem cywilnym?

W ostatnim czasie sytuacja w tej dziedzinie bardzo się poprawiła dzięki podwyżkom uposażeń dla pracowników wojska. Jeśli zaś chodzi o żołnierzy, to nigdy nie mieliśmy problemów z brakiem chętnych, ale tu też sytuacja jest zdecydowanie lepsza, nie tylko dzięki podwyżkom dla żołnierzy, lecz także w związku ze zniesieniem limi-

tów 12 lat służby dla szeregowych zawodowych.

W jaki sposób służący w 16 Batalionie Remontowym żołnierze i zatrudnieni pracownicy podnoszą swoje kwalifikacje?

Podstawowym elementem doskonalenia umiejętności są kursy. Korzystamy przede wszystkim z wojskowych ośrodków szkolenia. Głównym takim miejscem jest dla nas Centrum Szkolenia Logistyki

w Grudziądzu, a kolejnym – Centrum Szkolenia Wojsk Lądowych w Poznaniu. Czasami musimy się również posilkować kursami poza wojskiem, np. dla spawaczy. Szkolimy się także w ramach umów zawieranych przez wojsko przy okazji zakupu sprzętu i uzbrojenia wojskowego. Tak było w wypadku systemów łączności cyfrowej. ■

Ppłk KRZYSZTOF KLIN
jest dowódcą 16 Batalionu
Remontowego.



BOGUSŁAW POLITOWSKI

GEN OBRONNOŚCI

Z Janem Maciejewskim

**o modzie na wojsko i naukowym podejściu do obronności kraju
rozmawia Bogusław Politowski.**

Ostatnio powstaje duża liczba grup paramilitarnych i proobronnych. Skąd wzięła się moda na taką aktywność?

Przyczyną rosnącej popularności grup dyspozycyjnych paramilitarnych jest potrzeba zapewnienia bezpieczeństwa państwa, ale też lokalnych, małych ojczyzn. Zjawisko to jest osadzone również w kontekście historycznym, kształtowanym przez lata niewoli, powstania narodowe, dwie wojny światowe.

Niebanalne znaczenie ma oprócz tego wpływ mediów. Komunikaty o aktach terroryzmu, realistyczne relacje z toczących się konfliktów zbrojnych sprawiają, że w społeczeństwie rośnie poczucie zagrożenia. I nie jest to wcale sterowane, bo media szukają sensacji, starają

się podnosić poziom oglądalności czy sprzedaży swoich pism, a to powoduje efekty uboczne, takie jak wzrastające poczucie zagrożenia.

Z socjologicznego punktu widzenia zaś każdy człowiek potrzebuje poczucia przynależności do rodziny, grupy. W zespole czuje się potrzebny, a z czasem silniejszy. Te uwarunkowania dają impuls do organizowania się w celu zapewnienia sobie bezpieczeństwa. Czy jest to zasadne? To się kiedyś okaże. Nie ulega jednak wątpliwości, że jest to w Polsce ruch oddolny, przez nikogo niesterowany.

Czy powodem w jakimś stopniu nie jest też moda na wojsko, mundur, na ekstremalne przeżycia? Chęć dostarczenia organizmowi adrenaliny?

Przynależność do grup paramilitarnych i proobronnych jest jak deklaracja formalnego zobowiązania do uczestnictwa w części życia publicznego, która wymaga ochrony

W pewnej części tak. Szczególnie ludzie młodzi lubią mocne doznania. Coraz więcej młodzieży szaleje quadami po wertepach, wspina się na skałki, skacze na bungee. Powstają kolejne komercyjne firmy oferujące zajęcia survivalowe. Podwaja się liczba uczestników maratonów i triathlonów. Homo sapiens zawsze cechowała potrzeba aktywności fizycznej, wyładowania natywistycznej energii. Dobrze, że niektórzy chcą przy okazji pozytywnie wpływać na obronność państwa.

A co z poczuciem patriotyzmu? Czy przeprowadzono badania na ten temat?

W Instytucie Socjologii Uniwersytetu Wrocławskiego prowadziłem kilka odnośnych projektów w ramach seminariów magisterskich i licencjackich. Wynika z nich, że poziom patriotyzmu w ostatnim czasie ani gwałtownie nie wzrósł, ani się nie obniżył. Jest jednak zauważalna pewna tendencja zachowawcza, która powoduje, że społeczeństwo coraz częściej odczuwa potrzebę grupowania się i integrowania ze swoją własną nacją i szuka takich możliwości. Można mówić o wzroście szeroko pojmowanej tożsamości narodowej.

Dla nas, socjologów, istotne są motywy działań społecznych, powodujące wstępowanie młodych ludzi do tego typu formacji paramilitarnych. Są to oczywiście patriotyzm, poczucie obowiązku względem Ojczyzny, ale też chęć zdobycia specjalistycznej wiedzy oraz umiejętności zespołowego przeciwdziałania możliwym zagrożeniom wspólnoty. Przynależność do grup paramilitarnych czy proobronnych jest jak deklaracja

formalnego zobowiązania do uczestnictwa w tej części życia publicznego, która wymaga ochrony i obrony. To bardzo pozytywny przejaw – stanąć w obliczu problemu i oddać siebie do dyspozycji na rzecz dobra ogółu.

Zauważalna aktywność tego typu grup i organizacji nie jest tylko kwestią przywołanych „wysokich” wartości moralnych. To również wyraz aktywnego sprzeciwu wobec niebezpieczeństwa urzeczywistnienia się współczesnych zagrożeń. Młodzi ludzie nie wycofują się do „wygodnej kanapy” czy gier komputerowych, lecz podejmują zdecydowane działania, są aktywni i odpowiedzialni, gotowi do poświęceń. Rodzi się wspólnotowa solidarność o nasze dobro.

Organizacje paramilitarne i proobronne stanowią podatny grunt do rozwijania wartości patriotycznych. Doskonale to widać na przykładzie klas mundurowych, których jest coraz więcej. Być może w kolejnych badaniach dotyczących patriotyzmu zanotujemy jakiś znaczący rozwój tych wartości.

W chaosie, jaki towarzyszy powstawaniu różnych organizacji mających w założeniu charakter zbrojny, pojawiają się sygnały o wzroście tendencji narodowościowych. Czy powinny one niepokoić? Na tej fali mogą się przecież tworzyć grupy skrajnie nacjonalistyczne, groźne dla społeczeństwa.

Kiedy ludzie zaczynają być nadaktywni, to zawsze mogą się znaleźć jacyś liderzy, domorośli ideolodzy, skłonni do patologizacji życia społecznego w imię realizacji partykularnych interesów. Pod płaszczykiem działania na rzecz obronności mogą próbować realizować swoje „chorobliwe” plany. Mam sygnały od studentów i doktorantów, że do organizacji proobronnych przenikają ludzie ze struktur przestępczych, poszukujący tzw. żołnierzy do mafijnego podziemia. I nie są to wcale jednostkowe przypadki penetracji tych organizacji. W zdecydowanej większości ruch społeczny, o którym mówimy, jest jednak jak najbardziej pożądany dla podniesienia stanu bezpieczeństwa kraju.

Można odnieść wrażenie, że władze nie potrafią tego wykorzystać. Ciągłe nie mamy procedur weryfikowania nowych organizacji proobronnych i paramilitarnych. Ba, nikt dzisiaj nawet nie wie, ile ich jest.

Wszystko istotnie dzieje się żywiołowo. Władze nie mają pomysłu, jak tę „dobrą falę” na rzecz obronności wykorzystać. My, naukowcy, byliśmy chyba bardziej przewidujący. W Instytucie Socjologii Uniwersytetu Wrocławskiego już od 2009 roku istnieje Zakład Socjo-



logii Grup Dyspozycyjnych, który naukowo zajmuje się tymi zagadnieniami. Gdyby nasz potencjał badawczy został w pełni wykorzystany przez odpowiednie instytucje, udało by się ten proces społeczny ukierunkować na właściwe, obywatelskie tory, co uniemożliwiłoby w niektórych przypadkach działania na pograniczu patologii, o której wspominałem.

Jak Pan sobie wyobraża skuteczne działanie władz w tym wypadku?

Działalność grup paramilitarnych i proobronnych bez wątpienia należy otoczyć opieką państwa i jego kompetentnych instytucji, jednak innych niż MON, które powinno się zajmować wyłącznie Siłami Zbrojnymi RP. Trzeba by utworzyć odpowiednią komórkę w Biurze Bezpieczeństwa Narodowego. Chodzi nie tylko o monitoring czy rejestrowanie takich grup, szkolenie, pomoc logistyczną i finansową, lecz także o stworzenie ogólnokrajowego systemu kierowania, od szczebla gminy po władze centralne.

W jakim stopniu może w tym pomóc nauka?

Osoby i instytucje zajmujące się tą problematyką powinny częściej korzystać z wyników naszych badań uniwersyteckich oraz finalnych opracowań projektów badawczych. Istnieje wiele publikacji naukowych oraz raportów dotyczących grup dyspozycyjnych, jakimi są organizacje proobronne, paramilitarne, a nawet grupy rekonstrukcyjne. Odpowiednie instytucje rządowe (samorządowe) mogą też zamówić w Instytucie Socjologii Uniwersytetu Wrocławskiego tematyczne projekty badawcze, służące rozwiązaniu wielu problemów społecznych, w tym wypadku konfliktogennych.

Czy o socjologii grup dyspozycyjnych możemy mówić jako o nowej dziedzinie nauki?

Nie jest to dziedzina, lecz dyscyplina. Można powiedzieć, że nowa, bo zrodziła się niecałe 20 lat temu, a jedyny w Polsce zakład, na Uniwersytecie Wrocławskim, działa zaledwie od 2009 roku.

Socjologia grup dyspozycyjnych jest podejściem teoretycznym.

Z jednej strony skupia uwagę naukową na podmiotach systemu bezpieczeństwa, a z drugiej na wyróżniającej je specyficzności zawodowej. Subdyscyplina ta rozwija dokonania socjologii wojska o analizy współczesnych podmiotów systemu bezpieczeństwa państwa, szczególnie paramilitarnego i cywilnego. Środowisko (nie)bezpieczeństwa jest wysoce zróżnicowane, ale nie znaczy to, iż niemożliwe do kontrolowania, chociażby poprzez badania naukowe.

Powstanie wyodrębnionej dyscypliny socjologii było następstwem m.in. ciągłe zmieniającej się roli żołnierza-człowieka w konfliktach zbrojnych i systemach obronności. Działania asymetryczne, wojny hybrydowe, rozwój techniki militarnej spowodowały, że żołnierz-wojownik stał się co raz mniej potrzebny w sensie liczebnym i zmieniał się charakter jego służby. Nastąpiła konieczność zajęcia się naukowo tzw. systemem antropotechnicznym, czyli połączeniami i zależnościami pomiędzy techniką, człowiekiem i otoczeniem. Już teraz jest tak, że żołnierz, wyposażony w sprzęt odpowiedniej klasy, ma większą wartość bojową niż niedawny pluton czy nawet kompania. Socjologów wrocławskich interesuje, w jaki sposób

człowiek może wykorzystywać ową technikę i jakie są tego konsekwencje dla żołnierza.

WIZYTÓWKA



**PROF. DR HAB.
JAN MACIEJEWSKI**

Jest kierownikiem Zakładu Socjologii Grup Dyspozycyjnych w Instytucie Socjologii Uniwersytetu Wrocławskiego. Studiował w Wyższej Szkole Oficerskiej Wojsk Zmechanizowanych we Wrocławiu, Akademii Ekonomicznej we Wrocławiu oraz Akademii Obrony Narodowej w Warszawie. W 1978 roku został promowany do stopnia podporucznika. Dowodził plutonem i kompanią w nieistniejącym już 13 Pułku Zmechanizowanym w Koźuchowie. W 1979 roku powrócił do macierzystej uczelni jako wykładowca, później kierował Katedrą Nauk Społecznych. W lutym 2006 roku pożegnał się, w stopniu pułkownika, z mundurem.

Jak proces tworzenia grup proobronnych czy paramilitarnych przebiega w innych krajach? Czy jest równie dynamiczny jak w Polsce?

Najbardziej rozwija się on obecnie na Ukrainie. Wzbudza to pewne obawy o odradzające się zachowania skrajnie nacjonalistyczne. Słowacy z kolei idą bardziej w tworzenie różnorodnych grup dyspozycyjnych związanych z ratownictwem cywilnym. W państwach zachodnich zaś jest większa instytucjonalizacja. Obserwuje się tam rozwój rynku prywatnego związanego z usługami na rzecz bezpieczeństwa. Powstaje np. wiele specjalistycznych firm ochroniarskich, których jednak nie definiuje socjologicznie jako „grupę dyspozycyjną”, ponieważ są nastawione na zysk i pełną komercję, a nie na bezinteresowne działanie na rzecz obywateli i bezpieczeństwa ogółu. ■

JUŻ WKRÓTCE IV EDYCJA GROM CHALLENGE SIŁA I HONOR



GROM
CHALLENGE
2016

17 września

Ośrodek Szkolenia Poligonowego GROM
Czerwony Bór

PODEJMIJ WYZWANIE KOMANDOSÓW JEDNOSTKI GROM



INSTRUKTOR



-Nieznana trasa
-Nieznane przeszkody
-Nieznane zadania
SPRAWDŹ SIĘ!

INFORMACJE I ZAPISY

WWW.GROMCHALLENGE.PL

PATRONAT MEDIALNY NAD WYDARZENIEM SPRAWUJE **PolskaZbrojna**

PAULINA GLIŃSKA

Kto wstąpi do OT?

Wojska obrony terytorialnej mają liczyć 35–40 tys. żołnierzy. Rozpoczęła się już rekrutacja przyszłych oficerów, a jesienią ruszy nabór rezerwistów.

Zgodnie z koncepcją obrony terytorialnej, którą minister obrony narodowej podpisał 25 kwietnia 2016 roku, służba w piątym rodzaju sił zbrojnych jest adresowana do wszystkich osób, zarówno cywilów, jak i wojskowych, mężczyzn oraz kobiet zdolnych do czynnej służby wojskowej. Każdy musi spełnić wymagania dotyczące zdrowia, sprawności fizycznej, niekaralności i polskiego obywatelstwa.

KADRA ZAWODOWA

Około 10% całych wojsk obrony terytorialnej ma stanowić kadra zawodowa. Stanowiska zajmą żołnierze służący w innych rodzajach sił zbrojnych, a także żołnierze rezerwy, którzy z różnych powodów musieli odejść z armii, a teraz ponownie chcieliby włożyć mundur. Dla przyszłej kadry oficerskiej przygotowano też studium oficerskie. Pierwszy nabór na przyszłych podporuczników obrony terytorialnej został uruchomiony już w czerwcu. W Wyższej Szkole Oficerskiej Wojsk Lądowych we Wrocławiu dla kandydatów przygotowano 150 miejsc. 20 z nich – na kursie sześciomiesięcznym – przeznaczono dla podoficerów zawodowych, a 130, na rocznym szkoleniu, dla absolwentów uczelni cywilnych. W wypadku tych ostatnich byli preferowani kandydaci z województw lubelskiego, mazowieckiego, podkarpackiego, podlaskiego i warmińsko-mazurskiego. Wojsko określiło też pożądane kierunki studiów, w tym m.in.: obronność i bezpieczeństwo państwa, zarządzanie kryzysowe, nauki

społeczne lub humanistyczne, wychowanie fizyczne czy ekonomia.

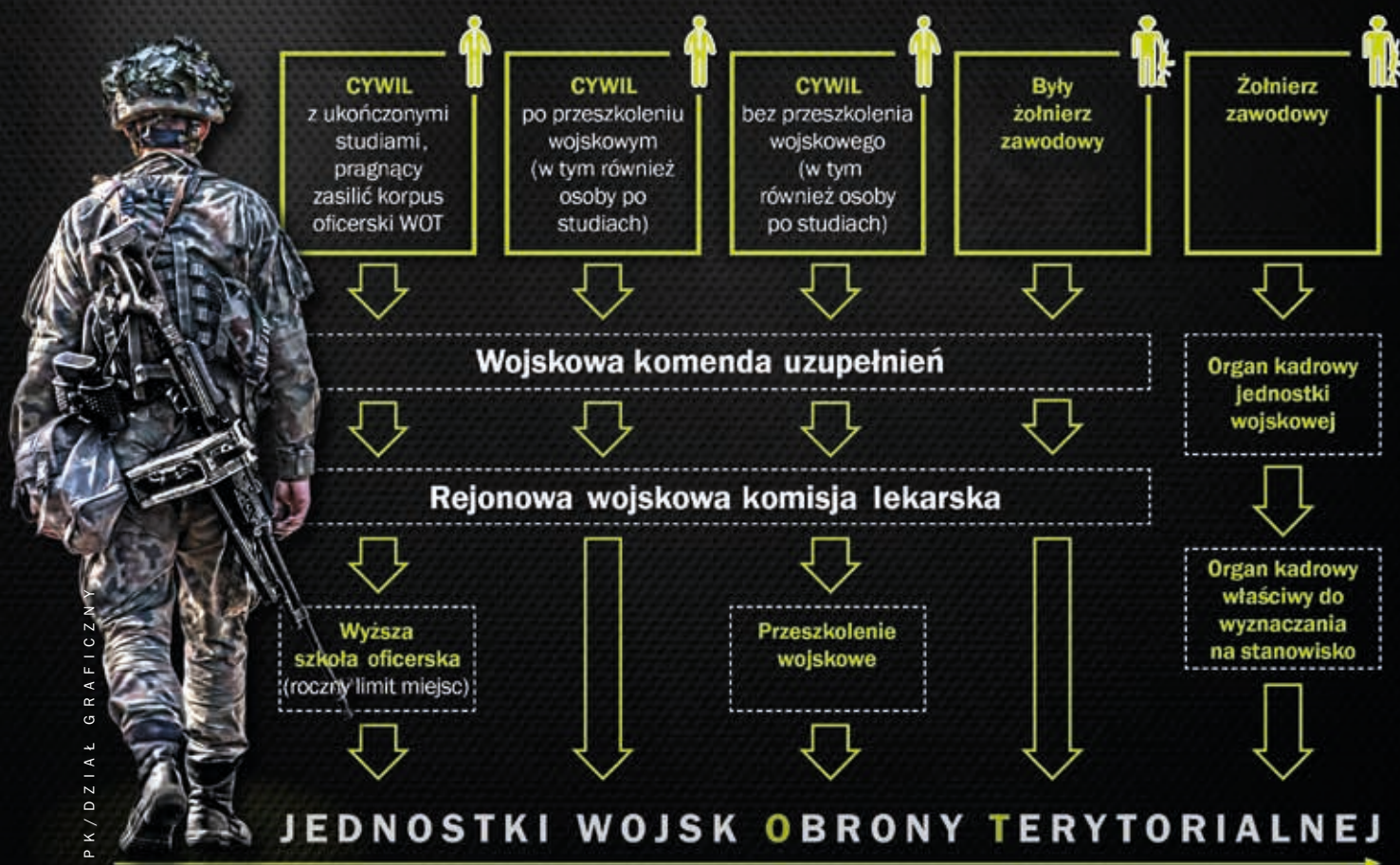
Termin składania wniosków upłynął 30 czerwca. Chęć udziału w kursie zgłosiło niemal 1300 ochotników, w tym ponad 1090 cywilów. Najlepszych wyłoniły sierpniowe egzaminy. Ochotnicy zdawali testy z języka angielskiego oraz sprawności fizycznej, zaliczali rozmowę kwalifikacyjną oraz test z wiedzy obywatelskiej. Absolwenci kursu, już jako podporucznicy, zajmą pierwsze stanowiska dowódców plutonów. Przede wszystkim zostaną oni wyznaczeni do służby w tworzonych trzech brygadach obrony terytorialnej: w Białymstoku, Lublinie oraz Rzeszowie.

KONTRAKT DO SZEŚCIU LAT

Głównym trzonem wojsk obrony terytorialnej będą jednak ochotnicy. Tu o służbę będą się mogli ubiegać byli żołnierze zawodowi, rezerwiści, a także osoby bez przeszkolenia wojskowego, niemające dotychczas kontaktu z wojskiem. Nabór ma się rozpocząć już jesienią. Chętni będą musieli się zgłosić do właściwej wojskowej komendy uzupełnień. Tam dostaną skierowanie na badania do rejonowej wojskowej komisji lekarskiej, by uzyskać orzeczenie o zdolności do służby w wojskach OT.

Dla kandydatów niemających podstawowego przeszkolenia wojskowego jest planowane szkolenie przygotowawcze. Po jego ukończeniu dana osoba złoży przysięgę wojskową i już jako żołnierz rezerwy wojsk OT będzie mogła podpisać kontrakt na konkretne stanowisko.

JAK WSTĄPIĆ DO OBRONY TERYTORIALNEJ



1 LIPCA 2016 ROKU POWSTAŁO BIURO DS. UTWORZENIA OBRONY TERYTORIALNEJ. PLANUJE SIĘ, ŻE JESZCZE W TYM ROKU ZOSTANIE PRZEKSZTAŁCONE W DOWÓDZTWO OBRONY TERYTORIALNEJ Z SIEDZIBĄ W WARSZAWIE.

Służba w wojskach obrony terytorialnej ma trwać od dwóch do sześciu lat. Wojskowi prognozują, że pierwsze kontrakty z rezerwistami będą zawierane na czas krótszy, czyli na około dwa lata. Głównie dlatego, by w praktyce się przekonać, jak funkcjonują przyjęte rozwiązania, czy ochotnik sprawdza się na danym stanowisku i wreszcie czy on sam chce dalej służyć. Po pierwszym kontrakcie ochotnik będzie opiniowany przez dowódcę. Jeśli wypadnie dobrze, będzie mógł podpisać kolejny. Zawarcie kontraktu będzie wprowadzało tzw. przydział terytorialny. Będzie on nadawany w formie karty przydziału, stanowiącej decyzję administracyjną.

ZACHĘTY DLA OCHOTNIKÓW

Rezerwiści będą co miesiąc uczestniczyć w weekendowych szkoleniach, a raz w roku przez kilka dni ćwiczyć na poligonie oraz brać udział w manewrach z żołnierzami innych rodzajów sił zbrojnych. Łącznie w ciągu roku mają się szkolić w terenie przez 30 dni.

Prace nad programem szkolenia wciąż trwają. Na razie wiadomo, że będzie to jednolity dokument dla całych wojsk OT, ale uwzględniający specyfikę poszczególnych jednostek, uzależnioną chociażby od ich przeznaczenia czy lokalizacji.



KOMENTARZ



ARTUR
DĘBCZAK

Chcemy wykorzystać zapal ochotników, w tym także członków organizacji proobronnych. Niejednokrotnie mają oni wiedzę na temat prowadzenia działań taktycznych opartą na analizie współczesnych konfliktów zbrojnych. Z pewnością ich spojrzenie na kwestie związane ze szkoleniem i działaniami na poziomie taktycznym oraz elastyczne podejście do obowiązujących schematów i regulaminów będą brane pod uwagę.

Ideą tworzonych wojsk ma być ich terytorialność. Dążymy do tego, by pododdziały składały się z ochotników rezerwistów z danego regionu. Żołnierz nie będzie musiał jeździć do oddalonych ośrodków szkolenia i w sumie około 60% rocznego czasu szkoleniowego spędzi w swoim powiecie. Taka jest idea wojsk OT. Żołnierz szkoli się w swoim terenie, który zna, i przygotowuje się do działań tam, gdzie nic go nie zaskoczy. Pod pojęciem terytorialności kryje się także szeroko rozumiana współpraca z samorządami i władzami administracyjnymi. ■

Płk dr Artur Dębczak jest zastępcą dyrektora
Biura ds. Utworzenia Obrony Terytorialnej.

Choć służba w obronie terytorialnej ma mieć charakter ochotniczy, wojsko zapowiada wprowadzenie systemu zachęt. Żołnierze wojsk obrony terytorialnej, wzorem dzisiejszych rozwiązań dla rezerwistów odbywających ćwiczenia wojskowe, będą otrzymywać pieniądze. Należność finansowa złoży się z dwóch części. Pierwsza, uzależniona od stopnia wojskowego, będzie gratyfikacją za każdy dzień ćwiczeń. Druga to tzw. dodatek za gotowość. Według szacunków rezerwista w stopniu szeregowego za jedno weekendowe szkolenie w miesiącu oraz utrzymywanie gotowości dostanie łącznie około 450 zł. Szczegółowe wyliczenia ma określić rozporządzenie ministerialne. Wojsko nie wyklucza też finansowania kursów i szkoleń w specjalnościach, które będą niezbędne armii. Są również przewidywane roczne nagrody finansowe dla rezerwistów OT.

Wojsko chce ułatwić godzenie obowiązków zawodowych czy spraw prywatnych ze służbą w obronie terytorialnej, dlatego każdy żołnierz, który podpisze kontrakt, będzie wcześniej znał terminy szkoleń i ćwiczeń. Wykaz zajęć organizowanych w danym roku ma z odpowiednim wyprzedzeniem otrzymywać także pracodawca rezerwisty. ■

/ NA WOKANDZIE

Sprawa dotyczyła żołnierza, który zwrócił się do wojska o pomoc finansową w związku z nauką na trzecim roku niestacjonarnych studiów pierwszego stopnia w Akademii Obrony Narodowej w Warszawie. Wystąpił on do komendanta Centrum Szkolenia Logistyki w Grudziądzu z wnioskiem o zwrot kosztów pobieranych przez uczelnię oraz noclegów i przejazdu do i z miejsca zamieszkania (w wysokości i w zakresie określonym w przepisach o należnościach przysługujących żołnierzom z tytułu podróży służbowych na obszarze kraju).

Żołnierzowi odmówiono przyznania pomocy finansowej. Komendant powołał się na art. 52 ust. 4 ustawy pragmatycznej oraz §4 rozporządzenia ministra obrony narodowej z 15 września 2014 roku w sprawie nauki żołnierzy zawodowych. W decyzji podkreślił, że na obecnie zajmowanym przez żołnierza stanowisku służbowym, zgodnie z kartą opisu stanowiska służbowego, jest wymagane ukończenie jedynie szkoły średniej. Ponadto komendant stwierdził, że podjęty przez żołnierza kierunek nauki nie jest zbieżny z kwalifikacjami wymaganymi na zajmowanym stanowisku służbowym. Zauważył również, że w dalszej perspektywie rozwojowej zainteresowany nie jest przewidziany do objęcia stanowiska służbowego, na którym byłoby wymagane wykształcenie wyższe w specjalności logistycznej.

Od tej decyzji zainteresowany wniósł odwołanie do organu drugiej instancji. Ten podtrzymał jednak takie stanowisko. Uznał ponadto, że skoro dla stanowiska służbowego, które zajmuje żołnierz – dowódca drużyny – wymagane kwalifikacje zostały określone w karcie opisu stanowiska służbowego jako wymóg ukończenia szkoły średniej, a wnioskodawca ten warunek spełnia, to tym samym pomoc finansowa mu nie przysługuje. Organ zaznaczył, że podjęta samodzielnie przez skarżącego nauka na studiach w Akademii Obrony Narodowej przewyższa wymagania kwalifikacyjne na zajmowanym lub planowanym do wyznaczenia stanowisku służbowym.

Żołnierz wniósł skargę do Wojewódzkiego Sądu Administracyjnego w Bydgoszczy. Podtrzymał w niej swoje dotychczasowe stanowisko, podkreślając, że w sposób wadliwy uznano, że wybrany przez niego kierunek nauki nie jest zbieżny z wymaganiami kwalifikacyjnymi na zajmowanym lub planowanym do wyznaczenia stanowisku służbowym. Ustawodawca nie określił bowiem, jakie kierunki nauki należy uznać za zbieżne z wymaganiami kwalifikacyjnymi dla poszczególnych stanowisk służbowych. Ponadto zwrócił uwagę, że niesłusznie odmówiono mu wyrażenia zgody na udzielenie pomocy finansowej, w sytuacji gdy dalsze kształcenie

Finansowe wsparcie nauki

Żołnierz nie zgodził się z odmową wojska udzielenia pomocy finansowej na naukę. Uznał, że podwyższenie kwalifikacji jest niezbędne do właściwego wypełniania zadań służbowych oraz że jest zgodne z kartą opisu stanowiska służbowego.

i podwyższenie kwalifikacji zawodowych jest niezbędne do właściwego wypełniania zadań służbowych na zajmowanym przez niego stanowisku, jak również jest zgodne z kartą opisu stanowiska służbowego. Na marginesie zwrócił także uwagę na uchybienia organów obu instancji związane z wieloma przepisami o postępowaniu administracyjnym, które w sposób istotny uniemożliwiły mu czynny udział w tym postępowaniu.

31 maja 2016 roku Wojewódzki Sąd Administracyjny w Bydgoszczy (sprawa o sygn. akt. II SA/Bd 208/16) uznał, że decyzja odwołująca żołnierzowi prawa do dofinansowania kosztów nauki jest obarczona wadą i powinna zostać uchylona. Skarga żołnierza była słuszna, gdyż zaskarżona decyzja narusza przepisy postępowania administracyjnego w stopniu, który mógł mieć istotny wpływ na wynik sprawy. Chodziło o to, że organ nie wziął pod uwagę argumentów, na które powoływał się żołnierz. A skoro organ, do którego trafia wniosek o udzielenie pomocy finansowej, odpowiedzi na niego udziela w formie decyzji, to w prowadzeniu postępowania i orzekaniu jest on związany rygorami procedury administracyjnej (określonej w kodeksie postępowania administracyjnego). Ta z kolei nakazuje odnieść się do wszystkich argumentów – za i przeciw – czego nie uczynił dowódca jednostki wojskowej.

Podkreślono, że taka decyzja, mimo charakteru uznaniowego, nie może być dowolna.

Sąd zwrócił również uwagę, że ani przepisy ustawy o służbie wojskowej żołnierzy zawodowych, ani rozporządzenia nie wskazują, jakie kierunki nauki należy uznać za zbieżne z wymaganiami kwalifikacyjnymi dla poszczególnych stanowisk służbowych. Należało również odnieść się do treści karty opisu stanowiska służbowego, z której wynika, że oprócz kwalifikacji wymaganych do objęcia stanowiska, są również kwalifikacje preferowane, dodatkowe. Tym samym, zgodnie z rozporządzeniem wykonawczym z 15 września 2014 roku, można wysnuć wniosek, że ocena zbieżności wymaga uwzględnienia „kierunków rozwoju zawodowego i potrzeb szkoleniowych” żołnierza zawodowego zawartych w jego „opinii służbowej”.

Zdaniem sądu w treści rozporządzenia większy akcent jest położony na rozwój zawodowy i potrzeby szkoleniowe samego żołnierza niż na sam opis wymagań kwalifikacyjnych dla stanowiska służbowego. Na koniec podkreślono, że kandydatura żołnierza na studia o kierunku logistyka była przez przełożonych żołnierza zaakceptowana, pozytywnie opiniowana i uznana za przydatną w określonym korpusie osobowym. A zatem sama odmowa udzielenia pomocy finansowej pozostaje w sprzeczności z uprzednio wyrażoną zgodą na studia. Kwestii tych w żaden sposób nie poruszył organ pierwszej i drugiej instancji. Wyrok nie jest prawomocny. ■

ROBERT KŁOSIŃSKI



Źródło:
internetowa baza
orzeczeń sądów
administracyjnych.

/ SPRAWY ŻOŁNIERZY

Rekompensaty dla rezerwistów

Zmienia się zasady wypłat pieniędzy za ćwiczenia dla rezerwistów-przedsiębiorców.

Świadczenie finansowe dla żołnierzy rezerwy, mające zrekompensować im utracone w cywilu zarobki, jest wypłacane za każdy dzień ćwiczeń wojskowych. Rekompensata jest naliczana na podstawie miesięcznych dochodów osoby wezwanej przez wojsko. W wypadku osób pracujących na podstawie umowy o pracę lub stosunku służbowego wysokość dochodu ustala pracodawca – kwota miesięcznego wynagrodzenia jest dzielona przez 21 i mnożona przez liczbę dni odbytych ćwiczeń.

Podobnie powinien być obliczany dochód rezerwistów, którzy w cywilu prowadzą działalność gospodarczą.

Zaświadczenie o wysokości dochodu za miesiąc poprzedzający ćwiczenia rezerwista powinien uzyskać w urzędzie skarbowym. Praktyka pokazała jednak, że takie przepisy w tym wypadku trudno jest zastosować. Chodzi tu przede wszystkim o to, że działalność gospodarcza jest objęta rocznym, a nie miesięcznym rozliczeniem, więc nie ma obowiązku składania comiesięcznych deklaracji o uzyskanym dochodzie.

Przy braku zaświadczeń z urzędów skarbowych o miesięcznym dochodzie stosowano zatem wobec rezerwistów inny przepis rozporządzenia. Jest w nim mowa, że gdy ustalenie wysokości dochodu jest niemożliwe, świadczenie rekompensujące wylicza się na podstawie minimalnego wynagrodzenia za pracę. W praktyce otrzymane pieniądze nie zawsze rekompensowały utracone zarobki. Dlatego MON przygotowało nowelizację przepisów w tej sprawie. Po zmianach podstawą do wyliczenia świadczenia będzie więc dochód uzyskany przez przedsiębiorcę w ostatnim roku podatkowym. Kwota ta będzie dzielona przez 252 (dni robocze w ciągu roku), następnie mnożona przez liczbę dni odbytych ćwiczeń wojskowych. PG/PZ ■

Odprawy mieszkaniowe dla żołnierzy

Ponad 170 mln zł w ramach odpraw mieszkaniowych trafi w tym roku do 906 żołnierzy odchodzących z armii.

Agencja Mienia Wojskowego zakładała początkowo wypłatę 606 odpraw dla żołnierzy. Okazało się jednak, że to szacunki zaniżone. Już bowiem od 1 stycznia do 31 maja bieżącego roku do oddziałów regionalnych AMW wpłynęło 389 wniosków żołnierzy o wypłatę tej należności. Ostatecznie odprawy dostanie 300 żołnierzy więcej niż przewidywano. Choć większa liczba beneficjentów będzie oznaczać wyższe kosz-

ty dla budżetu, MON zapewnia, że środków nie zabraknie, bo dotacja na ten cel zostanie zwiększona. Do rąk 906 wojskowych zegnających się z mundurem trafi w sumie 170 164 tys. zł

Zwiększy się też średnia wysokość odprawy. W poprzednim roku wynosiła ona około 187 tys. zł, teraz wzrośnie o około 8,5 tys. Wynika to m.in. z wejścia w październiku 2015 roku korzystnych przepisów dotyczących wypłaty

odpraw. Pozwalają one ustalić wysokość tego świadczenia na dzień wskazany przez żołnierza, a nie jak było przed 1 października 2015 roku – na dzień wydania decyzji o wypłacie pieniędzy. Wpływ na wysokość odprawy ma też wzrost wskaźnika ceny 1 m² powierzchni użytkowej budynku oddanego do użytkowania w poprzednim kwartale, np. z 3925 zł (IV kwartał 2015 roku) do 4177 zł. (I kwartał 2016 roku). PZG/PZ ■

/ WETERANI PYTAJA

OPINIOWANIE ŻOŁNIERZY

Jestem weteranem. Czy ocena dostateczna w opinii służbowej może być przyczyną zwolnienia mnie z zawodowej służby wojskowej?

→ **W wojsku od 15 sierpnia do 15 października trwa coroczne opiniowanie żołnierzy zawodowych.** Jeśli ktoś dostanie ocenę dostateczną, może to mieć dla niego daleko idące konsekwencje.

POŻEGNANIE Z ARMIA?

Zgodnie z art. 112 ust. 1 pkt 4 ustawy pragmatycznej, żołnierza zawodowego można zwolnić z zawodowej służby wojskowej wskutek otrzymania przez niego ogólnej oceny dostatecznej w opinii służbowej. Decyzja o zwolnieniu ze służby należy do ministra obrony narodowej – w odniesieniu do żołnierzy na stanowiskach służbowych o stopniach etatowych pułkownika (komandora) i generała (admirala), dyrektora Departamentu Kadr MON – w stosunku do pozostałych żołnierzy zawodowych w korpusie oficerów, albo do dowódcy jednostki wojskowej lub innych organów (np. dowódcy generalnego rodzajów sił zbrojnych, dowódcy operacyjnego RSZ) – w wypadku żołnierzy w korpusie podoficerów i szeregowych.

Te organy, zgodnie ze stanowiskiem sądów orzekających w sprawach dotyczących zwolnienia żołnierzy z zawodowej służby wojskowej, dbają o to, aby w poszczególnych korpusach kadry zawodowej i osobowych na określonych stanowiskach służbowych pełnili zawodową służbę wojskową żołnierze o jak najwyższych kwalifikacjach i mający odpowiednie predyspozycje. Decyzja o zwolnieniu ze służby w razie otrzymania oceny dostatecznej przez żołnierza jest podejmowana w ramach tzw. uznania administracyjnego. Oznacza to, że żołnierz, który dostał trójkę z co-

rocznego opiniowania służbowego, może zostać uznany za niezdolnego do pełnienia zawodowej służby wojskowej.

CO Z KONTRAKTOWYMI?

Sądy wskazują, że kryterium, którym organ powinien się kierować przy ewentualnym zwolnieniu danego żołnierza ze służby, jest jej dobro. Żadne względy natury osobistej żołnierza, takie jak: trudna sytuacja zdrowotna, rodzinna czy finansowa, nie mogą stanowić przeszkody do zwolnienia ze służby. Ponadto, oprócz wymogów formalnych, żołnierz zawodowy powinien dawać również gwarancję dyspozycyjności i wykonywania powierzonych mu zadań w sposób profesjonalny.

Należy pamiętać, że zwolnienie żołnierza z zawodowej służby wojskowej wskutek otrzymania ogólnej oceny dostatecznej w opinii służbowej w większości przypadków nie jest obowiązkowe. W trudniejszej sytuacji są żołnierze kontraktowi, którym upływa termin, na jaki został zawarty kontrakt. Zgodnie z art. 15 ustawy pragmatycznej, warunkiem zawarcia kolejnego kontraktu z żołnierzem jest otrzymanie przez niego ogólnej oceny co najmniej dobrej w ostatniej opinii służbowej. Przepis ten, w przeciwieństwie do wymienionego już art. 112 ust. 1 pkt 4, nie jest uznaniowy i jeśli żołnierz przed końcem kontraktu dostanie trójkę, to bezwzględnie musi odejść ze służby. ■

IZABELA STELMACH,
prawnik Centrum Weterana Działań
poza Granicami Państwa

Źródło: II SA Go 564/15, II SA/OI 130/15, I OSK 1017/13.

Podstawy prawne: ustawa z 11 września 2011 roku o służbie wojskowej żołnierzy zawodowych – art. 15, art. 112 ust. 1 pkt 4.

Drodzy Czytelnicy, jeśli macie pytania dotyczące przepisów prawnych dla weteranów, przysyłajcie je na adres: niezbednik@zbrojni.pl

Zderzenia z paragrafem

Nasi eksperci rozwiązują Wasze problemy z interpretacją przepisów prawnych. Zachęcamy do zadawania pytań: niezbednik@zbrojni.pl

DODATEK „LOTNY”

Moje pytanie dotyczy dodatku dla żołnierzy zawodowych pełniących służbę w składzie załóg statków powietrznych sił zbrojnych. Po skończeniu szkoły oficerskiej, w grudniu 2015 roku objąłem stanowisko służbowe, które wiąże się bezpośrednio z wykonywaniem lotów. W ubiegłym roku jednak ich nie wykonywałem. W niektórych bazach lotniczych takim żołnierzom przyznają wspomniany dodatek, co wynika z rozporządzenia w sprawie dodatków do uposażenia zasadniczego żołnierzy zawodowych: „Dodatek specjalny przyznaje się od dnia objęcia obowiązków służbowych na stanowisku, na którym żołnierz zawodowy ma obowiązek wykonywania czynności objętych prawem do dodatku specjalnego”.

→ Dodatek w takim wypadku się nie należy. Żołnierz musi faktycznie wykonywać loty w składzie załóg statków powietrznych.

Przedmiotowa kwestia jest uregulowana w rozporządzeniu ministra obrony narodowej w sprawie dodatków do uposażenia zasadniczego żołnierzy zawodowych z 10 listopada 2014 roku, w którym w §4 pkt. 1, odnoszącym się konkretnie do sytuacji prawnej, w jakiej znajduje się czytelnik, jest mowa, że żoł-

nierze zawodowi otrzymują dodatek specjalny za szczególne właściwości lub warunki pełnienia służby z tytułu wykonywania lotów w składzie załóg wojskowych statków powietrznych. Uzupełnieniem tego przepisu jest §8 rozporządzenia, w którym również znalazł się zapis o wykonywaniu przez żołnierza zawodowego na zajmowanym przez niego stanowisku lotów w składzie załóg wojskowych statków powietrznych. Celem przyznania dodatku za wykonywanie lotów w składzie załóg wojskowych statków powietrznych jest m.in. zrekompensowanie trudów (obciążeń, specyficznych uciążliwości lub zagrożeń), które wiążą się z wykonywaniem obowiązków wynikających z opisu zajmowanego stanowiska służbowego.

ROBERT KŁOSIŃSKI

Podstawy prawne: wyrok Naczelnego Sądu Administracyjnego w Warszawie z 2 grudnia 2015 roku, sygn. akt. I OSK 1257/14, internetowa baza orzeczeń sądów administracyjnych: <http://orzeczenia.nsa.gov.pl/cbo/query>; ustawa z 11 września 2003 roku (DzU 2010 nr 90 poz. 593 z późn. zm.) – art. 80 ust. 6; rozporządzenie ministra obrony narodowej w sprawie dodatków do uposażenia zasadniczego żołnierzy zawodowych z 10 listopada 2014 roku (DzU 2014 poz. 1618 z późn. zm.) – §4 pkt. 1) §8 ust. 1.

Porady zamieszczane na łamach „Polski Zbrojnej” mają charakter informacyjno-doradczy i nie stanowią wiążącej interpretacji i wykładni prawa.

KŁOPOT Z MUNDURAMI

Od dwóch lat nie otrzymałem przysługującego mi umundurowania z powodu braków w magazynie. Czy jest to zgodne z prawem? Czego mogę się domagać w związku z tą sytuacją? Nie jestem jedyną osobą, która ma taki problem. Czy jeśli dostanę nowe umundurowanie w tym roku, to data na rozdzielniku może zostać cofnięta do lat, kiedy to prawidłowo powinienem je otrzymać?

→ **Osoby odpowiedzialne za gospodarkę mundurową w jednostce wojskowej zanie-dbały swoje obowiązki. Sytuacja, jest niezgodna z obowiązującymi w tej materii przepisami prawa.** Należy podkreślić, że zgodnie

z ustawą pragmatyczną, żołnierze zawodowi i pełniący służbę kandydacką dostają umundurowanie i wyekwipowanie, uzbrojenie oraz, w określonych przypadkach, wyżywienie albo równoważnik pieniężny w zamian za te należności. Szczegółowo kwestie związane z wydaniem określonego umundurowania są uregulowane w rozporządzeniu ministra obrony narodowej z 31 października 2014 roku. W §4 jest mowa o tym, że podstawą do wydania umundurowania i wyekwipowania zasadniczego żołnierzowi jest w wypadku: powołania do zawodowej służby wojskowej i służby kandydackiej – rozkaz personalny o powołaniu; wyznaczenia na stanowisko służbowe, mianowania lub przystąpienia do wykonywania określonych czynności służbowych – rozkaz dzienny dowódcy (szefa, komendanta) jednostki wojskowej, w której żołnierz pełni służbę, stwierdzający wyznaczenie go na stanowisko. Podstawą do wydania umundurowania i wyekwipowania specjalistycznego jest rozkaz dzienny dowódcy (szefa, komendanta) jednostki wojskowej, w której żołnierz pełni czynną służbę wojskową.

Zgodnie z §20 rozporządzenia, odpowiedzialny za prowadzenie gospodarki materiałowej w jednostce wojskowej jest dowódca (szef, komendant) jednostki budżetowej, na której zaopatrzeniu w dziale mundurowym żołnierz pozostaje. Zważywszy na zaistniałą sytuację, zainteresowany może się domagać wypłaty równoważnika mundurowego za niewydane przedmioty zaopatrzenia mundurowego. Kwestię tę reguluje §1 rozporządzenia ministra obrony narodowej w sprawie równoważników pieniężnych przysługujących żołnierzom zawodowym oraz żołnierzom pełniącym służbę kandydacką w zamian za umundurowanie i wyekwipowanie niewydane w naturze z 15 stycznia 2015 roku.

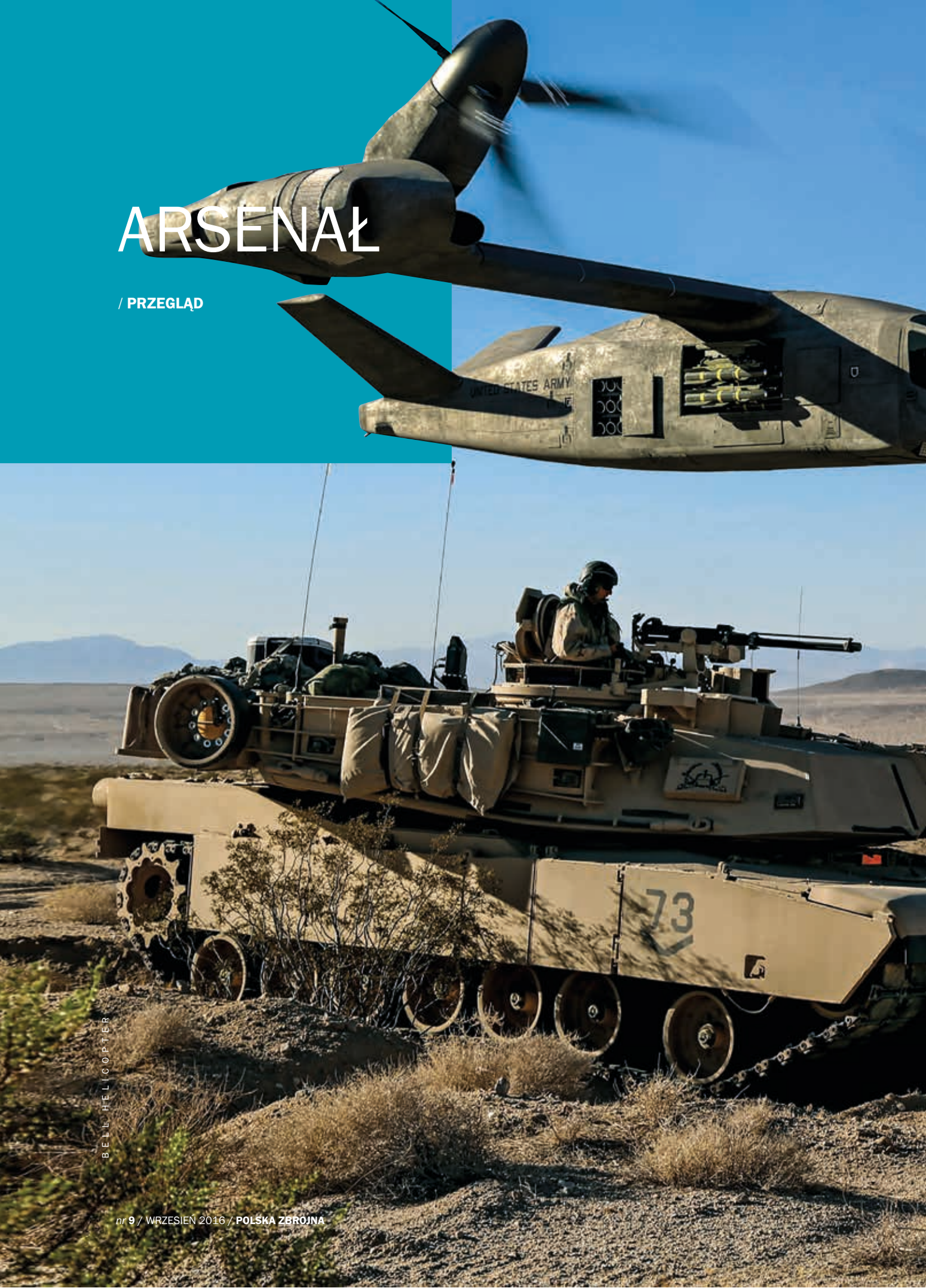
Jeśli chodzi o ostatnie pytanie – data rozdzielnika nie może być datą wsteczną, lecz musi się pokrywać z datą wydania określonych sortów mundurów oraz rozpoczęcia używalności (vide §13 rozporządzenia). Nasuwa się tu również pytanie: dlaczego w wypadku braku określonych sortów magazyn nie wydał tzw. zamienników, o których jest mowa w §17 ust. 1 rozporządzenia? Celowe byłoby skierowanie do dowódcy jednostki wojskowej pisemnego meldunku o zaistniałej sytuacji.

ROBERT KŁOSIŃSKI

Podstawy prawne: ustawa z 11 września 2003 roku (DzU 2010 nr 90 poz. 593 z późn. zm.) – art. 137b; rozporządzenie ministra obrony narodowej w sprawie umundurowania i wyekwipowania żołnierzy zawodowych i żołnierzy pełniących służbę kandydacką z 31 października 2014 roku (DzU 2014 poz. 1615) – §2–5, §17 ust. 1, §20; rozporządzenie ministra obrony narodowej w sprawie równoważników pieniężnych przysługujących żołnierzom zawodowym oraz żołnierzom pełniącym służbę kandydacką w zamian za umundurowanie i wyekwipowanie niewydane w naturze z 15 stycznia 2015 roku (DzU 2015 poz. 146) – §1–3.

ARSENAŁ

/ PRZEGLĄD



BELL HELICOPTER



ROBERT CZULDA

LOT W PRZYSZŁOŚĆ

Chociaż używane obecnie w US Army śmigłowce mają przed sobą jeszcze wiele lat służby, już teraz prowadzi się intensywne prace nad platformą przyszłości, która docelowo ma się znaleźć we wszystkich rodzajach amerykańskich sił zbrojnych.

Jednostki lotnicze wojsk lądowych Stanów Zjednoczonych wykorzystują takie śmigłowce jak AH-64 Apache, CH-47 Chinook, UH-60 Black Hawk czy OH-58 Kiowa Warrior. Chociaż wszystkie ciągle prezentują wysoką wartość operacyjną, nie będą mogły służyć wiecznie. OH-58 występuje w wersji D, podczas gdy AH-64 jest modernizowany do E, a dla CH-47 standardem jest obecnie model F. UH-60 w odmianie M jest coraz powszechniejszy w amerykańskich siłach zbrojnych.

W ciągu 20–30 lat maszyny tego typu mają jednak zostać całkowicie wycofane z jednostek.

Chcąc zastąpić obecne konstrukcje, a mowa o 25 typach śmigłowców i samolotów, w 2009 roku Departament Obrony zainicjował program „Future Vertical Lift” (FVL). Chodzi o rewolucyjną platformę przeznaczoną przede wszystkim dla wojsk lądowych, które są użytkownikami największej liczby śmigłowców (80% wszystkich w siłach zbrojnych). Szacuje się, że docelowo nowe maszyny w wersji średniej zastąpią aż 3 tys. śmigłowców US Army. Siły specjalne amerykańskich sił zbrojnych mają zamówić 75 maszyn, podczas gdy US Navy – około 500, piechota morska – 400, siły powietrzne – 125, a amerykańska straż przybrzeżna – 50. Do tego należy doliczyć potencjalne zamówienia zagraniczne. Przyjmuje się wstępnie, że te mogą wynieść około 1,3 tys. sztuk jedynie w odniesieniu do użytkowników AH-64 i UH-60. Jednym słowem – FVL to program, który wzmocni pozycję zwycięzcy na całe dekady i pozwoli zastąpić konkurencję daleko w tyle.

Docelowa platforma ma być uniwersalna i występować w kilku, zbieżnych pod wzglę-

dem logistycznym, wariantach. Maszyna średnia, zaplanowana w dwóch wersjach, ma zastąpić śmigłowce wielozadaniowe UH-60 Black Hawk i bojowe AH-64 Guardian. Planuje się, że początek tego procesu rozpocznie się w drugiej połowie lat dwudziestych (mowa nawet o 2025 roku), ale inne prognozy mówią o latach trzydziestych. Wersja bojowa miałaby być dostępna około 2035 roku, aczkolwiek czasem w zapowiedziach pada 2045 rok. Platforma ciężka zastąpi z kolei śmigłowce transportowe CH-47 Chinook. Ta faza to mniej więcej 2050 rok. Jednocześnie bierze się pod uwagę wariant bardzo ciężki, o rozmiarach porównywalnych z transportowymi samolotami C-130 Hercules. To jednak odległa przyszłość.

Nie podjęto jeszcze decyzji co do kilku śmigłowców. Jednym z nich jest OH-58D Kiowa Warrior, który miał zostać zastąpiony w ramach programu US Army, dotyczącego nowego uzbrojonego śmigłowca rozpoznawczego (Armed Aerial Scout – AAS). Ten jednak został zamknięty w 2013 roku, bo uznano go za zbyt kosztowny. Chociaż planowano, że OH-58 zostaną zastąpione przez śmigłowce AH-64E Guardian, to najprawdopodobniej ostatecznie będą to FVL w wersji lekkiej. Podobne wątpliwości ma US Air Force, które w 2013 roku zakończyły analizę w ramach programu „Common Vertical Lift Support Platform” (CVLSP), której celem było wprowadzenie co najmniej 72 nowych maszyn jako następców UH-1N.

Kolejnym śmigłowcem używanym przez US Navy jest MH-60R/S Seahawk, wykorzystywany do wielu rozmaitych działań – od zwalczania okrętów podwodnych po zadania poszukiwawczo-ratunkowe. Wycofywanie go ze służby ma się rozpocząć w 2028 roku, a zakończyć w 2035 roku. Średnio resurs tych maszyn – z których te w wariantcie R weszły do służby w 1984 roku, a w S w 2001 roku – to 10 tys. godzin (30 lat). Ze względu na zmieniające się za-

SB>1 Defiant osiąga prędkość 460 km/h, a więc więcej niż wymóg stawiany przez US Army.

FVL TO PROGRAM, KTÓRY WZMOCNI POZYCJĘ ZWYCIĘZCY NA DEKADY I POZWOLI ZOSTAWIĆ KONKURENCJĘ DALEKO W TYLE

grożenia i wymogi pola walki, US Navy chce – mimo planowanej na 2022 rok modernizacji przeprowadzanej w celu wydłużenia resursów – rozpocząć proces wyboru zupełnie nowej platformy w ramach programu „Maritime Helicopter” (MH-XX).

CZEGO CHCE WOJSKO?

Docelowe rozwiązania techniczne nie są jeszcze znane. Departament Obrony rozważa zakup konwencjonalnego śmigłowca, zmiennopłata lub śmigłowca zespolonego, z dodatkowym napędem i ewentualnie pomocniczymi skrzydłami. Według założeń, FVL będzie szybszy, efektywniejszy i odporniejszy na zagrożenia niż obecne maszyny. Ma być w stanie skutecznie działać na wysokości 1,8 tys. m i w temperaturze 35°C. Według planów będzie miał też nowoczesne wyposażenie, pozwalające w pełni włączyć platformę w tworzony sieciocentryczny system dowodzenia i kontroli. Zakładana prędkość jednostki to około 463 km/h. Zasięg działania w konfiguracji bojowej wyniesie 424 km, a maksymalny – 848 km.

Według założeń programu, na bazie jednej platformy ma powstać kilka wersji różniących się przeznaczeniem: od transportowych, przez rozpoznawcze i poszukiwawczo-ratunkowe, po zwalczania okrętów podwodnych. FVL ma występować w kilku bliżej nieokreślonych rozmiarach i mieć strukturę modułową, co oznacza, że konfigurację będzie można względnie łatwo zmieniać w zależności od

wybranego pakietu misji. By uniknąć problemów rozwojowych i niepotrzebnych kosztów, program FVL jest poprzedzony projektem JMR-TD (Joint Multi-Role Technology Demonstrator), demonstratora technologii, który nie będzie konstrukcją docelową, ale jedynie posłuży do sprawdzenia konkretnych możliwości technicznych.

US Army ostatecznie wybrała w sierpniu 2014 roku dwie propozycje rodzimych firm zbrojeniowych: koncernu Boeing (znanego z takich śmigłowców jak AH-64 Apache i Guardian, CH-47 Chinook), który współpracuje z zakładami Sikorsky Aircraft Corporation (produkującymi m.in. CH-53 Super Stallion i King Stallion, UH-60 Black Hawk). Druga propozycja pochodzi od firmy Bell Helicopter, będącej producentem m.in. całej rodziny UH-1 Iroquois oraz AH-1 Cobra i Viper oraz V-22 Osprey, współtworzonego z... Boeingiem.

SPRAWDZONE ROZWIĄZANIE

By spełnić ambitne wymogi programu, koncern Boeing połączył siły z firmą Sikorsky. Obaj producenci współdziałali swego czasu nad projektem lekkiego, bojowego śmigłowca rozpoznawczego RAH-66 Comanche, nad którym prace zainicjowano w połowie lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku. Program, który miał doprowadzić do zastąpienia takich maszyn jak UH-1 Iroquois, AH-1 Cobra, OH-6 Cayuse i OH-58 Kiowa Warrior, został ostatecznie zamknięty w 2004 roku. Teraz firmy połączył projekt →



Główne wersje FVL

Planowane zamówienia wariantu średniego [szt.]

US Army	3000
Siły specjalne	75
US Navy	500
US Marines	400
US Air Force	125
Straż przybrzeżna	50
Zamówienia międzynarodowe	1300

Lekka		OH-58 Kiowa Warrior
Średnia	wielozadaniowa	UH-60 Black Hawk, UH-1 Venom
	bojowa	AH-64 Guardian, AH-1 Viper
Ciężka		CH-47 Chinook

Przeznaczenie platformy FVL:

- transport żołnierzy i sprzętu,
- rozpoznawanie bojowe,
- misje humanitarne,
- działania bojowe,
- ewakuacja medyczna,
- zwalczanie okrętów podwodnych,
- zwalczanie okrętów nawodnych,
- rozpoznawanie,
- likwidacja min morskich,
- wsparcie sił specjalnych,
- operacje poszukiwawczo-ratunkowe.

SB>1 Defiant, oparty na demonstratorze technologii X2. Jego oblot wykonano w 2008 roku. Konstrukcja zasłynęła z tego, że w 2010 roku pokonała barierę 417 km/h. Był to wielki dzień dla projektantów, bo w ten sposób X2 ustanowiło światowy, choć nieuznany oficjalnie, rekord prędkości. W tym samym roku X2 rozwinął prędkość 460 km/h. Platformą weryfikującą technologię X2 jest zaś S-97 Raider, który wzbił się w powietrze w 2015 roku.

SB>1 Defiant ma dwa współosiowe wirniki główne oraz śmigło pchające, co zdaniem producenta zapewni prędkość większą o 185 km/h, a zasięg działania o 60%. Osiągana prędkość to 460 km/h, a więc więcej niż wymóg stawiany przez US Army, czyli 425 km/h. W wersji transportowej maszyna będzie mogła przewozić 12 żołnierzy. Ma sobie dobrze radzić także w trudnych warunkach klimatycznych. Do demonstratora technologii wybrano silnik turbośmigłowy Honeywell Aerospace T55, który jest wykorzystywany w ciężkich śmigłowcach CH-47 Chinook. X2 miał masę startową wynoszącą około 3,6 t, a S-97 – niemal 5 t. W wypadku SB>1 będzie to 14,5 t, co ma udowodnić, że technologii X2 można z powodzeniem zastosować w większych konstrukcjach.

KUZYŃ OSPREYA

Drugą rozważaną przez amerykańskie wojsko koncepcją jest V-280 Valor, rozwijany przez koncern Bell Helicopter. Demonstrator technologii V-280 to przemiennopłat z usterzeniem motylkowym, zbudowany z kompozytów ze skrzydłem stałym. Ma on mieć zasięg od 926 km do 1482 km i osiągać prędkość przelotową około 520 km/h. Ładowność użytkowa wyniesie 5,5 t, podczas gdy udźwig ładunku podwieszonego pod kadłubem – 4,8 t. Firma planuje także wersję bojową, która zostanie wyposażona w uzbrojenie w komorach kadłubowych i pod skrzydłami.

Ta konstrukcja bardzo przypomina śmigłowiec V-22 Osprey, aczkolwiek istnieją zasadnicze różnice. Najważniejsza jest taka, że silniki V-280 w gondolach pozostają nieruchome, a położenie zmienia część ruchoma, w której znajdują się piasta i łopaty. Ponadto V-22 nie ma drzwi bocznych, lecz jedynie tylną rampę, podczas gdy V-280 zostanie wyposażony w parę drzwi bocznych o szerokości 1,8 m. W nowej konstrukcji przewiduje się cztery osoby załogi (dwóch pilotów i dwóch techników) i będzie można nią przewozić do 14 żołnierzy (w V-22 od 24 do 32). Montaż demonstratora technologii rozpoczął się w czerwcu 2015 roku. Po jedenastu miesiącach prac kadłub został połączony ze skrzydłem, a silniki T-64-GE-419 i przekładnie mają zostać zamontowane w gondolach w listopadzie 2016 roku.

Oba zespoły prowadzą intensywne prace nad demonstratorami technologii. Loty testowe SB>1 Defiant i V-280 Valor, które przewiduje się na wrzesień 2017 roku, mają potrwać dwa lata, kiedy to etap lotniczy JMR ma zostać zakończony. Nie gwarantuje to jednak sukcesu, bo US Army rezerwuje sobie prawo do wybrania jako FVL innej platformy, niekoniecznie tej na bazie demonstratorów Boeinga i Sikorskiego lub Bell Helicopter. Co więcej, bierze ona pod uwagę rezygnację z projektu, jeśli zmienią się oczekiwania i potrzeby. Ta pierwsza ewentualność daje szansę takim firmom jak Piasecki Aircraft czy AVX Aircraft, które nie zostały ostatecznie zaproszone do programu JMR-TD, ale nadal wyrażają zainteresowanie FVL.

US Army ponadto nie wyklucza, że ostatecznie wybierze ofertę więcej niż jednej firmy, szczególnie wobec konieczności pozyskania maszyn w dwóch wariantach (większej transportowej i mniejszej bojowej) w ramach średniego FLV. W takim wypadku nowe śmigłowce musiałyby jednak i tak cechować się wysokim stopniem zbieżności technologicznej. ■

MASTER PO POLSKU

Z ppłk. pil. Markiem Kejną

**o wyposażeniu M-346 i lotach testowych tych maszyn
rozmawia Paulina Glińska.**

Jak Panu, pilotowi isquier i Su-22, podoba się M-346?

Miałem okazję wzbić się nim w powietrze i dziś nawet trochę zazdroszczę młodszym kolegom, że będą latać na tej maszynie, a jeszcze młodszym, że będą się na niej szkolić. To jeden z najbardziej zaawansowanych technologicznie samolotów szkolnych na świecie, a jednocześnie prosty w pilotażu.

A jakie konkretnie są jego zalety?

M-346 jako samolot szkolny niemal w niczym nie ustępuje maszynom bojowym. Gdyby miał realne uzbrojenie, z powodzeniem mógłby być partnerem do walki z F-16 czy eurofighterem. Dzięki systemom elektronicznym, które znajdują się na pokładzie, można tu symulować wszelkie uzbrojenie. W samolocie, którego godzina lotu kosztuje 20% mniej niż maszyny bojowej, możemy nauczyć pilota niemal tego samego, czego w trakcie lotu samolotem bojowym. Brakuje tylko możliwości użycia prawdziwych środków bojowych. Ale w praktyce, latając na M-346, nie musimy za ich użycie płacić, by uczyć się ich wykorzystywania.

Oficjalna prezentacja pierwszego M-346 dla polskich sił powietrznych odbyła się w czerwcu. Potem był pierwszy lot...

Samolot po zejściu z linii produkcyjnej był poddawany sprawdzaniu naziemnemu. Chodziło m.in. o elektronikę pokładową, oprogramowanie komputerów lotu oraz wszelkich instalacji: tlenowej, pneumatycznej, hydraulicznej i paliwowej. Odbyły się też pierwsze próby silników. To standardowe procedury, które przechodzi każdy wyprodukowany statek powietrzny, by mógł się wzbić w powietrze. Pierwszy lot naszego M-346 odbył się 4 lipca. Za sterami zasiadł Quirino Bucci, pilot do-

świadczalny koncernu, a miejsce w drugiej kabinie zajął Giovanni Paganini, inżynier pokładowy. Teraz samolot jest sprawdzany, a loty testowe będą trwać aż do jesieni.

Co testują inżynierowie z włoskiej fabryki?

W lotach testowych chodzi o sprawdzenie, jak działają nie tylko maszyna, systemy pokładowe, elektronika, ale przede wszystkim te urządzenia i elementy, które zostały zamontowane na nasze życzenie. A w polskim masterze jest kilka nowości w porównaniu do innych wersji tego samolotu.

Na przykład?

Polska skorzystała z możliwości indywidualnego doboru zamawianej awioniki. Według naszych wymagań została ona skompletowana i zmodyfikowana pod kątem F-16. System zobrazowania na wyświetlaczach i wskaźnikach oraz symbolika i sposób przekazywania informacji dla pilotów jest podobny do tego w efach, bo oryginalną wersję przygotowuje się do szkolenia pilotów eurofighterów. Piloci fabryczni sprawdzają także, jak działa zamontowana specjalnie na potrzeby polskich sił powietrznych tzw. zasłonka ślepego pilotażu, dzięki której można imitować w samolocie pogorszenie warunków pogodowych. Część testów odbywa się też na ziemi – w specjalnym hangarze maszynę badano pod kątem promieniowania elektromagnetycznego. Sprawdzano m.in., czy urządzenia radiowe samolotu nie zakłócają odbioru telewizji lub innego sprzętu elektronicznego znajdującego się na ziemi.

Czy nasze mastery, wzorem F-16, będą miały spadochron hamujący?

Tak, to też element wyróżniający nasz samolot spośród innych. Montaż spadochronu był jednym z wyma→

gań postawionych przez stronę polską w przetargu. Chcieliśmy, by już na etapie szkolenia w dęblińskiej uczelni podchorążowie wiedzieli, jak z takiego „hamulca” korzystać. Ten element jest sprawdzany na drugim samolocie, który niedawno zszedł z linii produkcyjnej. Jeśli ostateczna ocena będzie pozytywna, to spadochron zostanie zamontowany na każdej z ośmiu przeznaczonych dla nas maszyn.

Co w naszych samolotach jeszcze bardziej ułatwi szkolenie przyszłych pilotów F-16?

Na przykład zamontowany specjalnie dla polskich pilotów tzw. data link, czyli system służący do wymiany informacji cyfrowej. W polskiej wersji samolotu został on zmodyfikowany tak, aby mógł współpracować z naszymi efami. Pozwoli to organizować wspólne ćwiczenia i szkolenie. Teraz, żeby sprawdzić jak to działa, były potrzebne dwa samoloty.

A co z oprogramowaniem polskich M-346?

Również to podlega ocenie. Software, czyli oprogramowanie komputerów pokładowych na naszym M-346, pozwala np. symulować środowisko walki: wszelkiego typu uzbrojenie inteligentne oraz zagrożenia z ziemi i powietrza. Pod tym względem polskie M-346 na pewno są najnowocześniejsze ze wszystkich wyprodukowanych. Ponieważ jednak rynek lotniczy szybko się rozwija, samolot, który zszedł z linii rok temu, dziś może być już nieco przestarzały.

Czy w każdym z ośmiu samolotów zostaną sprawdzone te „polskie” elementy?

Nie, bo sama maszyna nie jest nową konstrukcją. Jest znana, oblatana i używają jej już Włochy, Singapur i Izrael. Kupiliśmy więc tak naprawdę gotowy produkt, a teraz musimy sprawdzić, czy spełnia on zadeklarowane w przetargowej ofercie parametry. Jeśli dane elementy, np. spadochron czy oprogramowanie, sprawdzają się w jednym samolocie, zostaną zamontowane także w pozostałych egzemplarzach. W sumie te działania certyfikacyjne, mające sprawdzić, czy M-346 spełnia wszystkie wymagania polskich sił powietrznych, są podzielone na maszyny nr 1 i nr 2. Loty na nich potrwać do października. Ich liczba będzie zależała od pomyślnej oceny te-

go, jak samolot i jego poszczególne systemy sprawdzają się w powietrzu. Zgodnie z kontraktem na wszystkich ośmiu mających trafić do Polski egzemplarzach piloci fabryczni mogą jednak wylatać do 200 godzin, nie tylko tam na miejscu, lecz także w ramach weryfikacji i odbioru samolotów już w Polsce.

Kto we Włoszech zdecyduje o tym, czy M-346 mogą wylecieć do Polski, żeby były eksploatowane przez nasze siły powietrzne?

Prawo certyfikacji statków powietrznych, ale wyłącznie cywilnych, ma w Polsce Urząd Lotnictwa Cywilnego. Wojsko nie ma tzw. władzy lotniczej, choć prace nad jej utworzeniem trwają od jakiegoś czasu. Została zaś podpisana dwustronna umowa z włoską wojskową władzą lotniczą, która przed przekazaniem samolotów do Polski przeprowadzi dla nas taką certyfikację. Nie ma tu żadnej dowolności, bo są określone wymagania, jakie maszyna musi spełnić, aby mogła na stałe opuścić fabrykę i polecieć do kraju, który ją kupił.

A kto przyprowadzi te maszyny do Polski?

Włoscy piloci, bo zgodnie z kontraktem samoloty staną się naszą własnością dopiero na polskiej ziemi. Dopiero tu, w trakcie lotów weryfikacyjnych, załoga będzie mieszana, polsko-włoska. Po pomyślnym przejściu certyfikacji w kraju samoloty zostaną wpisane do polskiego wojskowego rejestru statków powietrznych.

Czy wiadomo już, kiedy przyleci pierwsza maszyna?

Dostawa samolotów do 41 Bazy Lotnictwa Szkolnego prawdopodobnie rozpocznie się w listopadzie. W pierwszym tygodniu przyleci pierwszy egzemplarz, a w następnych dniach będą dostarczone kolejne dwa. Reszta dołączy do nich w 2017 roku.

Po jakim czasie od wylądowania pierwszej maszyny podchorążowie będą mogli usiąść za sterami szkolnych M-346?

Najwcześniej za rok. Powrót wyszkolonych pilotów do kraju i przylot pierwszych samolotów to początek drogi. Trzeba jeszcze stworzyć własny system szkolenia. Każdy z użytkowników M-346 wypracował go sobie sam.



LEONARDO - FINMECCANICA

W lotach testowych chodzi o sprawdzenie, jak działają nie tylko maszyna, systemy pokładowe, elektronika, ale przede wszystkim te urządzenia i elementy, które zostały zamontowane na nasze życzenie

I nas też to czeka. To będzie ogromna praca m.in. pilotów, którzy teraz szkolą się we Włoszech. Trzeba np. określić, w jakim stopniu wykorzystać komputerowe urządzenia treningowe, które znajdują się w systemie szkolenia, liczbę lotów na symulatorze, a potem już na samolocie. A także opracować programy szkolenia, metodykę, procedury. Bardzo ważna będzie też współpraca z pilotami z eskadr taktycznych, bo to oni muszą określić, jak wyszkolonego pilota chcą otrzymać z 4 Skrzydła Lotnictwa Szkolnego.

Od marca na stałe mieszka Pan we Włoszech. Czym, jako oficer łącznikowy przy włoskich siłach powietrznych oraz firmie Leonardo-Finmeccanica, zajmuje się Pan na co dzień?

Zacząłem pracować przy programie AJT [Advanced Jet Trainer] jeszcze zanim Polska podpisała w 2014 roku kontrakt z włoską firmą. Od marca 2016 roku zajmuję stanowisko oficera łącznikowego i moim podstawowym zadaniem jest nadzór nad przebiegiem szkolenia zarówno pilotów, jak i personelu naziemnego we Włoszech. Pomagam też Inspektoratowi Uzbrojenia MON w nadzorze nad realizacją kontraktu na dostawy samolotów do Dębłina. Krótko mówiąc, dbam o to, by wszystko odbywało się zgodnie z zatwierdzonymi programami szkolenia i założonym harmonogramem. ■

Ppłk pil. MAREK KEJNA jest oficerem łącznikowym przy włoskich siłach powietrznych oraz firmie Leonardo-Finmeccanica.



HOLANDIA, LUKSEMBURG

Wspólne tankowce

Pod koniec lipca Holandia ogłosiła, że razem z Luksemburgiem kupi dwa samoloty Airbus 330 MRTT, będące zarówno transportowcami, jak i powietrznymi tankowcami.

Już podpisano umowę z ich producentem. **A330 MRTT** to modyfikacja cywilnej wersji A330-200. Zamówione przez Holendrów i Luksemburczyków maszyny zostaną dostarczone w 2020 roku i będą stacjonowały w bazie holenderskich sił powietrznych w Eindhoven. A330 MRTT zastąpią dwa latające tankowce KDC-10.

Zakup dwóch samolotów jest początkiem szerszego programu wielonarodowego „Multinational MRTT Fleet” (MMF). Zaintereso-

wane są nim Belgia, Niemcy, Norwegia i Polska. Jeżeli te państwa ostatecznie zdecydują się dołączyć do MMF, liczba zamówionych A330 MRTT może się zwiększyć do ośmiu. Wcześniej zapotrzebowanie na maszyny Airbusa złożyło dwóch członków NATO. W tym roku zakończyły się dostawy 14 tych samolotów do Wielkiej Brytanii. Francja zamówiła dziewięć maszyn, ale swe potrzeby ocenia na 12 egzemplarzy. Hiszpania natomiast planuje kupić dwa A330 MRTT. W ■

INDIE

Lotnicza wołta

Nowe Delhi anulowało przetarg na sześć latających tankowców, w którym w 2012 roku wskazano jako zwycięzcę samolot Airbus A330 MRTT. Powodem podobno były wysokie koszty eksploatacji. Hindusi zamierzają uruchomić nową procedurę wyboru. Oprócz A330 MRTT będą rozważane inne propozycje – rosyjski Il-78M-90A oraz amerykański boeing KC-767. Ze względu na cenę indyjski resort obrony jest zainteresowany maszyną rosyjską. Z oferty tego kraju jest brany pod uwagę także Il-78M2. Indie mają już sześć latających tankowców Il-78MKI i mogą one zostać zmodernizowane do wersji Il-78M2. Równocześnie tamtejsze siły powietrzne zdecydowały się zamówić cztery kolejne morskie samoloty patrolowe Boeing P-8I, które będą kosztować ponad miliard dolarów. W 2009 roku zamówiono osiem tych maszyn za 2,1 mld dolarów. WW ■

CHINY

Wschodni gigant

Państwo Środka zbudowało największy samolot-amfibię na świecie. W lipcu w zakładzie lotniczym CAIGA w Zhuhai zaprezentowano pierwszy egzemplarz **AG600**. Jego maksymalna masa startowa wynosi 53,5 t. Kadłub ma długość 37 m, rozpiętość skrzydeł 38,8 m. Prędkość przelotowa czterosilnikowej maszyny to 500 km/h, a maksymalny zasięg lotu 4500 km. Maszynę zaprojektowano m.in. do celów gaśniczych. Będzie mogła przenosić 370 t wody. W wersji poszukiwawczo-ratowniczej pomieści do 50 rozbitków. WRT ■



FRANCJA

Mirage na dłużej

W lipcu francuskie ministerstwo obrony podpisało umowę z firmą Dassault Aviation na modernizację 55 samolotów Mirage 2000D, która pozwoli wydłużyć czas ich eksploatacji do lat trzydziestych XX wieku. Decyzję o tym

podjęto w końcu 2015 roku. Maszyny, które weszły do służby w 1993 roku, zostaną wyposażone w automatyczne działko i przystosowane do przenoszenia kierowanych pocisków rakietowym MICA. Będzie też zamontowana nowa awionika. TT ■

BARTOSZ BERA

Dostawy armat
na nowe fregaty
są przewidywa-
ne w 2020 roku.

WIELKA BRYTANIA

Uzbrojenie dla fregat

Nowej generacji fregaty typu 26 Global Combat Ship, które zamówiono dla Royal Navy, zostaną uzbrojone w morski system ostrzału pośredniego (Maritime Indirect Fires System). Składa się on z armaty morskiej Mk 45 Mod 4 kali-

bru 127 mm o lufie długości 62 kalibrów, automatycznego systemu podawania amunicji, systemu kierowania ogniem oraz amunicji. W końcu lipca brytyjskie ministerstwo obrony podpisało z BAE Systems kontrakt o wartości 183 mln

funtów szterlingów. Obejmuje on zaprojektowanie i wyprodukowanie trzech armat, trenażera i amunicji. Dostawy armat są przewidywane w 2020 roku. Zamówienie zostanie rozszerzone, bo w planach jest budowa ośmiu fregat typu 26. WR ■

BAE SYSTEMS

AUSTRALIA

Dwa w grze

Ministerstwo obrony Australii ogłosiło, że do drugiej fazy programu „Army's Mounted Combat Reconnaissance Capability” o kryptonimie „LAND 400” zakwalifikowano dwie oferty – niemieckiej firmy Rheinmetall oraz fińskiej Patrii razem z BAE Systems.

Australijczycy są zainteresowani zakupem kołowej platformy, która na początek ma zastąpić 225 pochodzących z lat osiemdzie-



AUSTRALIAN DOD

siatych XX wieku wozów ASLAV (na zdjęciu). W grę wchodzi bojowy wóz rozpoznawczy, transporter opancerzony i pojazdy specjalistyczne. Rheinmetall zaoferował armii australijskiej modułowy wóz Boxer 8x8, z wieżą Lance uzbrojoną w armatę kalibru 35 mm i systemem C4ISR amerykańskiego koncernu Northrop Grumman. Z kolei Patria wóz AMV35 8x8. Na fińskim podwoziu osadzono wieżę E35 firmy BAE Systems Hägglunds, z armatą kalibru 35 mm. Nowa faza programu „LAND 400” to 12-miesięczne testy obu ofert. Wybór dostawcy jest przewidywany w 2018 roku. ■



ROSJA

Nowy typ okrętu

Do swej marynarki wojennej Rosjanie zamierzają wprowadzić nowego typu okręt bojowy, określanego jako **Projekt 23560 Szkwál** lub **Projekt Lider**. Ze względu na swą wielkość – 17,5 tys. t wyporności i 200 m długości, w części publikacji jest on klasyfikowany jako niszczyciel, w innych jako krążownik. Budowa ośmiu nowych jednostek ma się rozpocząć po 2018 roku. Okręty będą wyposażone w siłownię atomową, opracowane na potrzeby nowej generacji lodołamaczy. Zapewnią one liderom prędkość 30 w. Wśród uzbrojenia są wymieniane m.in. pociski raketowe Kalibr, systemy obrony powietrznej S-500 Prometeusz, Polimer-Redut i morska wersja Pancyr-M oraz armata kalibru 130 mm. WT ■



TADEUSZ WRÓBEL

Apacz za apacza

Brytyjska armia dostanie 50 nowych śmigłowców szturmowych.

AGUSTA WESTLAND

Ministerstwo obrony Wielkiej Brytanii na wystawie lotniczej w Farnborough 11 lipca 2016 roku ogłosiło podpisanie umowy z amerykańskim koncernem lotniczym Boeing na 50 śmigłowców szturmowych AH-64E Apache Guardian najnowszej generacji. Maszyny szturmowe, których dostawy mają się rozpocząć w 2020 roku, będą kosztować 2,3 mld dolarów. Transakcja zostanie dokonana w ramach amerykańskiego programu „Foreign Military Sales”, czyli AH-64E zostaną wyprodukowane w zakładach Boeinga w Stanach Zjednoczonych. „Umowa ta daje armii brytyjskiej wyjątkowy śmigłowiec w dobrej dla brytyjskiego podatnika cenie”, zapewnił minister obrony Wielkiej Brytanii Michael Fallon. „Jest to część naszego planu. Więcej okrętów, więcej samolotów, więcej wojsk w gotowości do użycia, lepsze wyposażenie dla wojsk specjalnych, większe nakłady na cybernetykę. Ten plan, wsparty przez rosnący budżet obronny, pozwoli nam poradzić sobie ze zwiększonymi zagrożeniami dla naszego kraju”.

PORAŻKA WŁOCHÓW

Wybór tej ścieżki zakupu śmigłowców Apache jest porażką włoskiej firmy Leonardo-Finmeccanica Helicopters Division, która jeszcze niedawno funkcjonowała pod nazwą AgustaWestland. Została ona utworzona w lipcu 2000 roku, kiedy holdingi włoski Leonardo-Finmeccanica i brytyjski GKN połączyły swe spółki zależne zajmujące się produkcją śmigłowców. W 2004 roku, po odkupieniu udziałów od Brytyjczyków, Włosi przejęli pełną kontrolę nad firmą AgustaWestland. Zanim jednak doszło do połączenia firm Agusta i Westland Helicopters, tej ostatniej powierzono montaż

59 z 67 śmigłowców szturmowych bazujących na wersji AH-64D Apache Longbow. Brytyjski resort obrony zdecydował o zakupie amerykańskiej maszyny w lipcu 1995 roku. Pierwszych dziewięć śmigłowców WAH-64, mających wojskowe oznaczenie Apache AH Mk 1, przekazano siłom zbrojnym 16 stycznia 2001 roku, a ostatni w lipcu 2004 roku. Obecnie armia brytyjska ma dwa pułki śmigłowców z pięcioma eskadrami tych maszyn. Według obecnych planów, AH Mk 1 zostaną jednak całkowicie wycofane ze służby w latach 2023–2024.

NAGRODA POCIESZENIA

Pomimo bezpośredniego zakupu AH-64E od Boeinga szefostwo resortu obrony zapewnia o dalszej współpracy z firmą włoską. „Leonardo-Finmeccanica nadal odgrywa istotną rolę we wspieraniu floty śmigłowców sił zbrojnych, ma również istotny wkład w gospodarkę na południowym zachodzie Anglii. Leonardo będzie nadal serwisować merliny i wildcaty, dwa z pięciu głównych typów naszych śmigłowców, do roku 2030 i później, a także nasze obecne śmigłowce Apache przez najbliższe osiem lat”, stwierdził brytyjski wiceminister ds. zamówień obronnych Philip Dunne. Minister Fallon zapewniał z kolei: „W dłuższej perspektywie chcę, by te nowe apache były serwisowane w Wielkiej Brytanii, i by brytyjskie firmy wykonywały większość prac. Obejmuje to Leonardo-Finmeccanica, która uzyskała znaczną wiedzę i doświadczenie we wspieraniu naszej obecnej floty w ciągu ostatniej dekady i będzie nadal wspierać te śmigłowce w ciągu około ośmiu lat, aż do ich ostatecznego przejścia na emeryturę”. Zyskają też inne brytyjskie firmy, które mają stanowić około 5% globalnego łańcucha dostawców w ramach programu śmigłowców Apache. ■



nr 33.

*Operator, Jednostka Wojskowa
„Nil” (2015 rok)*

rys. Monika Rokicka



NR 33.

UBIÓR POLOWY

OPERATOR, JEDNOSTKA WOJSKOWA „NIL”
(2015 ROK)

Předstawiamy żołnierza wojsk specjalnych z Jednostki Wojskowej „Nil” w ubiorze polowym. Głównym elementem jest dwuczęściowy kombinezon ćwiczebny wzór 15/DWS w kamuflażu MultiCam. Na kieszeni znajdującej się na lewym rękawie bluzy jest widoczna oznaka rozpoznawcza jednostki wojskowej. Na obu rękawach są też oznaki przynależności państwowej. Operator ma na sobie modułową kamizelkę kuloodporną, a całości dopełniają skrywająca twarz kominiarka, rękawice i buty taktyczne oraz ochroniacze kolan. Żołnierz nosi hełm bojowy, po którego lewej stronie jest zamontowana lantarka. Na hełm są nałożone gogle ochronne. Operator jest uzbrojony w karabinek automatyczny HK-416D10 kalibru 5,56 mm. Na górnej szynie montażowej znajduje się m.in. celownik kolimatorowy. Karabinek jest wyposażony w chwyt przedni. Dodatkową bronią żołnierza jest niewidoczny na rysunku pistolet HK USP kalibru 9 mm. ■



JEDNOSTKA WOJSKOWA „NIL”

To jedna z najmłodszych jednostek wojsk specjalnych. Powstała 2 grudnia 2008 roku jako Jednostka Wsparcia Dowodzenia i Zabezpieczenia Wojsk Specjalnych. Zgodnie z decyzją ministra obrony narodowej z 25 czerwca 2009 roku jej patronem został gen. bryg. August Emil Fieldorf „Nil”, który był twórcą i pierwszym dowódcą Kedywu Komendy Głównej Armii Krajowej. Na mocy kolejnej decyzji

ministra, z 12 maja 2010 roku – jednostka odziedziczyła tradycje Kedywu KGAK. 4 września 2010 roku zaś otrzymała sztandar. 1 października 2011 roku została przeformowana w Jednostkę Wojskową „Nil”. Do jej zadań należą wsparcie informacyjne, dowodzenia i zabezpieczenia logistycznego operacji specjalnych. Krakowska jednostka swoje święto obchodzi 6 września. ■



nr 34.

*Szeregowa, 34 Batalion
Radiotechniczny (2016 rok)*



RAFAŁ
CIAŁOŃ

Odrzutowa rewolucja



Marzenie o lataniu towarzyszyło człowiekowi zapewne od pierwszego spojrzenia w niebo, czego odzwierciedleniem jest chociażby mit o Dedalu i Ikarze. Pierwszy lot balonem braci Montgolfier odbył się w roku 1783, z kolei bracia Wright zbudowali i przetestowali swój samolot w 1903 roku. Osiem lat później, podczas turecko-włoskiej wojny o Trypolitanie, samolot po raz pierwszy został użyty w kinetycznych, jak dziś byśmy powiedzieli, działaniach bojowych, w roli bombowca. To właśnie dzięki ogromnemu potencjałowi militarnemu lotnictwo rozwijało się w takim tempie. Najbardziej intensywny postęp przypadł na lata II wojny światowej. Jej początek to była era PZL P-11c czy Gloster Gladiatorów, a zakończyła się z użyciem samolotów P-47 Thunderbolt i Me-262 Schwalbe. Ten ostatni to chyba najlepiej rozpoznawalny odrzutowiec tego okresu. Wkrótce silnik odrzutowy przyczynił się do rozwoju lotnictwa pasażerskiego.

Napęd tego typu nie jest wynalazkiem czasu II wojny. Pierwszym statkiem powietrznym wyposażonym w prymitywny silnik tego rodzaju (tzw. motorjet) był samolot Coanda 1910, który odbył swój jedyny lot w 1910 roku. Prace nad nowym rodzajem napędu trwały we wszystkich liczących się potęgach lotniczych dwudziestolecia międzywojennego: w III Rzeszy, we Włoszech, w Wielkiej Brytanii, USA, Związku Radzieckim. Turboodrzutowa maszyna Heinkel He-178 wzbiła się w powietrze kilka dni przed hitlerowską napaścią na Polskę – 27 sierpnia 1939 roku, jednak Międzynarodowa Federacja Lotnicza za pierwszy udany lot odrzutowca uznaje wykonany dokładnie rok później oblot włoskiego samolotu Caproni CC.2. Do końca wojny największe sukcesy w pracach nad silnikami odrzutowymi odnosili konstruktorzy niemieccy – w 1942 roku do lotu wzbił się messerschmitt Me-262, w tym samym roku opracowano także myśliwiec napędzany silnikiem rakietowym – Me-163, rok później oblatano samolot rozpoznawczo-bombowy Arado Ar-234. Wszystkie trzy zaczęły trafiać do linii dopiero w połowie 1944 roku. Pod koniec tego samego roku oblatano, a wkrótce wprowadzono także do służby heinkla He-162. Z doświadczeń niemieckich skorzystali Japończycy, którzy opracowali myśliwiec rakietowy Mitsubishi J8M oraz lekki bombowiec Nakajima J9Y, obie konstrukcje nie wyszły poza fazę prototypu. Kilka tygodni po Me-262 do służby trafił myśliwiec odrzutowy aliantów – brytyjski Gloster Meteor, produkowany do 1954 roku i eksportowany do kilkunastu państw. Na wojnę spóźnił się za to amerykański P-80 Shooting Star, w wersji treningowej produkowany aż do 1959 roku. Po wojnie pierwsze myśliwce odrzutowe wprowadził do służby także ZSRR.

Na maszyny pasażerskie nie przyszło czekać długo – brytyjski samolot De Havilland Comet, oblatany w 1949 roku, zaczął przewozić pasażerów trzy lata później. W 1954 roku oblatano pierwowzór późniejszego boeinga 707, który do linii lotniczych trafił w 1958 roku. Po drugiej stronie żelaznej kurtyny prace były równie zaawansowane – prototyp Tu-104 wzbił się w powietrze w 1955 roku, by rok później wykonywać już regularne rejsy w barwach Aerofłotu. Konstruktorzy radzieccy mieli jednak ułatwione zadanie, ponieważ mogli korzystać z doświadczeń zebranych przy opracowywaniu Tu-16, bombowca strategicznego przyjętego do służby w 1954 roku. Era odrzutowego lotnictwa pasażerskiego stała się faktem.



Autor jest doktorantem Akademii Obrony Narodowej, ekspertem Fundacji im. Kazimierza Pułaskiego.

STRATEGIE

/ TERRORYZM



NAKREĆCANIE SPIRALI PRZEMOCY

Z Ryszardem Machnikowskim

**o manipulacji strachem, terrorystycznych mitach
i komandosach patrolujących plaże rozmawia
Małgorzata Schwarzgruber.**

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER



Czy terroryści osiągnęli cel? Czy się boimy?

Terroryści mają cele polityczne, a wywoływanie strachu jest wyłącznie metodą prowadzącą do ich osiągnięcia. Strach towarzyszy nam od dawna i stale rośnie. Często się mówi, że terroryzm to manipulacja strachem. Gdy mówimy o terroryzmie, wrzucamy do jednego worka różne zjawiska. Dlatego wolę mówić o konfliktach, w których jedną z metod, czasem główną, jest metoda terrorystyczna.

Skoro terroryzm jest narzędziem, to co jest celem?

Mamy dziś do czynienia ze zjawiskiem, które nazywam globalnym ruchem społecznym o charakterze zbrojnym. To jest nasz przeciwnik. Donatella della Porta, włoska socjolog, do takiego ruchu społecznego zaliczała niegdyś Czerwone Brygady, które stosowały metody terrorystyczne, żeby osiągnąć cele polityczne – przeprowadzić rewolucję. Teraz mamy do czynienia z podobnym ruchem – dżihadyzmem. Jedną z metod jego działania jest terroryzm, a celem ostatecznym – supremacja islamu, czyli wprowadzenie na całym świecie szariatu w jego najbardziej fundamentalistycznej postaci. Kalifat, jako muzułmańska instytucja polityczno-religijna, ma to zagwarantować. Do tego dążą salafici, czyli ci muzułmanie, którzy odwołują się do korzeni islamu. Nie mają określonego horyzontu czasowego, by ukończyć swe starania, wszystko jest przecież wolą Boga. Osiąganie tego celu może więc trwać nawet tysiąc lat, ale trzeba wejść na tę drogę. Dla nas działanie na rzecz utopijnego celu jest trudne do zrozumienia, ale dla nich ma sens.

Jak Pan definiuje terroryzm?

Terroryzm to metoda walki polegająca na atakowaniu celów niewalczących, by osiągnąć cele polityczne, wzbudzając strach. Mamy tu do czynienia z tzw. konfliktem asymetrycznym: z jednej strony jest państwo z całą swoją potęgą i arsenałem środków, takich jak czołgi, rakiety, służby specjalne, a z drugiej – ta mgławica, którą dziś jest ruch dżihadystyczny, atakujący cele miękkie, aby tę potęgę uczynić nieefektywną. Terroryzm jest dość skuteczną formą działania w krótkim okresie, daje także krótkoterminowe zyski, takie jak rozgłos. W swojej definicji świadomie nie używam słowa „cywile”, bo celem może być także np. idący ulicą żołnierz. Państwo Islamskie, atakując wyznaczone cele, chce doprowadzić do starcia w makroskali, do konfrontacji dwóch wspólnot europejskich – tej autochtonicznej oraz tej napływowej, muzułmańskiej.

W jakim stopniu takie działania są skuteczne?

Idzie im całkiem nieźle. Strach, jaki wzbudzają, zamienia się w polityczne poparcie dla skrajnej prawicy, która deklaruje zastosowanie twardych środków przeciwko diasporze muzułmańskiej w Europie Zachodniej. Wtedy Państwo Islamskie ogłosi, że muzułmanie w tym regionie są prześladowani, co pomoże w dalszym ich radykalizowaniu i pozyskiwaniu nowych rekrutów oraz wywoła nowe ataki, które spowodują kontrakcję państwa i tak dalej... aż do wybuchu wojny domowej. Jednego możemy być pewni: mimo tych starań nie osiągną ostatecznego celu, ale koszt nieudanych prób będzie, niestety, w najbliższym czasie stale rósł. Nie wolno zatem tego zlekceważyć.

Co Pan rozumie przez pojęcie „współczesny dżihadyzm”? Jaką cezurę Pan tutaj stawia?



MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

Państwo Islamskie, atakując wyznaczone cele, chce doprowadzić do starcia w makroskali, do konfrontacji dwóch wspólnot europejskich – autochtonicznej oraz napływowej, muzułmańskiej

Współczesny dżihadyzm datuję na niecałe sto lat, licząc od powstania Bractwa Muzułmańskiego oraz sojuszu wahhabitów z Domem Saudów. Z Bractwa wywodzi się większość współczesnych islamskich organizacji terrorystycznych, finansowanych dziś z Arabii Saudyjskiej. Była to odpowiedź na świecką Turcję, którą zbudował gen. Kemal Atatürk, a teraz została zniszczona przez prezydenta Recepta Erdoğan. Dziś w świecie muzułmańskim idea odrodzenia kalifatu pada na podatny grunt, także w Turcji, choć tam jest rozumiana jako władza sułtana.

Czy zauważa Pan przełomowe daty w historii, które zmieniały terroryzm?

Jedną z takich dat wyznaczyło zabójstwo prezydenta Anwara as-Sadata, dokonane w 1981 roku przez egipskich islamistów. Nieco wcześniej, w 1979 roku, doszło do okupacji Wielkiego Meczetu w świętym dla muzułmanów mieście Mekce, rozpoczął się także konflikt w Afganistanie, gdy Związek Radziecki najechał na ten kraj. Dekadę później pojawiła się Al-Kaida, która zrodziła się z konfliktu afgańskiego. W 1996 roku Osama bin Laden wypowiedział z kolei wojnę Stanom Zjednoczonym, co jednak przeszło bez echa, bo kim był wówczas bin Laden? Gdy w 1998 roku doszło do ataków na ambasady amerykańskie w Kenii i Tanzanii, świat niemal tego nie dostrzegł, chociaż zginęło kilkadziesiąt osób. Kolejnym kamieniem milowym był 11 września 2001 roku. Wtedy nikt już nie mógł zignorować widoku dymiących, a potem walących się budynków World Trade Center i Pentagonu. Po zabójstwie bin Ladena ten ruch powoli zamierał, lecz ponownie napędziła go Arabska Wiosna, choć początkowo miała ona charakter świecki, a nie islamistyczny.

Krytykuje Pan powielanie mitów związanych z terroryzmem. Jakich?

Zachodni politycy często używają argumentu, że Państwo Islamskie słabnie i dlatego nasila ataki. To jeden z mitów. Zakłada się przy tym, że gdy ta organizacja zostanie zniszczona, problem zmaleje. Tymczasem on nie zmaleje, bo Państwo Islamskie jest jedną z wielu odnóg globalnego ruchu dżihadystycznego, w tej chwili najbardziej znaczącą, ale niejedyną. Europa musi w końcu przyznać, że istnieje poważny problem, a terroryści mają na Starym Kontynencie rozbudowane struktury. Według kolejnego mitu, ich motywacja nie ma charakteru religijnego. Zachód popełnia błąd, tłumacząc dziś sprawców ataków terrorystycznych, że „to był wariat, nie miał nic wspólnego z islamem”. W ten sposób sami się oszukujemy. Niektórym może to co prawda poprawić nieco nastrój, ale nie doprowadzi do zgłębienia natury problemu, w obliczu którego stoimy. Wyobraźmy sobie, jaka byłaby interpretacja w mediach, gdyby radykalni katolicy wpadli do meczetu i poderżnęli gardło imamowi, krzycząc przy tym: „niech żyje Chrystus!”. Wskazywano by wtedy zapewne na motywację religijną, na liczne konflikty religijne, które kiedyś generował świat chrześcijański, jako na istotną przyczynę takiego zachowania. Kolejny mit: największe ataki już były – w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Mówiąc tak, ignoruje się dynamikę tych wszystkich zjawisk oraz ich tło społeczne i polityczne. Współczesny konflikt nie wygasł, lecz wręcz przeciwnie, nasila się. Wstrzymałbym się zatem z porównywaniem liczby jego ofiar, gdyż najgorsze, być może, dopiero przed nami. ➔

Czy rozkazy ataków wychodzą z jednej centrali – Państwa Islamskiego, czy też jest wiele mniejszych grup terrorystycznych, które same decydują, kogo i gdzie zaatakować?

Gdy dochodzi do ataków, telewizje przerywają rozmówki i natychmiast informują o tym, co się stało. Zwykle jednak nie zwraca się uwagi na pierwsze ogniwo tego łańcucha, lecz na ostatnie, czyli na osoby, które dokonują ataku. Pyta się ekspertów o motywacje indywidualne sprawców, a pomija szersze tło, którym jest także zaplecze intelektualne. A islamscy intelektualiści piszą sążniste traktaty o tym, dlaczego walczą – te wszystkie pliki są dostępne w sieci. W internecie można obejrzeć np. film pokazujący funkcjonowanie służby zdrowia w Państwie Islamskim i jak lekarze z krajów zachodnioeuropejskich wspierają departament zdrowia tej organizacji. Oni nie podrzynają nikomu gardła, ale leczą tych, którzy to robią. Powstają podręczniki i instrukcje działania, które są dostępne w sieci. Jedni planują akcje, inni dyskutują o nich w sieci, jeszcze inni nimi kierują, a na końcu są ci, którzy je wykonują. To olbrzymi ruch, obejmujący cały glob. Niezależnie zatem od tego, czy znajdziemy dowody na szerokie powiązania sprawców ataków, czy uznamy, że zostali oni jedynie zainspirowani przez dżihadystów, musimy ich traktować jako składową jednego, a nie różnych problemów.

W ostatnich latach coraz częściej dochodzi do zamachów przeprowadzanych przez pojedyncze osoby. Czy nastał czas tzw. samotnych wilków lub solo-terrorystów?

Nie lubię określenia „samotny wilk”, bo wilki zwykle żyją w stadzie. Z soloterrorystami natomiast mamy do czynienia niezwykle rzadko, obecnie niemal się to nie zdarza. Niegdyś kimś takim był np. Ted Kaczynski – w listach wysyłał bomby do różnych osób w USA, które uważał za odpowiedzialne za negatywne skutki postępu technologicznego. Dziś nawet jeśli sprawca początkowo sprawia wrażenie, że działa sam, zwykle jest związany z globalnym ruchem, rozwijającym się także przez sieć.

Kto w takim razie strzela do ludzi na ulicach, rozjeżdża ich ciężarówkami, atakuje nożem lub siekierą?

W przeważającej większości są to członkowie różnych sieci terrorystycznych, którzy mają za sobą okazałe zaplecze i logistyczne wsparcie. Komunikują się także z centralą, choć dziś często trudno to wykryć. Dlatego mówię o ruchu społecznym, który ma wielu sympatyków. Wezwania do nieskomplikowanych ataków można odnaleźć już w komunikatach i pismach Al-Kaidy z początku wieku. Organizacje dżihadystycz-

Zachodni politycy często używają argumentu, że Państwo Islamskie słabnie i dlatego nasila ataki. To jeden z mitów

ne jednak nie tylko je inspirują. Centrale przygotowują i koordynują ataki, do których angażują bojowników wyszkolonych na terenach przez nie kontrolowanych. Państwo Islamskie wykorzysta także znakomitą okazję, która powstała w Europie Zachodniej w związku z napływem tysięcy uchodźców z krajów muzułmańskich. Trudno dziś o jednoznaczne dowody, że taka masowa migracja została celowo wywołana przez planistów z Państwa Islamskiego. Na pewno jednak wykorzystano ją do tworzenia ognisk tzw. miejskiej partyzantki, a także wywoływania zatargów między ludnością miejscową a napływową.

Ci sympatycy, sięgający po środki terrorystyczne, to zazwyczaj drugie pokolenie muzułmanów, którzy wyrosli w Europie. Co sprawia, że się radykalizują?

Sprawcami zamachów często byli mieszkańcy muzułmańskich gett w zachodnich miastach i bezrobotni, ale są także i tacy, których status społeczny był wysoki. Mają oni jednak ze sobą coś wspólnego: poszukiwali w życiu celu lub zmiany, jakich nie była w stanie im zaoferować zachodnia cywilizacja. Fundamentalistyczny islam daje bowiem jednoznaczne poczucie tożsamości. Dla urodzonych w getcie pod Paryżem udział w dżihadzie to atrakcyjna oferta ideologiczna – jasna i zrozumiała. Zyskują oni cel, chcą walczyć i ginąć za taką wiarę, jaka jest im przedstawiana przez radykałów. W krajach, w których są duże skupiska muzułmanów, cały czas będzie dochodziło do zamachów z udziałem ekstremistów. Najbardziej są na nie narażone Francja, Niemcy, Belgia, Wielka Brytania, ale również Szwecja.

A Polska?

U nas może dojść do incydentalnych zamachów, ale – jak na razie – nie grozi nam terroryzm islamistyczny w takiej skali jak na zachodzie Europy.

Jak pan sądzi, czy militarne zaangażowanie NATO pomogłoby w pokonaniu Państwa Islamskiego?

Jedna ciężka dywizja amerykańska ze wsparciem lotniczym w ciągu mniej niż miesiąca zrównałaby Państwo Islamskie z ziemią, ale to nie rozwiązałoby problemu. Zostałaby zniszczona jedna, w tej chwili najważniejsza struktura islamistyczna, ale przetrwałby mit współczesnego kalifatu, który napędzałby resztę. Musimy zadać pytanie: czy Zachód ma dziś polityczną wolę, aby taką dywizję wysłać oraz co robić dalej? Przypomnę, że Państwo Islamskie powstało po wycofaniu się z Iraku wojsk amerykańskich. Według wywiadu Stanów Zjednoczonych, w 2010 roku struktury tej terrorystycznej organizacji w Iraku liczyły około 300 osób. Sześć lat później było już kilkadziesiąt tysięcy bojowników, a jest jeszcze kilkanaście tysięcy urzędników. Przed podobnym scenariuszem ostrzegwały ekspertyzy wywiadu opracowane zanim wojska amerykańskie opuściły Irak, ale prezydent Barack Obama obiecał całkowite wycofanie wojsk i tak zrobił, bez względu na możliwe konsekwencje, które już wtedy były przewidywane.

Czasem jednak małe incydenty mogą doprowadzić do dużego konfliktu – tak wybuchła I wojna światowa.

Scenariusz, który powstał w głowach islamistów, jest prosty: napuścić jedną grupę na drugą i czekać, aż wybuchnie rebelia. Kierunek, w którym pójdzie Europa, będzie lepiej znany po wyborach w 2017 roku we Francji i w Niemczech. Czy Marine Le Pen wygra wybory prezydenckie w pierwszej turze, czy Alternatywa dla Niemiec zdobędzie ponad 2% głosów? Jeśli wygra skrajna prawica i przykręci śrubę imigrantom, to część z nich zrobi to, na co liczą dżihadysty.

To znaczy co?

Przyłączy się do ich ruchu. Ważnym elementem strategii Państwa Islamskiego jest próba przekonania wszystkich, że mamy dziś do czynienia z globalną konfrontacją między islamem a światem Zachodu. Chodzi m.in. o wrogie nastawienie społeczności muzułmańskiej do innych społeczności i vice versa, o nakręcenie spirali przemocy i doprowadzenie do konfliktu wewnętrznego. Taka eskalacja przemocy ma pomóc w osiągnięciu strategicznych celów Państwa Is-

lamskiego, czyli islamizacji znacznej części Europy, gdy ta wojna domowa zostanie już przez dżihadystów wygrana. I choć odnoszą oni pewne sukcesy, to nie możemy jednak popadać w pesymizm. Droga do zrealizowania ich celu jest wciąż długa i możemy jeszcze odwrócić bieg wypadków, nie dopuszczając do wybuchu konfliktu w Europie.

Można przypuszczać że, w przyszłości wojny będą się sprowadzały do walki z terroryzmem.

Taka wojna już dość długo się toczy. Ale kwestia kluczowa to wojna o serca i umysły, prowadzona także za pomocą metod terrorystycznych. Nie wszyscy chcą ją dostrzec, bo w Europie jesteśmy przyzwyczajeni do konfliktów kinetycznych o wysokiej intensywności – wybuchających bomb i rakiet, nalotów i odpalanych pocisków, starć dywizji pancernych, a nie potyczek wciąż jeszcze nielicznych terrorystów i służb specjalnych. Wojna teraźniejszości, bo przecież „future is now”, to wojna informacyjno-psychologiczna. Jednym z jej frontów, niedostrzeganym przez sporą część ludności, jest konflikt z udziałem mediów. Jej wynik pozostaje otwarty.

Czy jesteśmy bezradni wobec terroryzmu?

Tego procesu nie da się zatrzymać całkowicie, ale można próbować go ograniczyć. Konieczne są przede wszystkim działania służb specjalnych. Pytanie tylko, czy będzie na to polityczne przyzwolenie. Ostatnio zaniepokoił mnie atak na księdza w kościele we Francji. Sprawcy znajdowali się w kartotece francuskich służb, jeden miał nawet areszt domowy, ale mógł wychodzić z domu między godziną 9.30 a 12.00, i to wykorzystał. Widać, że służby zawodzą. Unikam jednak przesadnej krytyki, bo mają one do dyspozycji określone siły. Można próbować zminimalizować straty przez zastosowanie dodatkowych, ostrych środków bezpieczeństwa, takich, jakie są np. w Izraelu. Taki scenariusz jest możliwy również w Europie. Francuscy komandosi już dziś patrolują plaże na Lazurowym Wybrzeżu. Demokracje na dłuższą metę radzą sobie z terroryzmem, ale jest to kosztowne. Ulegają też przy tym transformacji. Po zamachu z 11 września powiedziałem w którymś z wywiadów, że wolny świat będzie wkrótce wyglądał jak Izrael. Wielu uznało to wtedy za przesadę. Teraz w tym kierunku zmierzamy – i to szybko. ■

WIZYTÓWKA

PROF. RYSZARD MACHNIKOWSKI

Jest wykładowcą w Katedrze Studiów Brytyjskich Wydziału Studiów Międzynarodowych i Politologicznych Uniwersytetu Łódzkiego. Specjalizuje się w zagadnieniach związanych z przemocą polityczną, globalnym terroryzmem, bezpieczeństwem narodowym oraz procesami globalizacji, zwłaszcza globalizacji bezpieczeństwa.

MICHAŁ ZIELIŃSKI

Każ nam zginać, a zginiemy

Gdy 15 lipca zaczęły napływać pierwsze relacje ze Stambułu i Ankary, świat wstrzymał oddech. Ostatecznie historia potoczyła się w prawdziwie filmowy sposób z finałem, którego mało kto się spodziewał.

Mieszkający w Stambule Tekin Kirca, działacz Związku Młodzieży Tureckiej, o wstrzymaniu ruchu na lotnisku oraz zamknięciu przejazdu między Europą a Anatolią dowiedział się z telewizji. Chwilę później na kanale TRT spikerka została zmuszona do przeczytania przygotowanych wcześniej informacji. Grupa, która określiła się jako Rada Pokoju, oznajmiła przywrócenie porządku konstytucyjnego oraz praw człowieka. W oświadczeniu podkreślono, że władzę przejęły tureckie siły zbrojne, które zamierzają utrzymać w mocy wszystkie umowy międzynarodowe. Jednocześnie sytuacja na ulicach w Stambule i Ankarze zaczęła wymykać się spod kontroli. Doszło do pierwszych starć.

„Wszyscy byliśmy w szoku. Zadzwonił do mnie brat, który również o całym wydarzeniu dowiedział się z telewizji. Informacje zaczęły się potwierdzać. Do tego ważni urzędnicy państwowi i przedstawiciele sił zbrojnych nawoływali naród do wyjścia na ulicę!”, relacjonował Tekin. Szybko się skontaktował z ojcem, żołnierzem tureckich sił zbrojnych. Zdziwiło go, że on również o zamachu stanu dowiedział się z mediów.

W tym czasie pucyści desperacko próbowali trzymać się planu. Rebeliantom co prawda udało się opanować



budynek telewizji, stambulskie lotnisko Atatürka oraz strategiczne mosty, został zatrzymany również szef sztabu generalnego Hulusi Akar, jednak od tego momentu pozostałe ataki były skutecznie odpierane. Mieszkańcy Ankarę z przerażeniem obserwowali wojskowe śmigłowce, które raz za razem ostrzeliwały budynek siedziby wywiadu. Kanonada dochodziła również ze strony siedziby premiera oraz parlamentu. Nad miastem krążyły samoloty wielozadaniowe F-16.

„W pewnym momencie tuż nad naszym domem przeleciał F-16. Wszystko tak się zatrzęsło, że byłem przekonany, że wybuchła bomba, gdzieś bardzo blisko. Bałem się przede wszystkim o swojego ojca. Przerażało mnie to, że w mieście, w którym żyję, w miejscach, które mijam na co dzień, teraz leżą martwi ludzie”. Tekin Kirca twierdzi, że nikt nie spodziewał się kolejnego puczu. W rzeczywistości

tureckie służby bezpieczeństwa przejrzały plany spiskujących wojskowych i poinformowały o nich przedstawicieli rządu oraz armii. Taki obrót sytuacji nie tylko zmusił puczystów do przyspieszenia działań, ale również uniemożliwił przerzucenie żołnierzy sił specjalnych, którzy drogą powietrzną mieli dotrzeć do stolicy. Zaprawieni w walkach specjalsi, stanowiący trzon uderzeniowy spiskowców,

utknęli na lotniskach w miejscowościach Malatya, Keyseri i Sirmak. Naoczni świadkowie mówią o policji, która radiowozami blokowała pasy startowe.

Na niczym spełzły również plany zatrzymania przebywającego na urlopie prezydenta Recepta Erdoğan. Zdołał on opuścić kurort w Marmaris dosłownie kilkanaście minut przed przybyciem śmigłowców z komandosami. Zanim Erdoğan dotarł na lotnisko w Stambule, na jego wezwanie rzesze ludzi zalały tureckie ulice. Żołnierze z przerażeniem patrzyli, jak cywile blokują przemieszczanie czołgów i z gołymi rękoma, bez żadnej broni, przejmują kolejne kluczowe pozycje. Nikt nie przewidywał poparcia na taką skalę. Nikt nie zdecydował się również na otwarcie ognia. Wojskowi kolejno składali broń i, mogłoby się wydawać, z ulgą oddawali się w ręce policjantów. Nieudana próba zamachu stanu praktycznie dobiegła końca. W czasie nocnych walk zginęło 312 osób, ponad 1400 zostało rannych. Zaczęło się polowanie na czarownice.

TAJNE SIŁY GÜLENA

Prezydentowi Erdoğanowi wystarczyło parę dni, by aresztować ponad 10 tys. osób. Masowo zatrzymywano sędziów, prokuratorów, duchownych, pracowników sektora publicznego, nauczycieli oraz dziennikarzy. Największych czystek dokonano jednak w szeregach armii. Stanowisk pozbawiono nie tylko 100 z 360 tureckich generałów, ale również tysiące oficerów i podoficerów. Turecka opinia publiczna coraz częściej przywoływała jedno nazwisko: Fethullah Gülen.

„W Turcji panuje dość powszechne przekonanie, że za puczem stoi organizacja stworzona przez Fethullaha Gülena. Na razie nie ma na to twardych dowodów,

TÜRK SILAHLI KUVVETLERİ



ale trudno ukryć, że dla Erdoğan'a taka narracja jest bardzo wygodna. Warto zwrócić uwagę, że listy zwolenników Gülena były dostępne już następnego dnia po zamachu stanu. Pojawiają się nawet teorie, że prezydent Turcji mógł świadomie dopuścić do rozwoju takiej sytuacji lub nawet za nią stać. Bardziej prawdopodobne wydaje się jednak, że rzeczywiście istniał pewien spisek ludzi związanych z Gülenem. Być może to on był sprawcą, być może część wojskowych kierowała się wyłącznie ogólnymi wskazówkami", tłumaczy dr Łukasz Fyderka, politolog z Instytutu Bliskiego i Dalekiego Wschodu Uniwersytetu Jagiellońskiego. Zaznacza przy tym, że absolwenci szkół Gülena od wielu lat tworzyli tajne kręgi osób, które występowały praktycznie w każdej sferze życia publicznego. Dotyczy to również armii, jednak ze względu na jej świecki charakter, güleniści maskowali swoje związki z religią. Nie uczestniczyli w modlitwach, nie chodzili do meczetów, nie przestrzegali zasad islamu. I awansowali. Jest to o tyle istotne, że zwolennicy Fethullaha Gülena do 2011 roku bezpośrednio wspierali Erdoğan'a i budowali siłę partii Sprawiedliwości i Rozwoju (tur. Adalet ve Kalkınma Partisi – AKP). Dopiero w chwili, w której drogi dwóch liderów się rozszły, Erdoğan zaczął usuwać zwolenników Gülena ze struktur państwowych. Czyszczenia ominęły armię.

Według dr. Łukasza Fyderka, „wcześniejsze zamachy stanu były podejmowane przez oficerów o głębokich przekonaniach kemalistycznych, według których Turcja ma pozostać państwem świeckim. Teraz mamy sytuację, w której armia od lat jest poddawana systematycznej wymianie kadry. Część elit świeckich została z armii usunięta. Zastąpili ją oficerowie z ruchu Gülena, którzy z jednej strony byli w kontrze do młodszych, jawnie religijnych oficerów z AKP, z drugiej strony występowali przeciwko generacji starszych oficerów sekularystycznych”. To przez te podziały nie powiódł się zamach stanu. Wewnętrzne podziały polityczne sprawiły, że Gülen nie uzyskał poparcia całej armii oraz opozycji.

Mimo że w rzeczywistości za puczem mogli stać ludzie bardzo mocno związani z islamem, odbił się on na przeciwnikach politycznych prezydenta Erdoğan'a. Wśród nich znalazł się Ahmet Dursun, student akademii wojskowej w Stambule, jak sam mówi, tureckiego odpowiednika West Point. Po nieudanym zamachu stanu został wyrzucony ze swojej uczelni pod zarzutami przynależności do grupy antyrządowej. „Jestem patriotą, ale jednocześnie liberałem. Teraz przyszłość Turcji rysuje się w zdecydowanie bardziej konserwatywnych barwach. Ludzie podzielający moje poglądy boją się o nich mówić głośno, ja również czuję strach. Ale wiem jedno, to wszystko było zaplanowane przez człowieka, który chce umocnić swoją pozycję”. Ahmet Dursun każe zwrócić uwagę na rozwój sytuacji.



W OPINII MŁODYCH TURKÓW PREZYDENT ERDOĞAN SYSTEMATYCZNIE WYKLUCZA PRZYSZŁĄ OPOZYCJĘ Z ŻYCIA PUBLICZNEGO

W ciągu kilkunastu dni zamknięto wiele wojskowych szkół, jednocześnie zdołano w ich miejsce powołać nowe. Ich uczniowie przechodzą przyspieszony trening w duchu AKP. W opinii młodych Turków prezydent Erdoğan systematycznie wyklucza przyszłą opozycję z życia publicznego. Ciężko im uwierzyć, że może robić to tak sprawnie bez wcześniejszego przygotowania.

ZWROT NA WSCHÓD

Według danych Banku Światowego, Turcja jest 18. gospodarką świata. W 2015 roku jej PKB wynosiło 718 mld dolarów, co w regionie lokowało ją zaraz po Rosji. Dochody kraju w dużej mierze pochodzą z turystyki. Tylko w zeszłym roku sektor ten zarobił prawie 40 mld dolarów. W ciągu ostatnich 12 miesięcy sytuacja zaczęła się diametralnie zmieniać. Turystów odstraszyły coraz częstsze zamachy, wojna w Kurdystanie oraz uchodźcy stopniowo zalewający kraj. Wydawało się, że zestrzelenie rosyjskiego samolotu Su-24 przypieczętowało los tureckiej turystyki. W ramach odwetu prezydent Władimir Putin nie tylko za-

wieścił loty czarterowe z Rosji do Turcji, ale także wprowadził całkowity zakaz organizacji wycieczek przez rosyjskie biura podróży. Liczba turystów spadła o ponad 50%, tureckie kurorty opustoszały.

Małgorzata Kajzar, Polka mieszkająca w Turcji, zauważa, że brak turystów z Europy i Rosji otworzyło Turcję na kraje Wschodu. Ma to związek nie tylko ze strachem Europejczyków przed kolejnymi zamachami, ale również z masowym napływem emigrantów.

„Mój znajomy, który pracuje w Hiltonie, stwierdził znaczny wzrost przyjezdnych z państw rejonu Zatoki Perskiej. Wszystko przygotowuje się pod nowych gości: wszędzie pojawiają się napisy w języku arabskim, karty menu po arabsku, prawie w każdym sklepie czy restauracji pracują osoby znające ten język. Do tego uchodźcy, którzy stanowią odrębną historię. Większość z nich próbuje dostać się do największych miast”.

Po zamachu stanu i pogorszeniu stosunków z Unią Europejską sytuacja w Turcji stała się jeszcze bardziej napięta... Do momentu, w którym prezydent Erdoğan nie wszedł w otwarty sojusz z Rosją. Pierwsze oznaki odwilży w relacjach turecko-rosyjskich pojawiły się już w maju, jednak po puczu proces ten znacznie przyspieszył. Jednocześnie Turcy z coraz większą rezerwą zaczęli podchodzić do krajów Zachodu.

PRZYSZŁOŚĆ NALEŻY DO LUDU

Podobno to rosyjskie służby ostrzegły prezydenta Erdoğan przed puczem i przesyłały listę spiskowców. Prezydent Rosji jako jeden z pierwszych pogratulował Erdoğanowi nieudanego zamachu stanu. Faktem jest również, że tureckie władze domagają się od Stanów Zjednoczonych ekstradycji Fethullaha Gülena. Ze względu na stanowisko USA, które bez przedstawienia twardych dowodów nie wydała duchownego, turecka opinia publiczna zaczyna wskazywać Amerykanów nie tylko jako wspierających pucz, ale również stojących za jego organizacją. W ten sposób koło wzajemnych oskarżeń się zamyka.

„Turcja posiada drugą co do wielkości armię NATO i przez cały czas usługiwała sojusznikom. Jego członkowie powinni traktować nas na równi i z szacunkiem”, mówi Ese, młody Turek mieszkający w Polsce, i całą winą obarcza FETO. Skrót ten oznacza Organizację Terrorystyczną Fethullaha i występuje oficjalnie w tureckich mediach.

„Mamy olbrzymi potencjał ekonomiczny, kulturowy, technologiczny. Turcja rozwija się bardzo dynamicznie i nic nie jest w stanie jej powstrzymać. Jednocześnie nasze państwo zatruwają członkowie FETO. Władza robi wszystko, by oczyścić sądy, policję, media, banki, szkoły, uniwersytety i nie powinna mieć w tym skrupułów”. Ese nie ma żadnych wątpliwości, kto powinien ponieść karę.

Tłum w stambulskiej dzielnicy Yenikapı może liczyć od kilkuset tysięcy do nawet 3 mln osób. Zebrani ludzie na transparentach manifestują swoje poparcie dla Recepa Tayyipa Erdoğan. Widnieją na nich hasła, takie jak „Erdoğan, jesteś darem Boga!” oraz „Każ nam zginąć, a zginiemy!”, które jeszcze kilka tygodni wcześniej można było usłyszeć wyłącznie z ust skrajnych konserwatystów. W dłoniach powiewają narodowe flagi. Kilka dni wcześniej pod niemal każdymi drzwiami leżały ulotki namawiające do uczestnictwa w wiecu poparcia, gdyż „Triumf należy do demokracji, place należą do ludu”. Ci, którzy nie zdołali tu dotrzeć, mogą wydarzenia obserwować na telebimach rozstawionych w całym kraju.

Na wiec zaproszono opozycjonistów. Przemawiali politycy Partii Ludowo-Republikańskiej, członkowie Partii Działania, ludzie ze świata filmu i sportu. Zaproszenie nie dotarło do Ludowej Partii Demokratycznej (tur. Halkların Demokratik Partisi – HDP), trzeciej siły w tureckim parlamencie. HDP wspiera sekularyzm i tureckich Kurdów.

Ludzie skandują, domagają się kary śmierci. Prezydent Erdoğan obiecuje, że jeżeli lud tak zechce, egzekucje zostaną przywrócone. W końcu największe mocarstwa, w tym Chiny, Stany Zjednoczone czy Japonia, wydają takie wyroki do dziś. Unia Europejska kary śmierci zabroniła, a prezydent Ahmet Necdet Sezer w ramach starań o członkostwo we wspólnocie zniósł ją w 2004 roku, ale wszystko wskazuje na to, że to już historia. Prezydent Erdoğan częściowo zawiesił „Europejską konwencję praw człowieka”. Wtórą mu premier Binali Yıldırım oraz szef sztabu generalnego Hulusi Akar. Wszystko w imię 239 męczenników, którzy polegli w noc puczu.

Tekina, Ahmeta i Esiego łączy narodowość oraz głębokie poczucie patriotyzmu. Każdy z nich postrzega Turcję jako swoją ojczyznę i każdy z nich martwi się o jej przyszłość. Jednocześnie ich lęki i wyobrażenia dotyczące najbliższych lat wzajemnie się wykluczają.

„Nie sądzę, by przynależność Turcji do NATO była jedyną słuszną drogą. Tylko pokojowe nastawienie do Rosji i krajów przyległych może uzdrowić sytuację”, uważa Tekin.

„To, co się dzieje w Turcji, bardzo mnie smuci, ale włądza już teraz zaczęła czyścić cały brud. Przed nami silna, niepodległa Turcja”, przekonuje Esi.

„Gdybym miał wybrać, postawiłbym na NATO. Szanuję Putina, ale nie ufam mu”, twierdzi Ahmet.

Pewne jest, że losy ich ojczyzny w najbliższych latach ukształtuje nieudany zamach stanu oraz wynikające z niego decyzje prezydenta Erdoğan. Pewne jest również to, że przyszłość Turcji zależy od tego, czy obozom Tekina, Ahmeta oraz Esiego uda się znaleźć wspólny język i dojść do porozumienia. ■



Wojskowy Instytut Medyczny
ul. Szaserów 128
04-141 Warszawa

OFERTA EDUKACYJNA

CENTRUM KSZTAŁCENIA PODYPLOMOWEGO

Centrum Kształcenia Podyplomowego Wojskowego Instytutu Medycznego zaprasza do skorzystania z oferty edukacyjnej, przeznaczonej dla lekarzy, pielęgniarek, ratowników medycznych i innych przedstawicieli zawodów medycznych oraz osób zainteresowanych problematyką zabezpieczenia medycznego.

STUDIA PODYPLOMOWE

Kierunek: **Bezpieczeństwo wewnętrzne**

Specjalność: **Zabezpieczenie medyczne sytuacji kryzysowych**

Studia przeznaczone są dla funkcjonariuszy lub kandydatów na funkcjonariuszy resortu służb mundurowych, dla żołnierzy zawodowych lub kandydatów na żołnierzy, pracowników instytucji zarządzania kryzysowego i obrony cywilnej kraju.

Absolwenci zostaną skutecznie przygotowani do umiejętnego zarządzania zabezpieczeniem medycznym sytuacji kryzysowych. Poglębią m.in. wiedzę na temat Systemu Państwowego Ratownictwa Medycznego oraz Systemu Zarządzania Kryzysowego. Poznają rozwiązania obowiązujące w Polsce, NATO oraz Unii Europejskiej.

Planowane jest uruchomienie studiów **z zakresu zarządzania podmiotami leczniczymi**. Słuchacze studiów zdobędą praktyczną wiedzę na temat zarządzania operacyjnego, zasad budżetowania, zarządzania kontraktem NFZ oraz wykorzystywania narzędzi informatycznych.



KURSY DOSKONALĄCE Z CERTYFIKACJĄ

American Heart Association



**American
Heart
Association®**
Learn and Live

Instytut jest głównym centrum szkoleniowym AHA w wojsku i prowadzi następujące kursy:

- **BLS** – podstawowe czynności resuscytacyjne dla personelu medycznego,
- **ACLS** – zaawansowane czynności resuscytacyjne u osób dorosłych dla personelu medycznego, mającego do czynienia z przypadkami nagłego zatrzymania krążenia, bądź innych nagłych stanów kardiologicznych.

Diagnostyka ultrasonograficzna w medycynie ratunkowej

Kurs adresowany do lekarzy medycyny ratunkowej oraz internistów, chirurgów, ortopedów, lekarzy rodzinnych. Celem kursu jest nabycie wiedzy i praktycznych umiejętności w zakresie posługiwania się aparatem ultrasonograficznym w stanach zagrożenia życia i zdrowia. Kurs jest certyfikowany przez Polskie Towarzystwo Ultrasonograficzne.

Odwiedź naszą stronę internetową: www.wim.mil.pl
lub zapytaj: dydaktyka@wim.mil.pl

MATEUSZ CHUDZIAK

Mehmetcik po przejściach

Wojsko desperacko dąży do odbudowania prestiżu i odzyskania zaufania obywateli, a nade wszystko do zachowania swoich przywilejów. Prezydent zaś potrzebuje armii jak tlenu.

Nieudany pucz wojskowy w Turcji z 15 lipca w obiegowej opinii zwiastuje przypieczętowanie kilkunastoletniego procesu budowy „nowej Turcji”, jaki dokonuje się od 2002 roku pod rządami Recepa Tayyipa Erdoğan’a i jego otoczenia. Oznaczać to ma ostateczny koniec „starej Turcji”, której ostatnim bastionem było wojsko – emanacja kemalizmu i świeckiego nacjonalizmu tureckiego. Rzeczywistość wydaje się jednak nieco bardziej złożona.

W ciągu ostatniego roku obserwowaliśmy sojusz świeckiej armii oraz konserwatywnego prezydenta zawiązany przeciwko wojującej na południowym wschodzie kraju Partii Pracujących Kurdystanu (kur. Partiya Karkerên Kurdistanê – PKK). Wiele wskazuje na to, że mimo potężnego wstrząsu, jakim były nieudany pucz i następujące po nim czystki, nie zostanie on rychło zerwany. Zarówno prezydent, który z konfrontacji wyszedł zwycięsko, jak i wojsko, desperacko dążące do odbudowy swojego wizerunku, są sobie nawzajem potrzebni.

POSZUKIWANIE WINNEGO

Trudno stwierdzić, czym faktycznie kierowali się zbuntowani dowódcy sił powietrznych, żandarmerii i części sił lądowych. Z jednej strony, ukonstytuowana na ledwie kilka godzin Rada na rzecz Pokoju w Ojczyźnie jawnie nawiązywała do znanego aforyzmu Atatürka („Pokój w świecie, pokój w ojczyźnie”), a jej nazwa (Yurtta Sulh Konseyi) była podana w archaicznym już języku tureckim z czasów założyciela republiki. Z drugiej jednak, po zakończonym puczu w Turcji od prawa do lewa panuje przekonanie, że stał za nim emigracyjny kaznodzieja i twórca imperium medialno-edukacyjnego Fethullah Gülen.

Wiadomo, że ludzie inspirowani jego naukami od wielu lat umocowywali się w rozmaitych państwowych instytucjach (sądownictwo, policja, szkolnictwo itp.). Trudno jednak ocenić, w jakim stopniu usadowili się w armii.

Płk Levent Türkan, były już adiutant szefa sztabu generalnego gen. Hulusiego Akara, zeznał zaraz po udaremnieniu puczu, że ludzi charyzmatycznego kaznodziei spotkał już w 1989 roku. Abstrahując od wiarygodności tych słów (jego fotografie z zeszłego tygodnia wskazują, że zeznanie mogło być wymuszone), warto zauważyć, że fakt, iż natychmiast znaleziono winnego zamachu na demokratyczny porządek Republiki Tureckiej, jest wygodny dla obu stron. Murem za rządem stoi zarówno obecne najwyższe dowództwo armii, jak i generałowie skazani przed kilkoma laty w niesławnych pokazowych procesach Ergenekon i Balyoz (notabene wsadzeni do więzienia przez gülenowskich sędziów).

Erdoğan, wobec toczącego się konfliktu z kurdyjską irredentą, sukcesów kurdyjskiego parapaństwa w północnej Syrii – rządzonego przez Partię Unii Demokratycznej (kur. Partiya Yekiti Demokratik – PYD – syryjska filia PKK) i niespokojnego południowego sąsiedztwa, armii potrzebuje jak tlenu. Samo wojsko zaś – po tym, jak nieudany pucz boleśnie pokazał, kto faktycznie sprawuje w Turcji rząd dusz – desperacko dąży do odbudowania prestiżu i odzyskania zaufania obywateli, a nade wszystko do zachowania swoich przywilejów. Dlatego, mimo masowych czystek (ze służby zwolniono ponad 1,5 tys. żołnierzy, w tym 30% generalicji, a zatrzymanych lub aresztowanych zostało ponad 8 tys. wojskowych), obie strony demonstrują gotowość do współpracy i – jak się zdaje – mają pełną świadomość powagi sytuacji.

Wobec tego uznanie za winnego zamachu Fethullaha Gülena, na którego pasku rzekomo mieli chodzić spiskowcy, zdejmując z żołnierzy, przynajmniej w jakiejś części, odium zamachu na demokratycznie wybrany rząd. Wojsko, mimo rozłamu, pozostaje strukturą hermetyczną i względnie spójną ideologicznie. Jako takie w dalszym ciągu jest realną siłą w państwie, w obecnej →

RELACJE MIĘDZY WOJSKIEM A WŁADZAMI OPIERAJĄ SIĘ NA SWOISTYM KONTRAKCIE ZAWARTYM W CELU REALIZACJI PARTYKULARNYCH INTERESÓW OBU STRON

sytuacji zmuszoną jednak do współpracy z władzami. Jego pozycja opiera się nie tylko na konkretnych rozwiązaniach prawnych (te zostały już formalnie zniesione), lecz także wpływa z tego, w jaki sposób jest ono usytuowane w wyobraźni politycznej Turków.

KOCHAM ARMIE I JEJ NIENAWIDZĘ

Pozycja wojska w tureckim państwie oraz jego rola w kształtowaniu i umacnianiu tureckiego nacjonalizmu wywołują w społeczeństwie poważne napięcie. Nie będzie przesadą, jeśli stwierdzimy, że stosunek przeciętnego Turka do instytucji, która przez długie dekady była emanacją państwa, jest schizofreniczny. Już na początku istnienia republiki budowano mit, według którego starożytni Turcy, jeszcze w swoim środkowoazjatyckim okresie, tworzyli na wskroś zmilitaryzowane społeczeństwa. Armie tureckie nosły światłość i cywilizację wszędzie, gdzie się pojawiały. W drodze podbojów budowały potężne państwa, a Republika Turecka była ukoronowaniem tego procesu.

Ten mit miał na celu uprawomocnienie stanu rzeczy w czasie, kiedy był wymyślany. W tym wypadku chodziło o usprawiedliwienie wpływu armii na kształt polityczny nowoczesnej Turcji. Mit ten idzie (a raczej siedł do niedawna) w parze z powszechnym szacunkiem dla figury znanej w Turcji jako Mehmetçik (zdrobnienie popularnego imienia Mehmet), czyli młodego poborowego, na którego pożegnanie i przywitanie wyprawia się huczne imprezy lub którego gorzko się oplakuje. Bycie jednym z nich to wspólne doświadczenie większości tureckich mężczyzn. Dlatego poczucie narodowej jedności i solidarności jest ułożone właśnie w armii.

Opowieść o wojsku ma jednak też ciemną stronę. W nowoczesnej historii Turcji armia ingerowała w politykę czterokrotnie (w latach 1960 i 1980 były interwencje zbrojne, w roku 1971 i 1997 zmuszono rząd do dymisji), zawsze argumentując swoje działania troską o „jedność narodową”, „przywrócenie porządku konstytucyjnego”, a dopiero w dalszej kolejności – obronę świeckości państwa. Wszystko to było wyrazem korporatystycznego tureckiego autorytaryzmu. Armia stawiała się w roli recenzenta klasy politycznej, gdy działała jawnie podczas zamachów stanu lub na co dzień, będąc jedną z sił pociągających za sznurki w ramach tajemniczej alternatywnej struktury znanej jako „głębokie państwo” – układu z pogranicza polityki, mafijnego półświatka i środowisk skrajnej nacjonalistycznej prawicy. Wojskowy wkład

w rozwój i funkcjonowanie tej struktury objawiał się m.in. w postaci JİTEM – tajnej agencji działającej w latach dziewięćdziesiątych w ramach żandarmerii, która brutalnie i bezkarnie pacyfikowała kurdyjskie wsie. Zarówno to, jak i fakt, że w większości tureckich domów pamięta się ostatnie rządy wojska z lat 1980–1983, sprawia, że przeciętny

Turek ma dzisiaj ambiwalentny stosunek do armii.

ZMIERZCH KEMALIZMU

Rządy Erdoğan'a to przede wszystkim transformacja państwa i zniesienie dotychczasowej kemalistowskiej hegemonii. Jednocześnie armia, mimo przetrąconego kręgosłupa w wyniku wspomnianych procesów, pozostała strukturą stosunkowo jednolitą ideologicznie. Przetrącono ją pod względem personalnym, nie udało się zaś obecnemu prezydentowi zmienić jej ideologicznego kośćca. Zwolnionych ze służby generałów zastępowano ludźmi z dostępnej puli. Wojskowi obronili się przed zewnętrzną ingerencją. Nie wyrazili zgody na wstępowanie do korpusu oficerskiego absolwentów szkół religijnych i pielęgniowali zadrę za wcześniejsze upokorzenia. Działania Erdoğan'a sprowadzały się zaś do wykonywania manewrów wokół sił zbrojnych, takich jak ustanowienie cywilnego zwierzchnictwa nad armią, odebranie jej konstytucyjnego prawa do interwencji oraz nadanie sądom cywilnym prawa do osądzania wojskowych. Wszystko to oznaczało dążenie do minimalizacji zagrożeń ze strony wojska. Nie udało się zaś władzom zdobyć wpływów wewnątrz korpusu oficerskiego.

Relacje między wojskiem a władzami opierają się na swoistym kontrakcie zawartym w celu realizacji partykularnych interesów obu stron. Armii nigdy się nie podobał prowadzony w poprzednich latach proces pokojowy z Kurdami. Operację przeciwko Partii Pracujących Kurdystanu prezydent rozpoczął, kiedy było mu to politycznie potrzebne po wyborach, w których rządząca Partia Sprawiedliwości i Rozwoju (tur. Adalet ve Kalkınma Partisi – AKP) straciła bezwzględną większość w parlamencie. Wojskowi wymusili zaś na prezydencie nacjonalistyczny zwrot. Wcześniej ostentacyjnie odżegnywał się on od etnicznego nacjonalizmu tureckiego, a promował bardziej pojemną tożsamość muzułmańską. Mimo rozmaitych zawirowań oraz ostatniego wstrząsu, linia ta jest kontynuowana. Erdoğan, prawdopodobnie z uwagi na sojusz z armią, temperował również wypowiedzi twardogłowych islamistów chcących zniesienia państwowego laicyzmu. Chociaż nie ma już powrotu do kemalistowskiej

Turcji, której armia nadawała ton, pozycja wojska w polityce wewnętrznej państwa wydaje się pozostawać ambivalentna.

STARA TURCJA NA USŁUGACH NOWEJ

Pucz z 15 lipca niewątpliwie przyniósł poważne przesilenie, a wprowadzony w jego konsekwencji stan wyjątkowy może się okazać preludium do ostatecznego przekształcenia państwa tureckiego. Trudno jednak się spodziewać, aby Erdoğan był w stanie całkowicie podporządkować sobie armię. Niemniej pierwsze sygnały wskazują, że sojusz, trwający od przynajmniej kilkunastu miesięcy, będzie powoli formalizowany. Sztab generalny ma przejść pod kontrolę prezydenta (dotąd był pod kontrolą rządu), a w kręgach rządzącej AKP przebąkuje się o przeniesieniu szkół oficerskich pod kontrolę ministerstwa edukacji, co oznacza, że istnieje plan przekształcenia armii, ale rozłożony na wiele lat.

Najwyższe dowództwo tureckich sił zbrojnych zdaje się robić dobrą minę do złej gry i w sytuacji, gdy społeczny prestiż armii ulega dramatycznej erozji, wykazuje wolę bliskiej współpracy z rządem. Ponieważ jednak dotychczasowa polityka Erdoğan zaszła na tyle daleko, że wycofywanie się z niektórych działań wymaga wielkiej ostrożności (reorientacja w polityce wobec Bliskiego Wschodu, a nade wszystko konflikt z PKK), prezydent musi zdawać się na żołnierzy. To zaś powoduje, że choć Turcja po nieudanym puczu będzie jeszcze szybciej zmierzać w kierunku państwowego zamordyzmu, to armia złożona – przynajmniej jak dotąd – z twardogłowych nacjonalistów pozostanie siłą, która będzie w stanie na prezydenta naciskać. Istnieją w niej frakcje reprezentujące różne odcienie nacjonalizmu tureckiego – wśród nich zwolennicy tureckiej wersji eurazjyzmu i wierni czytelnicy dzieł Aleksandra Dugina – głównego ideologa Kremla, który niedawno odwiedził Turcję. Ostatnie dążenia do normalizacji stosunków z Rosją oraz nieśmiałe przymiarki do przeproszenia się z Egiptem, a być może nawet i z reżimem Baszszara al-Asada, pozwalają spekulować, że tego typu środowiska mogą wpływać na politykę Erdoğan. On sam formalnie zdaje się potęgnić, ale rządzona przez niego Turcja pozostaje państwem, w którym ściera się różne względnie autonomiczne siły i które, a w związku z tym przywódca państwa jest zmuszony do prowadzenia najdziwniejszych gier i rozgrywania sił kotłujących się pod przykryciem jego formalnej władzy. ■

MATEUSZ CHUDZIAK jest ekspertem
Ośrodka Studiów Wschodnich.



Niemal dwa lata od zakończenia w Afganistanie operacji prowadzonej przez NATO w ramach misji Międzynarodowych Sił Wsparcia Bezpieczeństwa (ISAF) świat nie pamięta już na co dzień o sytuacji w tym kraju. Jest to ewidentne potwierdzenie wcześniejszych obaw, że znacząca redukcja zaangażowania w Afganistanie społeczności międzynarodowej, a szczególnie Zachodu, będzie skutkować spadkiem zainteresowania tym państwem. Nic dziwnego, że robi się o nim głośno tylko wtedy, gdy dochodzi tam do kolejnego krwawego zamachu terrorystycznego lub nowego spektakularnego sukcesu militarnego talibów. A takich wydarzeń jest coraz więcej. Sytuacja strategiczna w Afganistanie pogarsza się bowiem systematycznie od chwili, gdy ostatni żołnierze zagraniczni, pełniący służbę w ramach ISAF, opuścili to odległe podnóże Hindukuszu. Niekorzystny kierunek rozwoju sytuacji w tym kraju to efekt współlistnienia kilku czynników, z których najważniejsze to słabość afgańskich sił bezpieczeństwa i umacnianie się struktur ruchu talibów.

O tym, że formacje sił bezpieczeństwa, z armią (Afghan National Army – ANA) na czele, nie są gotowe do skutecznego samodzielnego stawienia czoła zbrojnym grupom rebelii, ostrzegano na długo przed końcem operacji ISAF. Wiedzieli o tym i analitycy oraz eksperci zajmujący się Afganistanem, i wojskowi zaangażowani bezpośrednio na miejscu, zarówno w misję ISAF, jak i amerykańską operację „Enduring Freedom” (Trwała wolność). Ostrzeżeń tych jednak nie słuchał i nie brał pod uwagę żaden z zachodnich decydentów, z prezydentem USA Barackiem Obamą na czele. Politycy z Zachodu przedkładali krótkoterminowe cele polityczne i ideologiczne (tj. szybkie wyjście z Afganistanu, przedstawiane opinii publicznej jako sukces i „dążenie do pokoju”) nad realia istniejące w terenie i długofalową kompleksową strategię wobec tego kraju. Przecież gdyby chcieć dopasowywać czas trwania misji ISAF do faktycznych kryteriów operacyjnych i strategicznych, to z pewnością byłaby ona kontynuowana i to bez większych szans na zakończenie w przewidywalnej przyszłości.

TOMASZ OTŁOWSKI

TALIBOWIE GRAJĄ NA CZAS

Wojna i przemoc na stałe
dotykają ponad 60%
dystryktów Afganistanu.

Nie powinno więc dziwić, że rząd w Kabulu nie jest dzisiaj w stanie utrzymać kontroli nad całym terytorium swojego kraju. Już raczej podziwiać należy to, że władze kabulskie w ogóle wciąż funkcjonują i nie załamały się pod wpływem zdecydowanych działań Talibanu. To, że tak się nie stało, to w dużej mierze efekt skutecznej gry, prowadzonej przez Kabul nie tylko wobec ruchu talibów, ale też jego pakistańskich mocodawców. Gry polegającej na całkiem umiejętnym operowaniu kijem i marchewką, czyli siłą i zdecydowaniem (tam gdzie to możliwe) oraz obietnicami ustępstw i koncesji (tam gdzie to konieczne).

Kondycja afgańskich sił bezpieczeństwa – tego podstawowego narzędzia, którym dysponuje Kabul w konfrontacji z talibami – słabnie jednak z miesiąca na miesiąc. Wiosna i lato 2016 roku to niemal nieprzerwane pasmo porażek, a nawet upokarzających klęsk sił rządowych, czego symbolem stała się m.in. dramatycznie źle przygotowana i poprowadzona ofensywa w północnej prowincji Baghlan w maju 2016 roku. Oddziały ANA bezskutecznie próbo-

wały tam odblokować słynną autostradę nr 1, niezwykle ważną dla gospodarki państwa i polityki rządu w Kabulu.

A przecież początek 2015 roku – pierwszego bez znaczącej obecności sił międzynarodowych od chwili upadku Islamskiego Emiratu Afganistanu (IEA) 14 lat wcześniej – nie był dla ruchu talibów pomyślny. Pojawienie się w Afganistanie struktur kalifatu (styczeń 2015 roku), w postaci wilajetu Chorasán, stało się źródłem napięć i niesnasek w szeregach ruchu. Tym bardziej że w sąsiednim Pakistanie tamtejsi talibowie podzielili się niemal równo na pół pod względem podporządkowania i lojalności wobec nowej organizacji, stworzonej przez kalifat. Bardzo mocno zdeorganizowało to struktury i aktywność nie tylko Talibanu, lecz także centrali Al-Kaidy na afgańsko-pakistańskim pograniczu, ściśle powiązanej z afgańskimi talibami. Już później, u schyłku wiosny 2015 roku, równie destrukcyjne okazało się ujawnienie kompromitujących okoliczności trzymania przez niemal dwa lata w tajemnicy śmierci lidera IEA, mułły Mohammada Omara, które wstrząsnęły szeregami Talibanu.



REECE LODDER/USMC

Żadne ze wspomnianych wydarzeń nie osłabiło trwale zdolności talibów do skutecznego prowadzenia działań wojennych, na co liczył nie tylko Kabul, lecz także świat. Początkowo spektakularna i żywiołowo prowadzona ofensywa Państwa Islamskiego (IS) w Afganistanie została szybko powstrzymana przez Taliban. Niebagatelny udział miał w tym z pewnością fakt, iż talibowie to w większości rdzenny element etniczny Afganistanu, w szeregach oddziałów kalifatu dominował zaś żywioł napływowy, zwłaszcza Arabowie. W Afganistanie Państwo Islamskie odniosło, i odnosi nadal, sukcesy głównie tam, gdzie dominuje ludność niepasztuńska, a więc na północy kraju.

Na lidera ruchu wybrano mułłę Achtaara Mohammada Mansura, wysokiego rangą członka Szury z Kwety i bliższego współpracownika zmarłego Omara. Polityka z drugiego szeregu, ale cieszącego się mirem i autorytetem wśród większości komendantów polowych i liderów ruchu, który potrafił godzić jego różne nurty i frakcje.

W efekcie Taliban wyszedł z tych kilku miesięcy chaosu wzmocniony, a jego działania zbrojne w Afganistanie zyskały na skuteczności i sprawności. Mułła Mansur okazał się zresztą nie tylko sprawnym organizatorem i skutecznym dowódcą partyzantki talibskiej, ale też niezwykle sprytnym politykiem, który od razu wszedł w zakulisowe kontakty z władzami w Kabulu (a równolegle podobno i z Irańczykami, w celu powstrzymywania Państwa Islamskiego), badając grunt pod

PROCES DEGRADACJI PROZACHODNIEJ WŁADZY W KABULU POSTĘPUJE SZYBKO



Być może ma to związek z tym, że pod koniec 2014 roku na stronę kalifa przeszła większość struktur Islamskiego Ruchu Uzbekistanu, wcześniej blisko związane go z Al-Kaidą i współpracującego z ruchem talibów.

PRZEDWCZESNA ZAPOWIEDŹ ŚMIERCI

Analogicznie rzecz się miała z sukcesą po mulle Omarze. Choć początkowo można było odnieść wrażenie, że będzie to wydarzenie zapowiadające rychły koniec Talibanu, to ostatecznie okazało się, że nie ma ono większego znaczenia. Co więcej, sytuacja paradoksalnie nawet umocniła talibów, głównie przez ostateczne uporządkowanie wzajemnych, dość chaotycznych wcześniej, relacji między głównymi nurtami ruchu, czyli Szurą z Kwety, siatką Hakkanniego oraz partią HIG (Hizb-i-Islami Gulbuddin), kierowaną przez charyzmatycznego Gulbuddina Hekmatia. Zresztą, jak się później okazało, tak szybki i zadziwiająco sprawny wybór następcy zmarłego Omara w dużej mierze należy przypisać wysiłkom mediacyjnym samego kierownictwa Al-Kaidy, które dążyło do jak najrychlejszego zakończenia tego procesu i zażegnania ewentualnych rozłamów w szeregach afgańskich talibów.

ewentualne polityczne uregulowanie trwającego w kraju konfliktu. Jak się wydaje, Mansur autentycznie starał się różnymi kanałami cierpliwie przekonywać władze w Kabulu, że ich czas się kończy i bez bolesnego kompromisu ze zbrojną opozycją (czy też raczej ustępstw na jej rzecz) ich dni są policzone. Potwierdzeniem jego zabiegów politycznych był rozwój wydarzeń „w polu”, gdzie talibowie systematycznie i konsekwentnie zaczęli zyskiwać punkty. Począwszy od jesieni 2015 roku niemal nie było miesiąca, w którym struktury Talibanu nie przejmowałyby pełnej kontroli nad jednym lub dwoma dystryktami w Afganistanie, nie licząc ich umacniania się w innych częściach kraju.

KULĄ W PŁOT

I wtedy do gry weszli Amerykanie. Do dzisiaj nie wiadomo, co sprawiło, że amerykański wywiad (CIA) dostał z samego Gabinetu Ovalnego w Białym Domu zielone światło dla eliminacji lidera afgańskiego Talibanu. Właśnie w czasie, gdy pojawiła się szansa, choć jeszcze niewielka, na polityczny kompromis między Kabulem a talibami, postanowiono skorzystać z informacji uzyskanych dzięki potężde narzędzi wywiadowczych su-

permocarstwa i przy użyciu bojowych dronów zastrzelić lidera afgańskich talibów. Operacja, która w innych okolicznościach i czasach może faktycznie przyczyniłaby się do poprawienia sytuacji strategicznej, zarówno władz w Kabulu, jak i ich zachodnich sojuszników, teraz stała się farsą. Wyeliminowano wpływowego polityka, lidera zbrojnej afgańskiej opozycji, który swym autorytetem, wpływami i dotychczasowym dorobkiem politycznym mógł firmować próbę jakiegoś porozumienia między opozycją a obecnymi władzami Afganistanu. Porozumienia z pewnością trudnego i niewygodnego (głównie dla mocarstw zachodnich), ale być może niosącego szansę na pokój udręczonemu niekończącą się wojną Afganistanowi i jego społeczeństwu.

Miejsce zabitego 21 maja 2016 roku mułły Mansura szybko zajął Hajbatullah Ahundzadeh. Choć dotychczas formalnie był zastępcą Mansura, to nie dał się bliżej poznać szerszej opinii publicznej. Wiadomo o nim tylko, że jest uznawany za lidera jednej z bardziej radykalnych frakcji w łonie Szury z Kwety. Jego zastępcami jako lidera ruchu talibów zostali Siradžuddin Hakkani, przywódca osławionej ekstremistycznej siatki Hakkaniego, oraz mułła Mohammad Jakub, syn Omara. Obaj są nieprzejednanymi zwolennikami bezpardonowej i bezkompromisowej walki z reżimem kabluskim i resztkami sił międzynarodowych pozostających w Afganistanie. Wydaje się zresztą, że i sam emir Ahundzadeh podziela ich opinie.

Te zmiany władzy szybko dały o sobie znać na frontach wojny afgańskiej. Talibowie zintensyfikowali wysiłki operacyjne, z większą gorliwością zaczęli atakować pozycje sił rządowych, częściej też przeprowadzali zamachy terrorystyczne w samym Kabulu. Na efekty nie trzeba było długo czekać. Według miarodajnych danych, gromadzonych i analizowanych przez amerykańskie pozarządowe ośrodki eksperckie zajmujące się Afganistanem jeszcze od 2001 roku, w sierpniu bieżącego roku ruch talibów afgańskich kontrolował w pełni i niepodzielnie co najmniej 40 dystryktów w całym kraju. W każdym z takich przypadków oznacza to, że zarówno stolica danego dystryktu, jak i jego obszar są całkowicie wyłączone spod jurysdykcji i władzy rządu w Kabulu oraz jego namiestników w danej prowincji. W kolejnych 45–50 dystryktach talibowie kontrolują zdecydowaną większość (lub wręcz całość) ich terytorium, a jedynie centra administracyjne znajdują się w rękach władzy kabluskiej. Dalsze około 50 dystryktów to silna obecność i znacząca aktywność militarna sił Talibanu, utrudniająca skuteczne sprawowanie władzy przez rząd w Kabulu. Działania talibów określane jako „intensywne” są ponadto odnotowywane w następnych ponad 100 dystryktach. W sumie daje to zatem 230–250 dystryktów afgańskich (na ich ogólną liczbę 398)

w mniejszym lub większym stopniu dotkniętych stałą aktywnością talibskiego podziemia zbrojnego, a często także – co równie ważne – wilajetu Chorasana.

POWODY DO NIEPOKOJU

Oznacza to, że przemoc na stałe dotyka ponad 60% dystryktów Afganistanu. A wzięwszy pod uwagę fakt, że w dużej części są to najważniejsze ze strategicznego i politycznego punktu widzenia regiony kraju, taki stan rzeczy musi budzić niepokój. Dość powiedzieć, że talibowie kontrolują dziś na stałe większość dystryktów w takich prowincjach jak Kandahar na południu czy Kunduz na północy. Także w Ghazni kontrolują obecnie na stałe co najmniej jeden dystrykt (Nawa), a w pozostałych (zwłaszcza w stołecznym Ghazni) ich obecność i aktywność zbrojna mają charakter permanentny.

Warto podkreślić, że w ciągu minionych 12 miesięcy (a więc mniej więcej od czasu ogłoszenia sukcesji po mulle Omarze), liczba dystryktów na stałe kontrolowanych przez talibów uległa podwojeniu. Pokazuje to skalę rosnącego zaangażowania Talibanu i wprost proporcjonalnej słabości formacji afgańskich sił bezpieczeństwa.

Jakby tego wszystkiego było mało, zwiększeniu oddziaływania i zdolności operacyjnych ruchu talibów towarzyszy reaktywacja struktur Al-Kaidy w Afganistanie. Organizacja ta, wyparta w 2002 roku z terenu tego państwa i zmuszona do ukrywania się po pakistańskiej stronie granicy, dzisiaj powraca na afgańską ziemię, znowu zakłada na niej obozy szkoleniowe, odtwarza siatkę lokalnych, klanowo-plemiennych powiązań i wysyła tam wysokich rangą liderów.

Wszystko to powoduje, że przyszłość Afganistanu rysuje się w ciemnych barwach. Choć po styczniu 2015 roku nie spełniły się obawy rychłego upadku prozachodniej władzy w Kabulu, to proces jej degradacji trwa w najlepsze. O tym, jak poważny jest to problem, świadczy m.in. wezwanie wystosowane do sojuszników w czasie niedawnego szczytu NATO, w którym przypomina się o podjętych przed końcem 2014 roku zobowiązaniach finansowych na rzecz wspierania rządu afgańskiego. Ale pieniądze to nie wszystko. Największe nawet dotacje zachodnie – liczone w dziesiątkach miliardów dolarów amerykańskich – nie sprawiają, że afgańscy żołnierze i funkcjonariusze odzyskają nagle morale i nabiorą chęci do walki w imię państwa, które dla większości z nich wciąż jest po prostu bytem abstrakcyjnym. Żadne pieniądze nie naprawią chorego, przeżartego korupcją, nepotyzmem i konfesyjnalizmem systemu polityczno-gospodarczego Afganistanu. A talibowie mają czas; wszak czekają na swój sukces już 15 lat, mogą więc poczekać jeszcze kolejny rok, dwa lata lub nawet pięć lat. Bo co jak co, ale czas ewidentnie pracuje na ich korzyść. ■



ANDRZEJ KOZŁOWSKI

Cyfrowe podziemie

Dynamiczne powiększanie się cyberprzestrzeni doprowadziło do powstania tzw. podziemnych rynków cyfrowych. Wartość obrotu na nich przekracza zyski z globalnego handlu narkotykami.

UCZESTNICY PODZIEMNYCH RYNKÓW CYFROWYCH POCHODZĄ Z CAŁEGO ŚWIATA

W 2013 roku ofiarą hakerów padło olbrzymie amerykańskie przedsiębiorstwo handlu detalicznego Target, z którego wykradzono dane 70 mln klientów, zawierające ich imiona i nazwiska, preferencje handlowe, numery kart debetowych i kredytowych oraz kody bezpieczeństwa do nich. Zaledwie kilka dni później te informacje pojawiły się na licznych forach internetowych tzw. podziemnych rynków cyfrowych. Pierwsze z nich powstały jeszcze w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku i były naturalnym efektem ewolucji internetu, którego popularność rosła w szybkim tempie.

Hakerzy natychmiast dostrzegli możliwość zarobienia dużych pieniędzy przez oferowanie swoich usług i programów na nielegalnych rynkach. Wziąwszy pod uwagę względną anonimowość, zarówno sprzedających, jak i kupujących, dostępność dla klientów oraz możliwość świadczenia usług praktycznie w każdym zakątku kuli ziemskiej, popularność tych rynków nie powinna dziwić.

HIERARCHIA PRZESTĘPCZA

Struktura podziemnych rynków cyfrowych ewoluowała. Początkowo skupiano się na oferowaniu skradzionych danych z kart kredytowych i debetowych, stopniowo rozszerzano zakres proponowanych usług, np. przez dodanie do tego danych kont osób korzystających z handlu internetowego, mediów społecznościowych oraz innych serwisów online. Obecnie rynki podzieliły się na: wyspecjalizowane w jednym rodzaju produktów lub usług, oraz te, których oferta jest zdecydowanie bardziej rozbudowana i można tam kupić praktycznie wszystko. Nie każdy „produkt” jest jednak dostępny dla każdego użytkownika. Z czasem powstały kategorie klientów. Biorąc pod uwagę, że część z tych rynków ma ponad 80 tys. użytkowników, a obrót sięga setek milionów dolarów, stworzenie takiego systemu wydaje się uzasadnione. Ułatwia on zarządzanie i zapewnia ochronę przed infiltracją ze strony organów śledczych. Jednak istnieją też rynki, na których nie obowiązują żadne zasady.

Wśród osób parających się takim procederem obowiązuje hierarchia. Najwyżej znajdują się administratorzy, odpowiedzialni za sprawne działanie rynku. Nieco niżej są eksperci, specjalizujący się w danym zagadnieniu, np. kryptografii, tworzeniu narzędzi rootkit na potrzeby

hakerów, pisaniu złośliwych programów. Następni w kolejności są pośrednicy, którzy weryfikują transakcje i dbają o ochronę tożsamości, zarówno sprzedających, jak i kupujących, oraz handlarze oferujący wynajęcie sieci botnet, hostowanie serwisów o wzmocnionej odporności (bullet-proof)

czy rozsyłanie spamu. Najniżej znajdują się tzw. muły, czyli odpowiedzialni za spieniężanie skradzionych kart kredytowych oraz kont handlu elektronicznego i innych uzyskanych nielegalną drogą informacji za pomocą różnorodnych metod – od internetowych przelewów pieniędzy po transport skradzionych towarów za granicę. Awans w hierarchii, umożliwiający uczestnictwo w najbardziej skomplikowanych operacjach cyberprzestępczych, jest bardzo trudny, wymaga kontaktów personalnych, dobrej reputacji i zaufania.

Uczestnicy podziemnych rynków cyfrowych pochodzą z całego świata. Początkowo większość wywodziła się z byłych państw ZSRR, ponieważ tam cyberprzestępcy mogą prowadzić swoją działalność nieniepokojeni przez organy ścigania. Obecnie sytuacja się zmieniła i wykształciły się narodowe specjalności. Wietnamczycy np. skupiają się na działaniach wymierzonych w handel elektroniczny, z kolei Rosjanie, Rumuni, Litwini i Ukraińcy obrali sobie na cel instytucje finansowe. Chińczycy zaś koncentrują się głównie na kradzieży własności intelektualnej. Ostatnie trendy pokazują, że wzrasta liczba użytkowników ze Stanów Zjednoczonych zaangażowanych w działania na podziemnych rynkach cyfrowych.

WACHLARZ USŁUG

Oferta na nielegalnych rynkach jest bardzo zróżnicowana. Dostępne są nie tylko produkty (narzędzia umożliwiające włamania czy skradzione dane), lecz także usługi (zlecenie włamania się do danej firmy czy indywidualnego konta w mediach społecznościowych). W 2004 roku największy popyt był na programy typu spyware i adware, a w latach 2008–2009 popularnością cieszyły się ataki typu DDoS (distributed denial of service) oraz oprogramowania imitujące programy antywirusowe, dzięki którym można się włamać do dowolnego komputera.

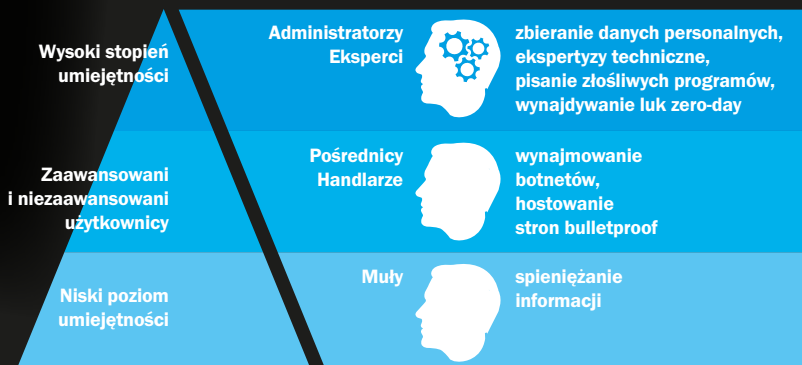
Ostatnio coraz częściej celem hakerów są smartfony. Stosunkowo łatwo jest je zaatakować ze względu na znacznie słabsze zabezpieczenia i niewielką świadomość zagrożenia wśród użytkowników. Usługą, która →

CENY ZERO-DAY EXPLOITÓW (STAN NA 2012 ROK)

Program	Cena [USD]
Adobe Reader	5000–30 000
Android	30 000–60 000
Chrome/Internet Explorer	80 000–200 000
Firefox/Safari	60 000–150 000
Flash or Java	40 000–100 000
iOS	100 000–250 000
Mac OSX	20 000–50 000
Microsoft Word	50 000–100 000
Windows	60 000–120 000

Źródło: Andy Greenberg, „Shopping For Zero-Days: A Price List For Hackers' Secret Software Exploits”, <http://www.forbes.com/sites/andygreenberg/2012/03/23/shopping-for-zero-days-an-price-list-for-hackers-secret-software-exploits/#3fa829cf6033>; Charlie Miller, „The Legitimate Vulnerability Market: Inside the Secretive World of 0-day Exploit Sales”, <http://www.econinfosec.org/archive/weis2007/papers/29.pdf>.

HIERARCHIA „CZARNYCH CYBERRYNKÓW”



Źródło: Lillian Ablon, Martin C. Libicki, Andrea A. Golay, „Hackers' Bazaar. Markets for Cybercrime Tools and Stole Data”, RAND Corporation, s. 6.

cieszy się niesłabnącą popularnością od początku XXI wieku są botnety, czyli sieci zainfekowanych komputerów zombie, kontrolowanych przez hakerów. Mogą się one składać nawet z kilkudziesięciu tysięcy maszyn. Wzrost ich liczby odnotowano w latach 2004–2005, kiedy pojawiły się kody źródłowe oraz instrukcje, w jaki sposób można je stworzyć. Umożliwiło to dostęp do botnetów mniej zaawansowanym użytkownikom. Są one wykorzystywane głównie przez spamerów. Były również wynajmowane do przeprowadzania zmasowanych ataków typu DDoS.

W 2005 roku atak na portal Godaddy.com wyłączył usługę na godzinę, a trzy lata później podobna operacja z wykorzystaniem zdecydowanie większego botnetu doprowadziła do sparaliżowania witryny na cały dzień. W mniejszym stopniu sieci te są używane przez przestępców do łamania hasel. Proces, który mógł trwać tygodniami, dzięki zastosowaniu tych narzędzi został skrócony do kilku godzin. Ponadto botnety są wykorzystywane do phishingu, zbierania numerów kart kredytowych czy też danych uwierzytelniających, a także do wydobywania cyfrowych walut, np. bitcoinów.

Jednak to nie botnety stanowią największe zagrożenie. Najniebezpieczniejsze są tzw. zero-day exploity, czyli informacje o lukach w programach, umożliwiające włamanie do systemów komputerowych. Są one niezwykle cennym i poszukiwanym towarem, zdecydowanie ułatwiającym pracę hakerom. Najczęściej wykorzystuje się je w szpiegostwie gospodarczym

prowadzonym z wykorzystaniem internetu oraz do atakowania najważniejszych celów państwowych. Warto dodać, że uzyskanie zero-day exploitów nie jest proste. Spekuluje się, że na czarnym rynku kupują je również agencje wywiadowcze najpotężniejszych państw świata.

Sprzedaż tego rodzaju produktów jest bardzo dochodowa. Ceny wahają się od tysiąca do setek tysięcy dolarów, a w niektórych wypadkach nawet miliona. Zależą od następujących czynników: rodzaju programu, stopnia skomplikowania odkrytej luki, czasu potrzebnego do jej wykrycia czy też miejsca zakupu. Kupujący w Kambodży może np. zapłacić mniej niż ten ze Stanów Zjednoczonych. Wiele przedsiębiorstw z branży IT prowadzi własne programy zachęcające do zgłaszania wykrytych zero-day exploitów, ale oferują o wiele mniejsze pieniądze niż można uzyskać na podziemnych rynkach cyfrowych.

WALKA Z WIATRAKAMI

Początkowo nieniekupione, z czasem nielegalne rynki musiały stawić czoła funkcjonariuszom organów ścigania, którzy coraz lepiej odnajdywali się w świecie nowych technologii. Zwiększona liczba szkoleń z dziedziny zwalczania cyberprzestępców oraz znowelizowane akty prawne umożliwiały aresztowanie hakerów. Służby zanotowały spektakularne sukcesy w zwalczaniu podziemnych rynków cyfrowych. Te jednak bardzo szybko się odradzają i walka z nimi przypomina odci-

OPERACJE WYMIERZONE W TZW. PODZIEMNY CYFROWY RYNEK

Liberty Reserve było scentralizowanym serwisem płatności wykorzystującym w transakcjach cyfrową walutę. Zostało zamknięte w 2013 roku. Prawie natychmiast pojawiły się w sieci konkurencyjne miejsca, oferujące podobne usługi.

Silk Road był jednym z największych rynków oferujących nielegalne środki farmaceutyczne, skradzione dane kart kredytowych i inne. Został zamknięty w 2013 roku. Na jego miejsce bardzo szybko pojawiły się nowe, które jednak swoimi rozmiarami nie dorównały protoplaście.

Carder.su był jednym z największych forów handlujących kradzionymi danymi kart kredytowych. Został zamknięty w 2012 roku. Natychmiast na jego miejscu pojawiły się podobne fora oferujące te same usługi.



nanie głów mitycznej hydrze – na miejsce jednej wyrastają nowe. W wypadku cyberprzestrzeni jest to spowodowane tym, że zamknięcie forów nie oznacza usunięcia wszystkich ich zasobów, do których wciąż można się dostać. Nowe rynki powstają więc na bazie starych kodów źródłowych, ale są pozbawione wad, które doprowadziły do ich zamknięcia.

Ponadto organy ścigania mogą być ofiarą swoich sukcesów. Zwiększająca się liczba aresztowań przyciąga uwagę mediów, jednocześnie rozbudzając wśród internautów świadomość istnienia nielegalnych, podziemnych rynków cyfrowych. A ich administratorzy stają się znacznie ostrożniejsi i uczą się technik wykorzystywanych przez organy ścigania.

W efekcie oferowania coraz bardziej zaawansowanych narzędzi do przeprowadzania ataków, nawet użytkownikom niemającym wystarczających umiejętności hakerskich, zmniejszy się bezpieczeństwo w sieci, na czym tracą wszyscy. Może to doprowadzić do sytuacji, w której używane systemy antywirusowe oraz inne programy zwalczające złośliwe oprogramowanie staną się bezużyteczne wobec nowoczesnych i zróżnicowanych środków ataku. Niestety, niewiele wskazuje, że ten problem zostanie rozwiązany w najbliższym czasie. Duży popyt na takie oprogramowanie oraz trudności w wykrywaniu i neutralizowaniu nielegalnych, podziemnych rynków cyfrowych powodują, że ich znaczenie w przyszłości będzie tylko rosło, podobnie jak liczba użytkowników.

Obecnie zdecydowanie łatwiej jest natknąć się na takie miejsca w sieci niż dziesięć lat temu dzięki proliferacji stron internetowych, forów czy kanałów czatowych. Co gorsza, na YouTube bez problemu można znaleźć filmy instruktażowe pokazujące, jak wykorzystać złośliwe oprogramowanie albo gdzie kupić dane skradzionych kart kredytowych.

Biorąc pod uwagę, że internet staje się coraz bardziej popularny, można przyjąć za pewnik, że liczba produkowanego złośliwego oprogramowania będzie rosła, a jego celem coraz częściej będą samochody, podłączone do sieci lodówki czy inne przedmioty gospodarstwa domowego. Jednym ze sposobów zwiększenia efektywności walki z podziemnymi rynkami cyfrowymi jest zacieśnianie współpracy międzynarodowej. Ponieważ jednak wiele serwerów oraz głównych administratorów pochodzi z Rosji i państw byłego ZSRR, jest to szczególnie trudne, dlatego że ich władze są niechętne kooperacji z zachodnimi służbami i odmawiają podpisania konwencji Rady Europy o cyberprzestępczości. ■

ANDRZEJ KOZŁOWSKI jest doktorantem w Katedrze Studiów Transatlantyckich i Mediów Masowych na Wydziale Studiów Międzynarodowych i Politologicznych Uniwersytetu Łódzkiego oraz ekspertem Instytutu Kościuszki i Fundacji „Amicus Europae”.

TADEUSZ WRÓBEL

Czystka we flocie

Od pełnienia obowiązków odsunięto 36 dowódców Floty Bałtyckiej, w tym jej dowódcę i szefa sztabu. Czy to kara za odmówienie prowokowania incydentów z zachodnimi okrętami?

Z powodu poważnych zaniedbań w organizacji przygotowania bojowego, codziennej aktywności sił, braku działań na rzecz poprawy życia personelu, zaniedbania podwładnych, a także niekształcenia rzeczywistego stanu rzeczy w raportach przedstawianych ministrowi obrony” Siergiej Szojgu, minister obrony Rosji, 29 czerwca 2016 roku odsunął od pełnienia obowiązków dowódcę Floty Bałtyckiej wiceadm. Wiktora Krawczuka oraz jej szefa sztabu wiceadm. Siergieja Popowa. W rosyjskich mediach pojawiły się informacje, że zwolnienia objęły około 50 oficerów, w tym admirałów i kapitanów pierwszej rangi (stopień odpowiadający polskiemu komandorowi). Później przewodniczący komisji obrony rosyjskiej Dumy, emerytowany adm. Władimir Komojedow, doprecyzował, że w rzeczywistości usunięto 36 osób. Mówi się, że była to największa czystka w siłach zbrojnych od czasów stalinowskich. W przeszłości też zwalniano wyższych dowódców, ale zwykle robiono to bardziej subtelnie, np. oficjalnie podawano, że przechodzą oni na emeryturę lub odchodzą z czynnej służby ze względu na stan zdrowia.

WIELE NIEWIADOMYCH

Niezwykły, nawet jak na warunki rosyjskie, sposób usunięcia oficerów spowodował, że w mediach pojawiły się różne spekulacje co do powodów czystki. W niektórych gazetach jako przyczynę podaje się korupcję w dowództwie Floty Bałtyckiej. Zwraca się uwagę, że Krawczuk przyjaźnił się z Wiktorem Bogdanem, znanym jako „Bursztynowy Baron”, który jest poszukiwany międzynarodowym listem gończym. Oprócz kontroli rynku bursztynu w obwodzie kaliningradzkim jest on łączony z kradzieżą paliwa z okrętów Floty Bałtyckiej.

Wiktor Litowkin, ekspert wojskowy TASS, ujawnił natomiast w dzienniku „Wzgljad”, że fala zmian kadrowych nastąpiła po kontroli przeprowadzonej we Flocie Bałtyckiej. Owa miesięczna inspekcja zakończyła się 10 czerw-

ca. Co ciekawe, Komojedow powiedział, że Krawczuk złożył raport o zwolnienie ze służby z powodów zdrowotnych w przeddzień rozpoczęcia kontroli. Potwierdził, że wiceadmirał od pewnego czasu choruje.

Jako przykład nieprawidłowości Litowkin wymienił zaniżone racje żywieniowe w niektórych stołówkach żołnierskich. W części jednostek marynarze spali na gołych materacach, bo nie dostali prześcieradeł. „To była stała kradzież. Dowódcy nie zwracali na to uwagi”, stwierdził Litowkin. W publikacjach pojawiły się informacje o bardzo złych warunkach mieszkaniowych części oficerskich rodzin. „Sytuacja nie powstała nagle, lecz pogarszała się stopniowo. Ministerstwo obrony otrzymało sygnały na ten temat. W końcu doszło do inspekcji Floty Bałtyckiej i innych formacji w Kaliningradzkim Regionie Specjalnym”, podkreślił Wiktor Murachowski, redaktor naczelny magazynu „Arsenał Ojczyzny”.

Drugim wątkiem podniesionym w mediach był stan gotowości bojowej Floty Bałtyckiej, w tym niedotrzymywanie terminów wprowadzania do służby nowych okrętów bojowych i remontów już posiadanych jednostek. Litowkin powiedział, że były problemy z przygotowaniem infrastruktury dla formowanego w obwodzie kaliningradzkim 11 Korpusu Armijnego. „Nie jest jasne, gdzie szły pieniądze. Dlatego też minister obrony musiał podjąć zdecydowane działania”, mówił Litowkin. Inny powód czystki wskazywany przez rosyjskich dziennikarzy to kwietniowy incydent z okrętem podwodnym, który podczas ćwiczeń miał się zderzyć z obcą jednostką, być może polską. Flota Bałtycka miała też problemy z zaciąganiem ochotników do służby kontraktowej.

W obronie wiceadm. Krawczuka wystąpił kpt. pierwszej rangi Michaił Nienaszew, który przewodniczy ogólnorosyjskiemu ruchowi na rzecz wsparcia floty wojennej. Według niego minister obrony został wprowadzony w błąd – za czasów dowodzenia Krawczuka wzrosła liczba i poprawiła się jakość ćwiczeń z udziałem sił Floty Bał-

tyckiej. Media jednak utrzymują, że w raportach podawano nieprawdziwe informacje o ich wynikach. Tak się stało np. po nieudanym szkoleniu trałowców w sierpniu 2015 roku, gdy napisano, że okręty wykonały wszystkie zadania.

Nienaszew zasugerował, że powodem odwołania dowódcy Floty Bałtyckiej mogły być motywy osobiste. Odniósł się do tego też Michaił Barabanow, wydawca miesięcznika „Moscow Defense Brief”, który zwrócił uwagę na odejście ze służby, z powodów zdrowotnych, dowódcy rosyjskiej marynarki wojennej adm. Wiktora Czirkowa, z którym Krawczuk był blisko powiązany. Obaj admirałowie byli związani z Flotą Bałtycką. W okresie, gdy dowodził nią Czirkow, Krawczuk był jego zastępcą.

Wiktor Litowkin nie wykluczył, że takie potraktowanie Krawczuka i jego podwładnych to pokazówka, mająca postraszyć dowódców innych flot. Podobnego zdania jest Andrzej Wilk, ekspert z Ośrodka Studiów Wschodnich: „W Rosji władza musi okresowo dać ludowi do zrozumienia, że trzyma rękę na pulsie. Czasami sama wskazuje jakieś zagrożenie, żeby lud się bał, i wtedy zwraca uwagę na konkretny obszar. Dlatego przed szczytem NATO nastąpiła czystka we Flocie Bałtyckiej, choć powody do zwolnień znalazłyby się też w każdej innej”. Fakt, że był to rodzaj ostrzeżenia, potwierdził pośrednio adm. Igor Kasatonow, przed laty dowódca Floty Czarnomorskiej i zastępca dowódcy rosyjskiej marynarki wojennej, mówiąc, że nie będzie kolejnych głośnych zwolnień.

Całkowicie odmienny powód czystki podał natomiast serwisowi News.com.au Peter Coates, australijski analityk spraw międzynarodowych i militarnych, który zasugerował, że była to kara za niewykonanie rozkazów prezydenta Władimira Putina. Wojskowi mieli nie zgodzić się na prowokowanie incydentów z zachodnimi okrętami, bo uznali to za zbyt niebezpieczne.

MAŁA FLOTA

Minister Szojgu 1 lipca 2016 roku ogłosił, że na stanowisko dowódcy Floty Bałtyckiej wyznaczył wiceadm. Aleksandra Nosatowa, który był zastępcą dowódcy Floty Czarnomorskiej i komendantem akademii marynarki wojennej, a w latach 2009–2012 komendantem bazy w Bałtyjsku. Nowym szefem sztabu wyznaczono wiceadm. Igora Muchamietszyna, specjalistę od broni podwodnej, przeniesionego z Floty Oceanu Spokojnego.

Jedynym wyższym rangą oficerem Floty Bałtyckiej, który nie został usunięty, jest wiceadm. Siergiej Jelisiejew, były zastępca dowódcy marynarki wojennej Ukrainy, który przeszedł na stronę rosyjską po zajęciu Krymu w 2014 roku. Nowe dowództwo ma uporządkować sytuację we Flocie Bałtyckiej do końca tego roku, przed kolejną inspekcją z ministerstwa obrony. ■



**WICEADM.
WIKTOR KRAWCZUK**
od 29 czerwca 2016
roku nie jest już
dowódcą Floty
Bałtyckiej.



FLOTA BAŁTYCKA JEST NAJMNIEJSZA SPOŚRÓD CZTERECH FLOT W SIŁACH MORSKICH ROSJI.

Dwa niszczyciele rakietowe, dwie fregaty rakietowe, cztery korwety rakietowe, cztery duże okręty desantowe, dwa poduszki desantowe i dwa okręty podwodne oraz wiele mniejszych jednostek to potencjał, jakim dysponuje. Flocie są też podporządkowane jednostki lotnictwa i wojsk lądowych stacjonujące w enklawie kaliningradzkiej. Po zakończeniu zimnej wojny Flota Bałtycka straciła na znaczeniu polityczno-wojskowym, ale w wyniku obecnych napięć w stosunkach z NATO ta sytuacja się zmieniła. Dlatego też zwierzchnicy zaczęli wymagać wyższego niż w przeszłości poziomu gotowości bojowej floty. I prawdopodobnie jego podnoszenie wychodziło admirałom z Kaliningradu najlepiej na papierze.

KATASTROFA POD LENINGRADEM

W Związku Sowieckim po epoce stalinowskiej miał miejsce tylko jeden przypadek gwałtownej zmiany na stanowiskach dowódczych którejkolwiek z flot wojennych. 7 lutego 1981 roku na lotnisku Puszkina koło Leningradu (obecnie Sankt Petersburg) doszło do katastrofy samolotu Tu-104A, należącego do lotnictwa Floty Oceanu Spokojnego. Wśród 50 ofiar było 16 admirałów i generałów, którzy wracali do Władywostoku po dziesięciodniowych ćwiczeniach dowódczo-sztabowych. Zginęło wówczas niemal całe dowództwo Floty Oceanu Spokojnego, wśród nich jej dowódca adm. Emil Spiridonow.

ROBERT SENDEK

Lot z problemami

**„Nasze lotnictwo wojskowe nie jest w stanie bronić kraju”,
oznajmił gen. Rumen Radew, dowódca bułgarskich sił
powietrznych, i w proteście podał się do dymisji. Rząd Bułgarii
rozpaczliwie próbuje uporać się z narastającymi
problemami tego rodzaju sił zbrojnych.**

Generał Rumen Radew dymisję złożył nie po raz pierwszy. Poprzednio zrobił to jesienią 2015 roku na wieść o tym, że parlament szykuje zmiany w prawie, które umożliwią ochronę bułgarskiego nieba przez obce samoloty. Ostatecznie po rozmowie z premierem Bojko Borisowem wycofał się, ale z niechęcią przyjmował kolejne inicjatywy centroprawicowego rządu w sprawie naprawy bułgarskiego lotnictwa.

BARDZO DŁUGIE MEDITACJE

Dyskusja na temat zakupu nowych samolotów wielozadaniowych dla bułgarskich sił powietrznych trwa już ponad dekadę. W prasie, także polskiej, co i rusz pojawiają się informacje o kolejnych przymiarkach do zakupu myśliwców dla armii bułgarskiej. Przeciagający się brak decyzji doprowadził tamtejsze lotnictwo wojskowe niemal do katastrofy.

Nie jest łatwo podjąć postanowienie o kupnie samolotów myśliwskich, ponieważ ma ono wymiar polityczny i finansowy. Na te maszyny, bez względu na to, czy będą one nowe, czy pozyskane z drugiej ręki, trzeba przecież przeznaczyć grube miliony. Oznacza to przesunięcie w budżecie pieniędzy, wydawanych zwykle na inne cele, a nie za bardzo jest na czym oszczędzać. W dodatku, jak pokazuje doświadczenie nie tylko Bułgarów, każda taka decyzja jest mocno rozgrywana przez przeciwników politycznych.

Mniejsza jednak o politykę, główną przeszkodą w zakupie samolotów są kwestie finansowe. O wiele przecież mniej kosztowna umowa z Polską na remont silników, podpisana w celu przedłużenia resursów dla wciąż jeszcze latających MiG-ów, jest ciągle gorąco omawiana w mediach. W takiej właśnie sytuacji kolejne



KATHERINE WINDISH/USAF

rzędy pod byle pretekstem podrzucały swym następcom zakup samolotów niczym kukułcze jajo, z którym nie bardzo wiadomo, co zrobić.

Przeciągające się rozmowy, prezentacje i spotkania, m.in. z Portugalią w sprawie zakupu używanych samolotów F-16, ostatecznie nie doprowadziły do żadnej decyzji. Na ofertę Portugalczyków zdecydowała się za to sąsiednia Rumunia, dysponująca do tej pory jedynie zmodernizowanymi samolotami MiG-21 w wersji Lancer. Stosowną umowę, dotyczącą zakupu 12 używanych F-16 Block 15, podpisano z Portugalią w 2013 roku. Mają być one dostarczone jesienią bieżącego roku, a w 2017 roku rząd w Bukareszcie zamierza nabyć kolejną partię 12 maszyn bojowych, jest więc dwa kroki przed Bułgarami.

Tymczasem politycy z Sofii na podjęcie zdecydowanych działań nie mają już wiele czasu. Dotychczasowa doktryna zakładała, że Bułgaria jest w stanie samodzielnie bronić wła-

snego nieba. Sojusznicy wymogi nakładają ponadto na ten kraj obowiązek posiadania przynajmniej jednej eskadry sprawnych samolotów: połowa do obrony własnego terytorium, połowa do zadań sojuszniczych. Problem jednak polega na tym, że w ubiegłym roku zaledwie cztery myśliwce MiG-29 były zdolne do lotu, co stawiało pod znakiem zapytania możliwości bułgarskiego lotnictwa oraz podważało wiarygodność tego kraju w sojuszu północnoatlantyckim.

DORAŻNE DZIAŁANIA

Procedury związane z wyborem nowego samolotu bojowego wymagają czasu. Rząd bułgarski podjął więc doraźne działania, mające podtrzymać wartość bojową pozostających w służbie MiG-29. W październiku 2015 roku po kilkumiesięcznych negocjacjach ministrowie obrony Polski i Bułgarii podpisali umowę o wsparciu logistycznym dla bułgarskich myśliwców. W pierwszym etapie mieliśmy wyremontować sześć silników RD-33, a w odleglejszej perspektywie przewidywano także kontynuację współpracy, remont kolejnych sześciu silników oraz ewentualną modyfikację bułgarskich samolotów do standardu, jaki ma 16 polskich myśliwców MiG-29 po modernizacji zakończonej w 2014 roku.

Dokument podpisano tuż po tym, jak we wrześniu 2015 roku skończyła się umowa z RSK „MiG” (Rosyjska samolotostroitel’naja korporacja „MiG”) w sprawie obsługi i wsparcia technicznego dla bułgarskich maszyn. Bułgarzy wybrali polską ofertę przede wszystkim ze względu na lepsze warunki kontraktu oraz niższą cenę. Niemalą rolę w podpisaniu umowy odgrywały też sankcje, nałożone przez państwa natowskie na rosyjski przemysł zbrojeniowy. Innym argumentem przemawiającym za wyborem polskiej opcji są, zdaniem szefa bułgarskiego ministerstwa obrony Nikołaja Nenczewa, nie najlepsze doświadczenia ze współpracą z Rosjanami.

Dzięki podpisanej z Polską umowie już w grudniu 2015 roku do Bułgarii poleciały pierwsze dwa silniki. Wyposażony w nie samolot wystartował w połowie stycznia. Z tej okazji zorganizowano uroczystość na najwyższym szczeblu: na lotnisku byli obecni premier →



Bojko Borisow, minister obrony narodowej. Nikołaj Nenczew oraz dowódca bułgarskich sił powietrznych gen. Rumen Radew. Nenczew osobiście zasiadł w kabinie MiG-a i odbył lot, chcąc pokazać, jak pisali później złośliwi, że swoim życiem gwarantuje jakość podpisaną przez siebie umowy. Nawiasem mówiąc, ten właśnie samolot, z numerem

bocznym 33, przyleciał potem do Polski i jako jeden z dwóch bułgarskich myśliwców brał udział w manewrach „Anakonda '16”. Drugą parę silników wyremontowanych w Polsce dostarczono 8 lipca. Dostawa kolejnych dwóch jest przewidziana na jesień, najpóźniej do końca roku. Uruchomiono także procedury związane z planami zdobycia następnych dziesięciu silników do używanych w Bułgarii myśliwców MiG-29.

Dyskusja wokół współpracy wojskowej z Polską rozpałała bułgarskie media do czerwoności. W prasie drukowano groźby szefostwa RSK „MiG” pod adresem bułgarskiego rządu, pojawiały się też informacje o ofercie rosyjskiej firmy, która rzekomo miała Bułgariom proponować nowe samoloty MiG-35. W takiej sytuacji politycy z Sofii poszli po rozum do głowy i, korzystając z nadarzającej się okazji, odkupili sprywatyzowaną przed ośmiu laty firmę remontową Awionams. Zajmą się tym samym, co robili przed prywatyzacją: naprawą na miejscu wojskowych samolotów i śmigłowców po to, by nie wydawać pieniędzy na remonty za granicą.

CZAS DECYZJI

Tymczasem długo odkładane decyzje wreszcie zapadły. Na początku czerwca parlament bułgarski znaczną większością głosów przyjął przewidywany na lata 2016–2022 program modernizacji rodzimego lotnictwa. W najbliższych latach Bułgaria ma przeznaczyć 1,5 mld lewów (około 750 mln euro) na zakup nowych samolotów bojowych. Przyjęty przez parlament program przewiduje kupno eskadry maszyn, co w doniesieniach prasowych jest konkretyzowane jako osiem egzemplarzy. W nieco bardziej odległej przyszłości (na lata 2022–2023) jest przewidywany drugi etap zakupów – ośmiu kolejnych myśliwców.

Decyzja parlamentu jest jednak dopiero pierwszym krokiem do realizacji założonej koncepcji. Teraz zaczyna się bowiem najtrudniejszy etap, który dotychczas był największą słabością prób modernizacji bułgarskich sił powietrznych: poszukiwanie środków, które pozwolą na

SOJUSZNICZE WYMOGI NAKŁADAJĄ NA BULGARIĘ OBOWIĄZEK POSIADANIA PRZYNAJMNIEJ JEDNEJ ESKADRY SPRAWNYCH SAMOŁO- TÓW: POŁOWY DO OBRO- NY WŁASNEGO TERYTO- RIUM, POŁOWY DO ZADAŃ SOJUSZNICZYCH

kosztowne zakupy. Konieczne są też rozmowy z potencjalnymi dostawcami sprzętu oraz podpisanie stosownych umów. Pierwsze oferty już się zresztą pojawiły – oprócz leżącej na stole propozycji m.in. Portugalczyków z F-16 oraz Szwedów z gripenem, do gry weszli Izraelczycy, oferujący zmodernizowane przez siebie F-16. Decyzje co do wyboru konkretnego typu

samolotu jeszcze nie zapadły.

Podjęte kroki wciąż nie rozwiązują podstawowego problemu stojącego przed bułgarskim lotnictwem: zagwarantowania bezpieczeństwa nad rodzimym niebem. W związku z tym parlament bułgarski w lutym przyjął nowe rozwiązania prawne, które dopuszczają ochronę przestrzeni powietrznej kraju nie tylko przez własne wojska, lecz także sojusznicze. To właśnie pomysł, by obcy bronili Bułgarii, tak zirytował gen. Radewa. Takie postawienie sprawy od razu wykorzystala też opozycja, nazywając zdradą narodową sytuację, gdy bułgarskiego nieba będą mogły bronić samoloty greckie lub tureckie. Podobny krok, dopuszczający obronę tamtejszego terytorium przez wojska sojusznicze, był jednak niezbędny, ponieważ ze względu na procedury oraz kwestie finansowe nowe samoloty bojowe Bułgaria dostanie dopiero za mniej więcej trzy, cztery lata. Czasu potrzeba również na ewentualną modernizację myśliwców MiG-29.

Ze względu na trudności Bułgaria zwróciła się do sojuszu z prośbą o pomoc. Tymczasowym rozwiązaniem ma być uruchomienie misji „Air Policing” według wzoru, który NATO realizuje we współpracy z trzema republikami bałtyckimi. Wsparcia lotnictwu bułgarskiemu (i rumuńskiemu, bo misja ma objąć także i ten kraj, do chwili, gdy będzie on dysponował własnymi samolotami) udzielią polscy piloci. Właśnie z tego powodu, pod kątem wsparcia lotniczego południowej flanki NATO, są prowadzone w Polsce ćwiczenia „Jastrząb '16”. Według bułgarskiej prasy nasze myśliwce mają strzec nieba nad Bułgarią od jesieni. Pojawiają się oczywiście głosy krytyczne i pytania, czy wspólna ochrona rodzimego nieba będzie polegać na tym, że z samolotami polskimi będą latać także bułgarskie MiG-i, czy też że będzie współpracował z nimi jedynie personel naziemny. Sierpniowa dymisja szefa bułgarskich sił powietrznych może z tymi wszystkimi zawirowaniami mieć bliski związek. Mówi się jednak także, że ustąpienie gen. Radewa ze stanowiska ma podłoże polityczne i że ma on być kandydatem socjalistów w listopadowych wyborach prezydenckich. ■

ANNA MARIA
DYNER

Ćwiczenia z polityką w tle



W sierpniu odbyły się ćwiczenia „Współdziałanie '16” sił szybkiego reagowania (Kolektywne Siły Operacyjnego Reagowania – KSOR) Organizacji Układu o Bezpieczeństwie Zbiorowym (OUBZ). Wzięło w nich udział 6 tys. żołnierzy i użyto około tysiąca sztuk sprzętu wojskowego. Scenariusz zakładał udział KSOR, wspieranych przez lotnictwo i artylerię, w rozwiązywaniu konfliktu w jednym z regionów przygranicznych państwa oraz zlikwidowanie grup terrorystycznych operujących na zachodnim odcinku strategicznym. W ćwiczeniach wzięły udział wojska powietrznodesantowe z Armenii, Białorusi, Kazachstanu, Kirgizji i Tadżykistanu. Bezpośrednio po zakończeniu „Współdziałania” rozpoczęły się rosyjsko-białoruskie manewry „Niezniszczalne braterstwo '16”. Ich scenariusz zakładał ćwiczenia sił pokojowych egzekwujących przestrzeganie zawieszenia broni przez walczące ze sobą siły, co bardzo przypomina obecną sytuację w Donbasie.

„Współdziałanie” odbyło się w Zachodnim Okręgu Wojskowym (obwód pskowski), a „Niezniszczalne braterstwo” na poligonach Białorusi, zlokalizowanych w pobliżu granicy z Polską i Ukrainą (obwód brzeski). Te ćwiczenia były demonstracją zarówno wobec państw NATO, jak i Ukrainy, na co wskazuje lokalizacja poligonów ćwiczebnych oraz scenariusze działań prowadzonych przez siły zbrojne, w tym jednostki szybkiego reagowania. Jak przyznał głównodowodzący „Współdziałaniem” gen. Andriej Kartapołow, ćwiczenia te odbywają się w coraz bardziej skomplikowanych realiach politycznych w bezpośrednim sąsiedztwie państw OUBZ.

Od kilku tygodni coraz bardziej napięta jest sytuacja na granicy rosyjsko-ukraińskiej oraz na linii administracyjnej między Krymem a Ukrainą. 7 sierpnia Federalna Służba Bezpieczeństwa Rosji poinformowała o zatrzymaniu ukraińskich dywersantów, którzy mieli planować zamachy terrorystyczne i destabilizować sytuację przed wyborami do Dumy. W odpowiedzi strona rosyjska przerzuciła dodatkowe siły w pobliże granicy administracyjnej między Krymem a Ukrainą. Manewry rozpoczęła też Flota Czarnomorska – oficjalnie jako część przygotowań do rozpoczynających się we wrześniu ćwiczeń „Kaukaz '16”, które odbędą się w granicznym z Ukrainą Południowym Okręgu Wojskowym.

Rosja i Ukraina oskarżają się wzajemnie również o eskalowanie napięcia wokół Donbasu. Jednocześnie Rosja, podejmując takie decyzje, jak ta o rozmieszczeniu dwóch dywizji i jednej brygady pancernej przy granicy z Ukrainą, wyraźnie wskazuje, że w razie rozpoczęcia jakiejkolwiek operacji wojskowej przez ukraińskie siły zbrojne będzie w stanie szybko wesprzeć separatystów w Donbasie. Rosyjskie władze robią też wszystko, aby dyplomatycznie zdyskredytować Kijów i na Ukrainę zrzucić ciężar odpowiedzialności za niewypełnianie porozumień mińskich. Chcą też podważyć sens działań tzw. grupy normandzkiej i zmienić format negocjacji (najlepiej na taki, w którym Ukraina nie będzie stroną). Dążą też do zniesienia sankcji nałożonych przez Unię Europejską i część państw zachodnich. Tym samym widać wyraźnie, że granica rosyjsko-ukraińska pozostanie punktem zapalnym, a wszystkie zainteresowane rozwiązaniem tej sytuacji państwa są niemal tak samo daleko od rozstrzygnięcia, jak były u zarania tego konfliktu. ■



ANNA MARIA DYNER jest analitykiem i koordynatorem programu „Europa Wschodnia” w Polskim Instytucie Spraw Międzynarodowych.

HISTORIA

/ II WOJNA ŚWIATOWA

VANILLA SOUP/FOTOLIA

nr 9 / WRZESIEŃ 2016 / POLSKA ZBROJNA



PIOTR KORCZYŃSKI

BITWA O MAPY

**Jednym z fenomenów Polskiego
Państwa Podziemnego jest działalność
Szefostwa Służby Geograficznej.**



D

obra mapa w rękach dowództwa to od wieków jeden z gwarantów pomyślności na polu bitwy. Niestety niemiecki blitzkrieg zaskoczył pod tym względem Wojsko Polskie we wrześniu 1939 roku. Armia Poznań została np. wyposażona w materiały topograficzne sięgające od zachodnich linii Gopła, okolic Koła i Turku oraz mapy w skali 1:100 000 terenów III Rzeszy do Odry i okolic Berlina. Po pierwszych dniach walk, kiedy

naczelne dowództwo zarządziło odwrót na linię Wisły i Sanu, polskie armie znalazły się na terenach, dla których nie miały map.

Z tej trudnej sytuacji wybrnęły armie Pomorza i właśnie Poznań. Dowództwo pierwszej z nich zorientowało się na czas i 7 września wysłano ze sztabu ciężarówkę z oficerem i eskortą. Dotarł on do opuszczonych już przez personel składnic Wojskowego Instytutu Geograficznego (WIG) i przywiózł zapas map. Dla armii Poznań zdobył je mjr pil. dypl. Eugeniusz Wyrwicki, który 11 września, w czasie patrolu bojowego, z własnej inicjatywy „zahaczył” po drodze o składnicę WIG-u i załadował do kabiny swej „jedenastki” (samolot PZL P.11) ponad 140 kg map taktycznych okolic Kutna. W drodze powrotnej, lecąc z trudem tuż nad ziemią, umknął szczęśliwie licznym wrogim myśliwcom i dostarczył cenny ładunek do sztabu gen. Tadeusza Kutrzeby dosłownie w ostatniej chwili – tuż przed rozpoczęciem wielkiej bitwy nad Bzurą. Mapy rozdano w trybie alarmowym wszystkim oddziałom armii.

Pozostałe wielkie jednostki Wojska Polskiego, nie mówiąc już o mniejszych, były na ogół pozbawione odpowiednich materiałów kartograficznych. Jest to tym bardziej paradoksalne, że mapę taktyczną 1:100 000, wy-

dawaną przez WIG, można było kupić bez trudu w wybranych księgarniach po złotówce za arkusz...

KARTOGRAFICZNA MOBILIZACJA

Dowództwo organizowanej od jesieni 1939 roku konspiracji wyciągnęło z tej sytuacji wnioski. Od początku, oprócz broni, materiałów wybuchowych, instrukcji wojskowych, zaczęto gromadzić także materiały kartograficzne, a z czasem tworzyć nowe. Głównym inicjatorem tej akcji był ppłk Stanisław Thun „Nawrot”, „Leszcz”, przed wojną dyrektor Głównej Księgarni Wojskowej w Warszawie, a w czasie kampanii wrześniowej dowódca jednego z batalionów obrony stolicy. W momencie kapitulacji miasta polecił przenieść z Księgarni Wojskowej na Krakowskim Przedmieściu mapy topograficzne 1:100 000 i 1:300 000 do podziemnych magazynów firmy wydawniczej Gebethnera i Wolffa. Zapasy te przez pierwsze dwa lata okupacji były podstawą zaopatrzenia podziemia w materiały kartograficzne.

Kiedy ppłk Thun stanął na czele Oddziału IV Komendy Głównej Związku Walki Zbrojnej (kwaterymistrzostwa), powołał w nim pod koniec 1940 roku komórkę kartograficzną. Jej szefem został pracownik Państwowego Instytutu Geologicznego (po wojnie jego wieloletni dyrektor) – dr Edward Rühle „Gozdawa”. W swoich wspomnieniach odnotował, że w samym 1941 roku różne oddziały ZWZ zgłosiły w sumie zapotrzebowanie na 10 tys. map topograficznych, głównie w skali 1:10 000. Zamówienia realizowały przede wszystkim magazyny Gebethnera i Wolffa, którymi przez cały czas okupacji opiekował się księgarz Kazimierz Wyderka.

Jednocześnie starano się zasoby uzupełniać z innych źródeł. Wiele materiałów po prostu kradziono lub kupowano od Niemców. W lecie 1942 roku cichociemni dostarczyli do kraju



Kartograf przy stole
kreślarskim podczas
szkicowania mapy
(1939–1945)

KARTOGRAFOWIE DO AKCJI „BURZA” MIELI PRZYGOTOWAĆ MAPY W SKALI 1:25 000 DLA 34 MIAST I WĘZŁÓW KOLEJOWYCH

5 tys. arkuszy map w skali 1:100 000 drukowanych w Szkocji, a także kilkaset w skali 1:300 000 wydanych przez Anglików i kilkaset odwzorowań szlaków kurierskich przez Pireneje. W sumie w połowie 1942 roku „Gozdawa” dysponował około 20 tys. map. Część z nich przechowywał u siebie w mieszkaniu, a część w szafach jednej z suterren należących do działającego pod niemieckim zarządem Państwowego Instytutu Geologicznego. Te zbiory wciąż rosły i gdy osiągnęły stan 30 tys. map, wszystkie zgromadzono w specjalnie przygotowanym schowku w jednym z mieszkań na ulicy Franciszkańskiej 15 w Śródmieściu.

DOKONANIA SCHRONISKA

Wraz z rozwojem działań podziemnych, a przede wszystkim rozpoczęciem prac nad planami przyszłego powstania zbrojnego pod kryptonimem „Burza”, postanowiono powiększyć również pion kartograficzny Armii Krajowej. Na przełomie marca i kwietnia 1943 roku komórkę geograficzną dr. Rühlego wyłączono spod kompetencji ppłk. Thuna i podporządkowano kwatermistrzostwu operacyjnemu Komendy Głównej AK pod dowództwem ppłk. Zygmunta Miłkowskiego „Denhofa”. Nowym szefem powstałego w ten sposób Szefostwa Służby Geograficznej, kryptonim „Schronisko”, został przedwojenny komendant Oficerskiej Szkoły Topografów przy WIG-u, ppłk Mieczysław Szumański

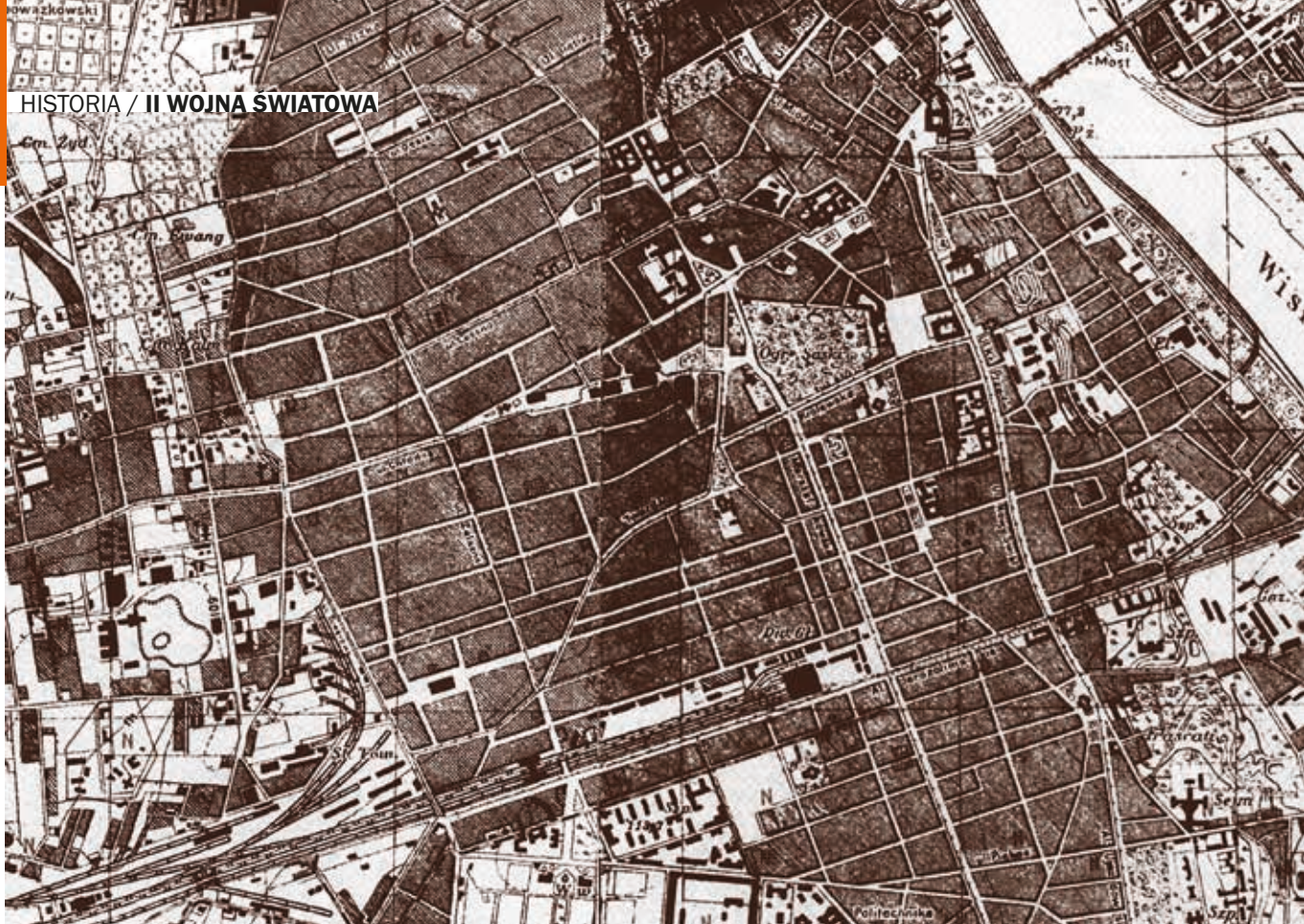
„Bury”. Dr Rühle, pod nowym pseudonimem „Zawrat”, objął funkcję jego pierwszego zastępcy, drugim był mjr Sylwiusz Berberiusz.

Po zmianach nastąpił szybki rozwój tej służby. Najważniejsze zadanie „Schroniska” było jednak związane z „Burzą”. Kartografowie zostali zobowiązani do przygotowania mapy w skali 1:25 000 dla 34 miast i węzłów kolejowych. Zaktualizowano m.in. mapę Warszawy. Prace topograficzne w mieście wykonali w czerwcu i lipcu 1943 roku oficerowie WIG-u – mjr Sylwiusz Berberiusz, kpt. Józef Darek i kpt. Franciszek Nowicki, wykorzystując przy tym materiały udostępnione przez miejskie biuro geodezyjne. Gotowa mapa stolicy została wydrukowana w dwóch kolorach.

„Schronisko” wykonywało także mapy przeznaczone dla potencjalnych uciekinierów z obozów jenieckich na terenie III Rzeszy. Podstawę do sporządzenia reprodukcji stanowiły niemieckie mapy 1:300 000. W 1943 roku wydrukowano 17 arkuszy w nakładzie 500 egzemplarzy każdy. Całość nakładów przerzucono następnie do poszczególnych obozów. Najwięcej map w „Schronisku” wydrukowano jednak w skali 1:100 000 (jedno- i dwukolorowych), były to podstawowe w Wojsku Polskim mapy taktyczne. Łącznie wydano 101 nakładów po 500 egzemplarzy każdy.

Największym osiągnięciem konspiracyjnych kartografów było wydrukowanie czterech arkuszy mapy





1:300 000, których nakład został wyczerpany. Dwa z nich, odzwierciedlające Lublin i Nowy Sącz, wykonano w pięciu kolorach. Nie różniły się one jakością od przedwojennych wydań, jedynie w prawym rogu widniały inicjały „BOM”, co świadczyło o ich podziemnym pochodzeniu. Tak sygnowano wszystkie mapy wypuszczone przez „Schronisko”, a litery skrótu były pierwszymi z trzech pseudonimów: „Bury” (ppłk Mieczysław Szymański), „Ogończyk” (por. inż. Stanisław Twardowski – kierownik Zakładu Litografii) i „Maks” (Czesław Śmieciński).

Do druku map wielobarwnych były potrzebne specjalne matryce, które wykupił od niemieckiego kierownika archiwum Kriegskarten und Vermessungsamt Marian Dutkiewicz „Marian”. Dzięki tej ryzykownej transakcji w ciągu 1943 i na początku 1944 roku „Schronisko” dysponowało około 5 tys. matryc, czyli dla około tysiąca arkuszy map 1:100 000, oraz kompletem matryc mapy 1:300 000. Pokrywały one cały obszar zainteresowania strategicznego Armii Krajowej: od zachodu sięgały do Odry i Nysy, na południu do środkowego Dunaju i Niziny Węgierskiej, na wschodzie i północy – środkowego Dniepru, Berezyny i Dźwiny. Wykupione matryce przewożono na ulicę Franciszkańską, gdzie były ewidencjonowane przez dr. Rühlego, który następnie przekazywał je kpt. Kazimierzowi Engwertowi. Ten na strychu swej willi przy

W 1941 ROKU RÓŻNE ODDZIAŁY ZWZ ZGŁOSIŁY W SUMIE ZAPOTRZEBOWANIE NA 10 TYS. MAP TOPO- GRAFICZNYCH

ulicy Wołodyjowskiego 7 na Służewcu przygotował na nie specjalną skrytkę. W trakcie wysiedlania mieszkańców po powstaniu warszawskim kpt. Engwert ukrył się w swej willi i trzykrotnie gasił ją po podpaleniu przez Niemców niszczących miasto. Dzięki temu większość ocalonych matryc na początku 1945 roku trafiła do Wojskowych Zakładów Kartograficznych.

TOPOGRAFICZNY WYWIAD

Ważnym aspektem pracy „Schroniska” był wywiad topograficzny. Duże osiągnięcia na tym polu miał



Konspiracyjna
mapa Warszawy
BOM z 1943 roku

Szef komórki
kartograficznej
dr Edward Rühle
ps. „Gozdawa”,
„Zawrat”



Dowódca
„Schroniska”
ppłk Mieczysław
Szumański
ps. „Bury”



zwłaszcza Edward Rühle, który – jak podkreśla w swych wspomnieniach – zupełnie przypadkowo zaczął taką działalność od sierpnia 1940 roku. Wtedy niemieckie kierownictwo Państwowego Instytutu Geologicznego oddelegowało Rühlego w okolice Puław, Dębina i Radomia do wykonania przeglądowego zdjęcia geologicznego. Na miejscu okazało się, że Niemcy prowadzą w tym rejonie szeroko zakrojone prace fortyfikacyjne.

„Gozdawa” w ciągu trzech miesięcy odwzorował wszystkie profile wykopów oraz ich rozmieszczenie na mapie w skali 1:25 000, a w październiku przekazał ppłk. „Leszczowi” dokładną mapę fortyfikacji całego przyczółka Puławy–Dęblin, długości około 50 km. Od tej pory dr Rühle, w trakcie oficjalnych badań geologicznych, zaznaczał na swych planach infrastrukturę militarną wroga. Jak wspomina: „Analizując przebieg prowadzonych prac, łącznie z rozbudową kolei, szos i łączności, można było dość dobrze orientować się w etapach przygotowań do agresji na ZSRR”.

Kolejne poważne zadanie związane z wywiadem topograficznym „Schronisko” dostało w 1943 roku w ramach przygotowań do operacji „Burza”. Jego specjaliści otrzymali rozkaz wykonania zdjęć techniczno-topograficznych przejść mostowych na głównych rzekach kraju. Opracowania te, oprócz danych technicznych – profilu mostu, jego wymiarów, rozmieszczenia komór

w filarach, obejmowały również dane dotyczące obsady wojskowej przeprawy. Ponadto na bieżąco rozszyfrowywano szkice topograficzne wywiadowców AK przekazywane z Komendy Głównej. Łącznie w „Schronisku” opracowano prawie 100 takich szkiców, dzięki czemu akowskie mapy zostały wzbogacone oznaczeniami nieprzyjacielskich lotnisk polowych, magazynów, stanowisk obrony przeciwlotniczej czy urządzeń radiolokacyjnych.

WSPARCIE DLA POWSTAŃCÓW

Służba kartograficzna w powstaniu warszawskim dostała zadanie bieżącego zaopatrywania w mapy oddziałów bojowych. Ponadto planowano, że po opanowaniu przez powstańców kolejnych dzielnic miasta, członkowie „Schroniska” obsadzą i zabezpieczą gmach, urządzenia techniczne i składnicę WIG-u w Alejach Jerozolimskich. Na miejsce siedziby kierownictwa „Schroniska” wyznaczono kamienicę przy ulicy Chłodnej 20. Po tygodniu walk, 7 sierpnia 1944 roku, w związku z planowaną ewakuacją oddziałów powstańczych, ośmioosobowy sztab „Schroniska” podzielił się na dwie grupy: pierwsza z ppłk. Mieczysławem Szumańskim „Burm” na czele, pobrawszy mapy z magazynu, przeszła na ulicę Sienną, a stamtąd na Szczygłą. Grupa Edwarda Rühlego „Zawrata” dotarła do magazynu na ulicy Franciszkańskiej 15.

Dowódca „Schroniska” ppłk „Burm” został ranny, następnie wzięty do niewoli. Więcej szczęścia miał jego zastępca „Zawrat”. Po zbombardowaniu i spaleniu magazynu na Franciszkańskiej, 17 sierpnia dr Rühle przeniósł się na ulicę Brzozową. 1 września wraz z mieszkańcami miasta został zagarnięty przez Niemców i popędzony do obozu pruszkowskiego. Dzięki znajomej lekarce wpisano go na listę ciężko chorych i już 3 września był na wolności. Następnie przedostał się do Krakowa, gdzie nawiązał kontakt z kwatermistrzem okręgu AK w tym mieście, ppłk. Janem Pawłowskim „Cezarym”. Od niego dostał zlecenie przygotowania fotograficznych i ozalidowych odbitek z map w skali 1:100 000 rejonu krakowskiego. Było to ostatnie konspiracyjne zadanie Edwarda Rühlego przed wkroczeniem Sowietów do Krakowa w styczniu 1945 roku.

Działalność Szefostwa Służby Geograficznej jest bez wątpienia jednym z fenomenów Polskiego Państwa Podziemnego, z pewnością zbyt rzadko przywoływanym. A przecież bez map wojsko – nawet najbardziej bitne – jest „ślepe”. ■

JACEK JAWORSKI

Zapomniany aliant

Czescy i słowaccy żołnierze po utworzeniu Protektoratu Czech i Moraw uciekli do Rzeczypospolitej, by u boku Polaków walczyć o niepodległość swojego kraju.

W październiku 1938 roku rozpoczął się szybki rozpad państwa czechosłowackiego. Pierwsi uchodźcy stamtąd pojawili się w Polsce już jesienią 1938 roku, ale główna fala emigracji wojskowej i politycznej ruszyła po 16 marca 1939 roku, czyli po utworzeniu Protektoratu Czech i Moraw. Z faszystowskiej armii słowackiej dezercerowali lotnicy i na swych bojowych samolotach uciekali do Polski. Jednymi z pierwszych, którzy w większej grupie znaleźli się w Rzeczypospolitej, byli żołnierze gen. Lwa Prchali, stacjonujący na Ukrainie Zakarpackiej. W ślad za nimi zaczęli zjawiać się kolejni uchodźcy wojskowi i cywilni. Rząd polski znalazł się wówczas w nadzwyczaj delikatnym położeniu. Początkowo, choć tolerowano napływ imigrantów, to nie chciano z tego powodu popaść w konflikt z Niemcami. Polskie koła wojskowe nalegały jednak na możliwość wykorzystania antyniemieckiego nastawienia Czechów.

Wkrótce po tym, gdy pierwszy czechosłowacki pilot wojskowy wylądował w Krakowie, znaleźli się jego naśladowcy. Początkowo docierały pojedyncze osoby, później uciekinierzy przybywali z rodzinami, wreszcie pojawiały się całe grupy, często bez żadnych dokumentów. Gdy w połowie kwietnia przybyło kilka kluczowych postaci, zabrano się energicznie do organizowania formacji wojskowej w Krakowie, którą przejściowo nazwano Wojskową Organizacją Czechosłowackich Emigrantów. A w ostatnim dniu kwietnia 1939 roku konsul Władimir Znojemský oficjalnie ogłosił powsta-



nie tzw. wojskowej skupiny (VS). Uważała się ona za część narodowej armii czechosłowackiej, będącej w stanie wojny z Niemcami. Na komendanta wyznaczono por. art. Josefa Kaletę, kwatermistrzem został kpt. lotnik Jan Vaselý, a sprawy propagandowo-polityczne prowadził Rudolf Kopecký. Podstawowym założeniem organizacji było przywrócenie granic Czechosłowacji sprzed układu monachijskiego (1938) i aprobowanie czechosłowackiej jedności narodowej. Za przywódcę uznano Edvarda Beneša. Członkami organizacji mogli być tylko Czesi, Słowacy i Ukraińcy z Rusi Przykarpackiej.

Już 5 maja członkowie skupiny rozpoczęli zajęcia teoretyczne i praktyczne, choć panujące warunki materialne były dość trudne. Żołd, jaki wypłacał konsulat, nie wystarczał na zaspokojenie wszystkich potrzeb. Przez kilka tygo-



Już w pierwszych dniach lipca obóz w Bronowicach Małych był zorganizowany na sposób wojskowy, z wartą u bramy wjazdowej, regulaminem obozowym i instrukcją alarmową.



WOJENSKY HISTORICKY ÚSTAV PRAHA

OGÓLNA LICZBA WOJSKOWYCH UCIEKINIERÓW – CZECHÓW I SŁO- WAKÓW, KTÓRZY ZNALEŻLI SIĘ W POLSCE, WYNIOSŁA **3 TYS.**

dni żołnierze musieli utrzymywać się z własnych pieniędzy.

W tym czasie stan zgrupowania wynosił 14 oficerów, 38 podoficerów i szeregowych, ale jego liczebność szybko wzrastała. Skupinie oddano więc do dyspozycji tereny letniego obozu krakowskiej chorągwi Związku Harcer-

stwa Polskiego w Bronowicach Małych pod Krakowem. Na początek można tam było przyjąć 500–600 osób. Już w pierwszych dniach lipca obóz był zorganizowany na sposób wojskowy, z wartą u bramy wjazdowej, przepustkami wyjściowymi, regulaminem obozowym i instrukcją alarmową. Organizowano tam zajęcia taktyczne, wprowadzono przysięgę wojskową oraz podzielono żołnierzy według specjalności.

Zadaniem gen. Prchali było zorganizowanie samodzielnej jednostki czechosłowackiej w Polsce, która wzięłaby udział w działaniach wojennych przeciwko Niemcom. Generał zakładał też, że po rozpoczęciu wojny jego formacja wkroczy na Słowację. Chciał także utworzyć szerszą formację, Korpus Słowiański, w składzie trzech brygad: czechosłowackiej, polskiej i połu-



Ppłk LUDVÍK SVOBODA,
dowódca
zgrupowania
w Bronowicach
Małych i szef
sztabu



Grupa czeskich wolontariuszy
przed konsulem w Krakowie



VOJENSKÝ HISTORICKÝ
ÚSTAV PRAHA

W WOJNIE OBRONNEJ POLSKI LEGION CZECHOSŁOWACKI MIAŁ WZIĄĆ UDZIAŁ JAKO JEDNOSTKA AUTONOMICZNA

dniowosłowiańskiej. Koncepcje polityczne Prchali wykraczały jednak poza ramy polityki rządu emigracyjnego Beneša, który nie akceptował zbyt propolskiego „odchylenia” generała. Najprawdopodobniej z tego też powodu skupiną zaczęli się interesować Anglicy i Francuzi. W rezultacie ponad tysiąc członków tej formacji odpłynęło do Francji na pokładach polskich statków. Transport odbywał się też drogą lądową przez Rumunię na Bliski Wschód. Łącznie Polskę opuściło około 2 tys. żołnierzy i oficerów, w tym 477 lotników. W Bronowicach pozostało około tysiąca osób.

W nocy z 5 na 6 czerwca do Polski przybył ppłk Ludvík Svoboda (od 1968 roku prezydent Czechosłowackiej Republiki Socjalistycznej), który miał zostać faktycznym dowódcą zgrupowania w Bronowicach Małych i szefem sztabu. Tymczasem polskie władze uznały, że jednostka czechosłowacka powinna mieć lepsze warunki do szkolenia bojowego. W połowie sierpnia zdecydowano się przenieść skupinę do wielkiego obozu wojskowego w Leśnej, między Brześciem nad Bugiem a Baranowiczami. Przewieziono tam 632 żołnierzy, a w starym obozie pozostała licząca około 200 ludzi grupa żołnierzy pod dowództwem kpt. Františka Divoký'ego. Jej zadaniem było organizowanie z przybywających ochotników nowych oddziałów i odsyłanie ich w 20-osobowych grupach do nowego miejsca postoju zgrupowania.

U BOKU POLAKÓW

W Leśnej czechosłowackich legionistów zastał 1 września. Polski komendant obozu, a zarazem łącznik z dowództwem polskim ppłk Karol Zborowski, przywitał ich informacją o wybuchu wojny. Wiadomość ta wywołała

u Czechów i Słowaków żywą reakcję, nastąpiła eksplozja radości. 3 września dekretem prezydenta powołano Legion Czechosłowacki. Gen. Prchala przekazał Ignacemu Mościckiemu podziękowania za honor umożliwienia mu walki przy boku braterskiej armii polskiej, a w rozkazie do swych legionistów napisał: „Żołnierze! Przybyliśmy do Polski, aby walczyć wspólnie z armią polską i całym cywilizowanym światem przeciw nieprzyjacielowi, który zatracił moralność, sprawiedliwość i honor”.

Legion Czechosłowacki wszedł w skład Samodzielnej Grupy Operacyjnej „Polesie” pod dowództwem gen. Franciszka Kleeberga. Zachował jednak gwarancję odrębności narodowej. Formalnie stanowił brygadę złożoną z dwóch batalionów piechoty, artylerii i eskadry lotniczej. Faktycznie był jednostką kadrową, na której bazie miały dopiero powstać nowe jednostki czechosłowackie. Legioniści otrzymywali żołd według stawek takich jak w Wojsku Polskim. Czechosłowacki regulamin wojskowy obowiązywał wewnątrz jednostki, a regulamin polski – w czasie współpracy z oddziałami polskimi. Ustawiono czechosłowacką trójkolorową oznakę, która „miała być noszona na czapkach oraz naramiennikach i zdejmowana, gdyby żołnierz Legii padł zabity”.

1 września stan Legionu wynosił 960 żołnierzy. Do tego dnia zgłosiło się w jego szeregi m.in. 13 oficerów lotnictwa, 77 podoficerów lotnictwa, sześciu artylerzystów i czterech żołnierzy z obsługi zenitówek. Ostatecznie w wojnie obronnej Polski w 1939 roku Legion Czechosłowacki miał wziąć udział jako jednostka autonomiczna. Do 11 września żołnierze oczekiwali na zadania. Gdy wreszcie wydano rozkaz ewakuacyjny, transportem kolejowym zostali przerzuceni przez Sarny i Równe w rejon Tarnopola.

Wygląd legionistów budził wówczas wiele zastrzeżeń – niewielu miało mundury armii czechosłowackiej. W piśmie z 30 sierpnia 1939 roku wiceminister spraw wojskowych gen. Janusz Głuchowski nakazywał szefom Departamentu Intendentury Ministerstwa Spraw Wojskowych przydzielenie legionistom tysiąca kompletów polskich mundurów. Czechosłowaccy historycy twierdzą jednak, że legioniści się ich nie doczekali. Relacja naoczego świadka obrony Tarnopola świadczy o tym, że część legionistów była ubrana w jednolite szare kombinezony. Przeważały jednak stroje cywilne.

Wiele do życzenia pozostawiało też uzbrojenie: cztery ckm-y, dziewięć lkm-ów i tylko 24 karabiny bojowe z tysiącem sztuk amunicji. Prawdopodobnie w końcowym okresie wzmocniono je działkami przeciwlotniczymi. Legion miał też kilka samochodów sprowadzonych przez gen. Prchalę z warszawskich magazynów Škody.

OBRONA TARNOPOLA

13 września Legion dotarł nad rzekę Seret w rejonie Tarnopola. Ppłk Zborowski i mjr Henryk Smotrecki uzgodnili z ppłk. Svobodą, że czechosłowackie pododdziały broni ciężkiej obejmą samodzielny odcinek obrony przeciwlotniczej tego miejsca. Legioniści bronili Tarnopola, ustawiając stanowiska ogniowe na dachach kilku wyższych budynków. Odcięty od wiadomości z frontu, bombardowany z powietrza, otoczony wroga atmosferą miejscowej ludności ukraińskiej, sojuszniczy Legion bronił także wsi i małej stacji kolejowej Hłobuczek Wielki.

Legioniści spotykali się natomiast z wyrazami sympatii ze strony ludności polskiej, która uważała ich za obrońców. Niebezzasadnie. Koło Złoczowa, 13 września, ich pluton ckm-ów przepędził dziewięć dornierów. 15 września w Hłobuczku trzy dorniere bombardowały i ostrzeliwały czechosłowackie pojazdy. Ckm-y legionistów straciły jeden, a może nawet dwa bombowce. Jednak i oni ponieśli straty. Było kilkunastu rannych, zginął aspirant Vítězslav Gründbaum, zmarł od ran żołnierz J. Peipler. Ironią losu był fakt, że ponieśli oni śmierć od ognia, wspierających Niemców, samolotów słowackich. Rannych żołnierzy ratowali lekarze Mahler, Kadiček i Blitz.

Po sukcesach nastąpiły chwile nerwowego wyczekiwania na rozwój wypadków. Front się przybliżał, grożąc żołnierzom skupiny zagarnięciem przez wojska niemieckie. W Tarnopolu ppłk Svoboda i polski komendant obozu ppłk Zborowski odbyli ostatnie spotkanie. Podpisali dokument stwierdzający, że „stosunek zależności między Legionem a Wojskiem Polskim został rozwiązany”. Oddział polski udał się na południe, na Węgry. Legion Czechosłowacki pozostał natomiast w Hłobuczku aż do 17 września. Wtedy ppłk Svoboda skierował go na połu-

dnie i pod Horodyszczem nawiązał kontakt z dowództwem radzieckim.

Decyzja ta może wydawać się kontrowersyjna. Legion mógł przecież przejść granicę węgierską lub rumuńską. Nie należy zapominać jednak o całości ówczesnych stosunków czechosłowacko-radzieckich (tak różniących się od polsko-radzieckich), które mogły skłonić dowódcę do oddania się w ręce Armii Czerwonej. W sytuacji gdy przechwycono relację rozgłośni niemieckiej, w której mówiło się o Legionie Czechosłowackim jako o zgrai zdrajców, uciekinierów z Protektoratu, Rumunia przestała być bezpiecznym azylem dla jego żołnierzy.

Legion został internowany w Kamieńcu Podolskim. Część żołnierzy z por. Bohumírem Lomským spod Tarnopola trafiło do Czeskiego Kvasilowa – osady kolonistów czeskich na Ukrainie. Większość z nich została jednak w 1940 roku ewakuowana na Zachód, po tym jak rząd ZSRR wyraził zgodę na ich wyjazd. W Związku Radzieckim pozostało 93 ludzi (w tym 25 oficerów i 50 podoficerów). Grupa ta stała się później załącznikiem 1 Korpusu Czechosłowackiego dowodzonego przez gen. Ludwika Svobodę.

FORMACJE LOTNICZE

Jeszcze inaczej ułożyły się wojenne losy 190 czeskich i słowackich lotników zgromadzonych w tzw. wojskowej skupinie w Polsce. Do polskiego lotnictwa wcielono 93 i utworzono z nich dwie jednostki: Czechosłowacką Eskadrę Rozpoznawczą z kpt. Bohumilem Lišką i Pluton Rozpoznawczy z por. Zbigniewem Osuchowskim. Obie formacje, rozmieszczone w Dęblinie i Puławach, wykonywały zadania na potrzeby polskiego sztabu. Eskadra kpt. Liški liczyła około 60 członków personelu, dysponujących 11 samolotami Potez XXV i RWD-8. Zaslugą czechosłowackich lotników było m.in. przewiezienie do Rumunii gen. Stefana Strzebińskiego z jego sztabem. Z nieuzbrojonymi samolotami nie mogli jednak aktywnie uczestniczyć w akcjach bojowych, ale ich brawurowe poczynania wzbudziły podziw u polskiego dowództwa.

Lotnicy czechosłowaccy wykonali łącznie około 400 lotów w czasie ogólnym 1500 godzin. Nie obyło się jednak bez strat – zginęło ośmiu pilotów, a dwóch zostało rannych. Część lotników z Bronowic, po bezskutecznych poszukiwaniach Legionu, przeszła do Rumunii, skąd przez Bejrut dotarła do Francji. Inni, rozrzućeni na Wołyniu, dotarli na Zachód dopiero w 1940 roku. W składzie polskich formacji lotniczych walczyli do czasu utworzenia własnych sił powietrznych. ■

JACEK JAWORSKI jest wiceprezesem Klubu Miłośników Dawnych Militariów Polskich i redaktorem naczelnym czasopisma „Militaria”.

WSZYSTKICH NIE ODNAJDZIEMY NIGDY

Z Krzysztofem Szwagrzykiem

**o trudnych poszukiwaniach i grobach do odkrycia rozmawia
Małgorzata Schwarzgruber.**

Od kilkunastu lat szuka Pan miejsc pochówku ofiar terroru komunistycznego z lat 1944–1956. Z jakim skutkiem?

Prace prowadzimy od 2003 roku w różnych miejscach w kraju. Efektem jest odnalezienie szczątków ponad 700 osób i identyfikacja kilkudziesięciu z nich, m.in. „Zapory”, „Inki”, „Łupaszk”. Nasze poszukiwania wymagają długich przygotowań i udziału specjalistów z różnych dziedzin, więc nie mają charakteru masowego. Dzięki nowelizacji ustawy, IPN zyskał większe kompetencje. Tworzymy Biuro Poszukiwań i Identyfikacji, które będzie się składało z kilku wydziałów: archeologicznego, logistyki, dokumentacji i analiz, bazy genetyki. Będzie liczyło kilkadziesiąt osób, prowadzących prace poszukiwawcze i ekshumacyjne na terenie kraju oraz za granicą. Przed nami nowe otwarcie, odnajdziemy kolejnych bohaterów. Nie mam wątpliwości, że to tylko kwestia czasu.

Został Pan wiceprezesem IPN-u. Czy ta funkcja ułatwi poszukiwania?

Stanowisko wiceprezesa IPN-u to dla mnie nobilitacja, ale i wyzwanie. Będę je łączył ze stanowiskiem dyrektora Biura Poszukiwań i Identyfikacji. Uważam, że poszukiwania powinny być prowadzone na szerszą skalę, co pokaże, że polskie państwo jest zainteresowane wyjaśnieniem tych tragicznych wątków naszej najnowszej historii.

Nie odnaleziono jeszcze Witolda Pileckiego, Łukasza Cieplińskiego, Augusta Fieldorfa i wielu innych żołnierzy.

W Biurze Poszukiwań i Identyfikacji będzie pracowało kilkunastu archeologów, co pozwoli na prowadzenie prac w kilku miejscach jednocześnie. Od początku było dla mnie jasne, że skala naszych działań jest nie-

wystarczająca. Dziś możemy to zmienić. Najważniejsze jest dokończenie prac na Łączce. Chcemy, aby trzeci etap ruszył tam jak najszybciej. Na razie trwa przenoszenie grobów zbudowanych w tym miejscu, gdzie były grzebane osoby zamordowane przez komunistów. Jeśli te prace zakończą się jesienią, to wiosną 2017 roku wejdziemy ponownie na Łączkę.

Jakie są priorytety poszukiwań w tym roku?

Planujemy przebadать miejsca pochówku ofiar w Chełmnie oraz na cmentarzu w Lublinie przy ulicy Unickiej. Będziemy kontynuowali prace na polanie śmierci w Barucie na Opolszczyźnie oraz chcemy zakończyć opracowanie dokumentacji na temat Cmentarza Bródzińskiego w Warszawie. W dalszej kolejności zamierzamy podjąć prace na nekropoliach w Kielcach, tzw. kieleckiej Łączce, oraz w Bydgoszczy przy ulicy Keyńskiej.

Kiedy planuje Pan powrót na ulicę Wałbrzyską w Warszawie? Podobno pochowano tam nawet tysiąc osób.

Jako miejsce pochówku zamordowanych cmentarz na Wałbrzyskiej został wytypowany m.in. na podstawie fotografii lotniczej z 1947 roku, pochodzącej ze zbiorów Centralnego Archiwum Wojskowego. Potajemnie chowano na tej nekropoli w latach 1946–1948 więźniów zabitych w warszawskich aresztach. W latach późniejszych ta kwatery została przeznaczona do ponownych pochówków ludzi niezwiązanych z systemem komunistycznym – także powstańców warszawskich, żołnierzy AK, zwykłych obywateli. Musimy dokonać czasowej ekshumacji tych osób, na dzień czy dwa, abyśmy mogli wydobyć znajdujące się głębiej szczątki ofiar komunizmu. To trudne zadanie, wymagające tygodni przygotowań. Nie wrócimy tam w tym roku. →

JAROSŁAW WIŚNIEWSKI

Kiedy przystępujemy do prac archeologicznych, dużo wiemy o osobach, których poszukujemy, oraz o okolicznościach ich śmierci

Czyte szczątki spodziewa się Pan tam znaleźć?

Nikt nie wie, kto został tam pochowany. Jedni twierdzą, że rotmistrz Pilecki, inni – że gen. Fiedorf, w co osobiście wątpię, ale dopóki nie przebadamy tych miejsc, tego nie stwierdzimy. Wiemy, że na Wałbrzyskiej pochówki odbywały się do wiosny 1948 roku, a potem więźniów zamordowanych na Rakowieckiej grzebano na Łąccze. Mamy jednak relację księdza, że jeszcze w czerwcu 1948 roku przywieziono tam ciało żołnierza podziemia niepodległościowego.

Wspomniał Pan o poszukiwaniach za granicą. Gdzie?

Nasza historia to także dzieje Kresów, które dziś znajdują się na terenie Litwy, Białorusi i Ukrainy. Wszędzie tam ginęli Polacy, więc powinniśmy prowadzić prace mające na celu zlokalizowanie miejsc, gdzie byli oni ofiarami Niemców, Ukraińców czy Sowietów. Czekają nas trudne rozmowy z władzami tych państw. Będziemy szukać płaszczyzny porozumienia, bo np. prawo Białorusi nie dopuszcza prowadzenia takich prac przez podmioty zagraniczne. W tym kraju wykonuje je specjalna jednostka wojskowa. Poza tym przed właściwymi poszukiwaniami trzeba wykonać badania naukowe.

Skąd macie informacje, gdzie szukać? Z archiwów UB? Od indywidualnych osób?

Archiwa bezpieki nie są przydatne, bo nie dokumentowano w nich miejsc pochówku. Wiedzę czerpiemy z relacji ludzi, którzy byli świadkami grzebania więźniów albo o tym słyszeli. Cennym źródłem są informacje od księży, którzy w latach czterdziestych mogli uczestniczyć w egzekucjach. Korzystamy też ze starych map i zdjęć, m.in. lotniczych.

Jak udało się odnaleźć grób „Inki”, czyli Danuty Siedzikówny, sanitariuszki 5 Wileńskiej Brygady AK?

Szukaliśmy na dwóch największych gdańskich cmentarzach: przy ulicy Kurkowej i garnizonowym. Mielismy dokument z września 1946 roku, w którym naczelnik więzienia przy Kurkowej napisał do wdowy po Feliksie Selmanowiczu „Zagończyku” (zginął razem z „Inką”), że zwłoki jej męża zostały pogrzebane na cmentarzu garnizonowym i podał numer kwatery. Zestawiliśmy informacje: wiedzieliśmy, że w kwaterze 14. zostali po-

grzebani trzej więźniowie, m.in. por. Adam Dedio, stracony w 1947 roku, oraz że 40 numerów wcześniej pogrzebano „Zagończyka”. Zleciliśmy wykonanie prac georadarowych. Firma, która je przeprowadziła, przedstawiła nam raport i wynikało z niego, że na zbadanym obszarze nie było żadnych pochówków. Przeczucie oraz krytyczne podejście do źródeł sprawiły, że nie uwierzyłem tej ekspertyzie. Podczas prac na tym terenie w latach 2014–2015 znaleźliśmy kilkadziesiąt szczątków ludzkich, pogrzebanych w płytkich dołach,

na głębokości 50 cm. Były wśród nich osoby pochowane na początku XX wieku oraz kilka urn sprzed II wojny światowej. „Inkę” znaleźliśmy trzeciego dnia. Leżała w jednym dole z Feliksem Selmanowiczem „Zagończykiem”, częściowo pod trawą, częściowo pod chodnikiem, na głębokości 49 cm. Już na etapie odstonięcia dołu mówiliśmy między sobą, że to „Inka” i „Zagończyk”. Pamiętam swoje ówczesne zapiski: to kobieta, bardzo młoda, zachowały się damskie buciki na maleńkim koturnie.

Skąd wiedzieliście, że to „Inka”?

Kiedy przystępujemy do prac archeologicznych, dużo wiemy o osobach, których poszukujemy, oraz o okolicznościach ich śmierci. Wiedzieliśmy, że „Inka” była jedyną kobietą zastrzeloną w gdańskim więzieniu. Zginęła w egzekucji razem z „Zagończykiem”, a w jednym dole znajdowały się dwie skrzynie. Ona miała przestrzeloną głowę, a on praktycznie nie miał klatki piersiowej. Wiemy z relacji ks. Mariana Prusaka obecnego podczas egzekucji, że żaden z członków plutonu nie odważył się strzelić do „Inki”, wszyscy strzelali do „Zagończyka”. Zgadzał się młody wiek kobiety – nasz medyk znalazł u niej ząb mleczny. Dopiero potem zostały przeprowadzone badania genetyczne, które potwierdziły nasze przypuszczenia.

Jak długo potrwać jeszcze poszukiwania?

Zapewne wiele lat. Mówimy przecież nie tylko o zbrodniach komunistycznych, ale też o dokonanych przez Niemców, Sowietów czy Ukraińców. Wszystkich szczątków nie odnajdziemy nigdy. ■

KRZYSZTOF SZWAGRZYK jest wiceprezesem Instytutu Pamięci Narodowej oraz dyrektorem Biura ds. Poszukiwań i Identyfikacji IPN.

**IV MIĘDZYNARODOWA
KONFERENCJA I WYSTAWA**

**CYBER SECURITY:
BEZPIECZEŃSTWO PONAD GRANICAMI**



**17 listopada 2016
Warszawa**

www.cyber.ztw.pl



ANNA DĄBROWSKA

Zbrojne ramię armii

**Dziś motor to równoprawny towarzysz
bojowy żołnierza.**

Wojnę nowoczesną charakteryzuje zaangażowanie ogromnej ilości środków technicznych oraz materiałów wojennych, a tendencje w tym względzie wybiegają daleko w przyszłość poza doświadczenia wojny światowej”, tłumaczył minister spraw wojskowych Władysław Sikorski w 1924 roku na łamach „Polski Zbrojnej”.

KOŃ DO ŁAMUSA

Jak argumentował, tym większą uwagę musi zwrócić nasz kraj na rozwój tej techniki w Polsce, by nie stać się łupem sąsiadów stojących wyżej w tej dziedzinie od nas. Kpt. Bartosz Nawijski podkreślał zaś, że koncepcja narodu uzbrojonego nie jest nawoływaniem do militarystyki. „Bo nie może być o nim mowy, gdy chodzi o zorganizowanie obrony wojskowej na wypadek napadu ze strony wroga usposobionych sąsiadów”.

Kilka lat później na łamach wojskowej gazety dziennikarz wieszczył schyłek kawalerii. „Rozwój środków ogniowych uniemożliwił błyskotliwe rycerskie ataki konne na nieprzyjaciela. Dzisiejsza kawa-

leria ograniczać się więc musi do roli konnej piechoty i do osłony własnych dział”, pisał w 1930 roku.

Jak dodawał publicysta, koń, niegdyś niezbędny towarzysz żołnierza, odchodzi zdystansowany przez motor, ponieważ każdy rok i każde nowe ulepszenie przybliżają nas do chwili, gdy walka bez posiadania komunikacji motorowej będzie niemożliwa. „Wojna 1914 roku zastała motor jako dodatkowy środek lokomocji, ale już niedługo potem zaczął on służyć do szybkiego przetrzutu wojsk czy zapewniał łączność dla wywiadu i dziś motor to równoprawny towarzysz bojowy”.

Przed wszystkim jednak międzywojenna prasa była pełna dyskusji nad rodzajem uzbrojenia, które powinniśmy mieć w naszej armii. Płk Witold Rudnicki skupił się na rozważaniu o naszym samochodzie pancernym. „Musi być uniezależniony od dróg, posiadać zdolność posuwania się w terenie z prędkością 30 km na godzinę, mieć możliwość przebywania o własnych siłach w odległości do 200 km bez konieczności posługiwania się koleją żelazną”.

Jak wyliczał oficer, samochód powinien mieć opancerzenie grubości co najmniej 12 mm, być uzbrojony

w dwa karabiny maszynowe lub jeden karabin i armatkę kalibru 37–60 mm, mieścić w sobie załogę składającą się z czterech osób. „Prędkość do 30 km na godzinę to minimum wystarczające, aby wóz mógł współdziałać z jazdą”, dodawał pułkownik.

Z kolei dla lotnictwa szturmowego potrzebny jest szybki płatowiec osiągający do 200 km/h, dzięki czemu podczas ataku będzie mógł zaskoczyć przeciwnika. Pisał o tym kpt. Bohdan Jałowiecki. „Dół i boki kadłuba oraz silnik i zbiorniki paliwa w maszynie powinny być opancerzone. Pancierz wykonany w kształcie waniek ze stali hartowanej grubości 6–10 mm. Uzbrojenie płatowca szturmowego to 3–4 karabiny maszynowe oraz małe armatki 37–75 mm”, czytamy w dzienniku.

USPRAWNIANIE SZKOLENIA

Po wojnie głównym tematem związanym z uzbrojeniem były pomysły racjonalizatorskie żołnierzy, które, jak pisano w „Żołnierzu Wolności”, miały usprawnić szkolenie i obsługę sprzętu. „Oficer Krawulec opracował usprawnienie działania rękawa radiolokacyjnego. Pod paski wzmacniające rękaw wszyl paski cynfolii”, informowano w gazecie w 1954 roku. Jak tłumaczył reporter, dzięki temu teraz strzelania do rękawa mogą się odbywać w trudnych warunkach, nawet we mgle czy w nocy. „Promienie urządzenia radarowego artylerii odbijają się od części metalowych samolotu i wracając z powrotem na okręt, określają położenie celu w powietrzu. Kiedy za samolotem posuwał się rękaw imitujący cel, nie było go widać na radarach. Teraz paski cynfolii również odbijają promienie radarowe i artylerzyści śmiało mierzą do celu i niezawodnie trafiają go pociskami”.

Nie brakowało też innych usprawnień na miarę tamtych czasów. „Telewizor Rubin-102 został umieszczony na stanowisku dowodzenia jednego z czołgowisk. Na ekranie widać jak na dłoni każdy szczegół pokonywania przeszkód przez pojazdy. Dyspozytor może uważnie śledzić każdy ruch, kierując odpowiednimi kamerami telewizyjnymi umieszczonymi na specjalnych stanowiskach. W ten sposób telewizja pozwala prowadzącemu zajęcia prawidłowo ocenić pracę kierowców, a drogą radiową może im on przekazać swoje uwagi i spostrzeżenia”, opisywano w 1960 roku w dzienniku.

W 1986 roku mjr Czesław Marcinkowski poświęcił artykuł raketowemu pociskom przeciwpancernym. „Broń taka drugiej generacji wyposażona jest w półautomatyczny system kierowania lotem. Dzięki temu operator musi tylko śledzić cel w celowniku optycznym lub na podczerwień”. Jak jednak zauważał major,

ciągłe śledzenie celu nie zawsze jest wykonalne w warunkach pola walki. „Aby wyeliminować ten mankament, kończą się próby poligonowe nowych pocisków trzeciej generacji, w których obowiązuje zasada: wystrzeliłeś – zapomnij. Przykładem takiego uzbrojenia jest Hellfire wprowadzany do wyposażenia wojsk USA”.

WYMIENNE LUFY

Choć pisano o zachodnich pomysłach zbrojenio- wych, to w naszej armii królował jeszcze długo sprzęt poradziecki. „61 Skwirczyńska Brygada Przeciwlotnicza dzięki posiadaniu zestawu raketowego średniego zasięgu Krug zajmuje ważne miejsce w systemie obrony przeciwlotniczej”, czytamy w 1999 roku w tygodniku. Jak podawano, zestaw umieszczony na podwoziu gąsienicowym może się przemieszczać o własnych siłach, a zamontowana na pojazdach aparatura orientowania i tzw. dowiązywania topograficznego określa położenie w czasie postoju i jazdy. „Każdy dywizjon rakiet Krug może jednocześnie zniszczyć trzy cele poruszające się z prędkością do 900 m/s i na wysokości do 24 kilometrów. Dywizjon uzbrojony w rakiety Nawa czy Wołoch – zaledwie jeden. Dodatkowo w ciągu pięciu minut od strzelania Krug jest gotowy do zajęcia nowego stanowiska ogniowego”, zachwalał broń dowódca brygady płk Michał Jackiewicz.

W 2012 roku Tadeusz Wróbel informował o powstaniu prototypu karabinka podstawowego MSBS-5,56. „Eksperci z Fabryki Broni »Łucznik« – Radom z konstruktorami z Wojskowej Akademii Technicznej starali się zmniejszyć masę broni. Dlatego komorę zamkową wykonano z aluminium, a komorę spustową z magnezu. Z podwieszonym granatnikiem broń waży około 5 kilogramów”. Jak dodawał dziennikarz, inne zalety karabinka to zdublowane manipulatory, które ułatwiają posługiwanie się nim przez osoby leworęczne. „Łatwo wymienne lufy o kilku długościach pozwalają dostosować broń do warunków prowadzenia walki, na przykład zamontować krótką lufę do działań w terenie miejskim”.

„Polska Zbrojna” nie zapominała też o potrzebach marynarki wojennej. „Orkan», »Piorun« i »Grom« wkrótce zostaną uzbrojone w rakiety. Po przebrojeniu jeden raketowiec będzie w stanie wypełnić zadania całej grupy starszych jednostek, przenosić na pokładzie osiem inteligentnych rakiet dalekiego zasięgu, a nowoczesne radary i systemy dowodzenia pozwolą szybko wykrywać i identyfikować wrogie cele”.

JAKUB NAWROCKI

Bateria śmierci

Walki pod Dytiatynem, obok starcia pod Zadwórzem, uchodzą za polskie Termopile wojny polsko-bolszewickiej 1920 roku.



Polskie wojsko, po zwycięskiej kontrofensywie znad Wieprza, wygranej Bitwie Warszawskiej i odparciu na całej długości frontu hord bolszewickich, we wrześniu 1920 roku parło w kierunku wschodnim. Choć Polacy odnieśli ogromny sukces militarny, armia sowiecka nie została ostatecznie pokonana – w szczególności na południowym odcinku frontu. Tam, pomimo przegranej przez Armię Czerwoną bitwie kawaleryjskiej pod Komarowem, część związków taktycznych Konarmii Budionnego zachowała zdolność bojową. Formacja ta wciąż stanowiła poważne zagrożenie dla nacierających polskich żołnierzy.

W połowie września 1920 roku w kierunku Galicji Wschodniej ruszyła pod dowództwem gen. Roberta

Lamezana-Salinsa i gen. Stanisława Hallera wielka ofensywa 6 Armii Wojska Polskiego. Wspierały ją formacje sojusznicznych wojsk Ukraińskiej Republiki Ludowej. 8 Dywizja Piechoty płk. Stanisława Burhardta-Buckackiego przypuściła atak znad Dniestru w celu odciążenia Sowiecom drogi na Tarnopol.

NA WZGÓRZU 385

Oddziały polskie posuwały się traktem przez Chochoniów w kierunku Podhajec. 16 września 1920 roku tą drogą posuwały się jednostki 13 Pułku Piechoty „Dzieci Krakowa”, 1 Pułk Artylerii Górskiej, 8 Pułk Artylerii Polowej, z zamiarem dołączenia do macierzystej dywizji, oraz oddziały ukraińskiej Samodzielnej Dywizji Kawalerii gen. Iwana Omelianowicza-Pawlenki.

PAMIĘĆ I TRADYCJA

Jerzy Kossak w 1929 roku namalował tryptyk „**Bitwa pod Dytyatynem**”, który znalazł się również na znaczkach pocztowych. Dzień bitwy został obrany na święto 1 Pułku Artylerii Górskiej, później przemianowanej na 1 Pułk Artylerii Motorowej. W 1925 roku powstał komitet obywatelski, którego celem było wybudowanie cmentarza wojennego w miejscu już istniejącego i kaplicy cmentarnej na wzgórzu 385. Uroczyste otwarcie i poświęcenie cmentarza w Dytyatynie nastąpiło 21 września 1930 roku w obecności władz i wojska. Przez całe dwudziestolecie międzywojenne 3 maja i 16 września odbywały się uroczyste obchody z udziałem miejscowej ludności,

młodzieży szkolnej, żołnierzy okolicznych garnizonów i władz ówczesnego województwa stanisławowskiego.

W czasie II wojny światowej Polskie Siły Zbrojne na Zachodzie kultywowały tradycję żołnierzy spod Dytyatyna. Artylerzyści z 4 Baterii Pułku Artylerii Motorowej 1 Dywizji Pancernej gen. Maczka nosili na prawym ramieniu symbol Baterii Śmierci – trupa z główką na tle czarnego trójkąta. Cmentarz i kaplica żołnierzy przetrwały zawieruchę II wojny światowej. Niestety w 1947 roku władze radzieckie zburzyły świątynię i zniszczyły miejsce pochówku. Przez wiele powojennych lat był tam jedynie krzyż postawiony przez miejscową ludność.

Dopiero na początku XXI wieku powstał pomysł odbudowania cmentarza wojennego. 19 września 2015 roku w asyście delegacji polskiej, władz ukraińskich, kompanii honorowej Wojska Polskiego i miejscowej ludności miało miejsce ponowne otwarcie odbudowanego cmentarza wojennego w Dytyatynie. Na jego grobach widnieją nazwiska wszystkich zidentyfikowanych żołnierzy 4 Baterii Śmierci 1 Pułku Artylerii Górskiej. 16 września jest świętem Dywizjonu Artylerii Samobieżnej z 10 Brygady Kawalerii Pancernej ze Świątoszowa, która kultywuje tradycje swoich bohaterskich poprzedników. ■



**KAPLICA
ŚW. TERESY,
DYTIATYN.**
Uroczystości
przy kaplicy
wzniesionej
na mogile poległych w walkach
1920 roku

Na wysokości wsi Dytyatyn polscy żołnierze niespodziewanie zostali ostrzelani przez znajdujących się na pobliskim wzgórzu bolszewików. Piechota i artylerzyści błyskawicznie przeszli do kontrofensywy i wyparli żołnierzy Armii Czerwonej ze wzgórza, które na mapach było oznaczone liczbą 385 – wskazującą jego wysokość. Po zajęciu wzniesienia dowódca 13 Pułku Piechoty kpt. Jan Gabryś wysłał zwiad konny, aby rozpoznał sytuację w okolicy. Ten bardzo szybko powrócił z wiadomością, że w stronę Polaków maszerują ogromne masy jazdy i piechoty bolszewickiej. Po chwili oczom kapitana ukazały się oddziały grupy Jony Jakira, które zamierzały zaatakować polską dywizję i sojuszników ukraińskich od tyłu.

Dowódca 13 Pułku rozkazał piechocie natychmiast zająć pozycje na wzgórzu 385 i ogniem artylerii 4 Baterii 1 Pułku Artylerii Górskiej i 7 Baterii 8 Pułku Artylerii Polowej atakować sowieckie kolumny. Siły pol-

skie liczyły około 600 żołnierzy, cztery działa, dwie haubice i siedem ciężkich karabinów maszynowych. Bitwa rozpoczęła się przed dziewiątą rano i trwała nieustannie przez kilka godzin. Przeciwnikiem okazała się elitarna 8 Dywizja Kawalerii Witalija Primakowa wspierana przez 123 Brygadę Strzelców – łącznie w sile kilku tysięcy szabel i bagnatów.

Do godziny 15 kozacy przypuścili cztery frontalne natarcia na pozycje polskie i za każdym razem zostali odparci. Cały czas trwała wymiana ognia między polską a bolszewicką artylerią. Kpt. Gabryś widział, jak bardzo żołnierze są wyczerpani i że kończy im się amunicja karabinowa i artyleryjska, więc postanowił wycofać swoich ludzi ze wzgórza. W tym czasie pozostawała tam 4 Bateria Artylerii Górskiej wraz z nieliczną osłaniającą ją piechotą z 9 Kompanii 13 Pułku Piechoty i częścią artylerii polowej. Polakom, wciąż znajdującym się na



W BITWIE POD WSIĄ DYTIATYN ŚMIERĆ PONIOSŁO OKOŁO 240 ŻOŁNIERZY WOJSKA POLSKIEGO. NIGDY NIE UDAŁO SIĘ USTALIĆ LICZBY POLEGŁYCH BOLSZEWIKÓW, ALE MUSIAŁA ONA BYĆ OGROMNA

wzgórzu, udało się naprawić ostatnie dwie haubice górskie kalibru 100 mm wzór 16 produkcji austriackiej i ostudzić przegrzane do czerwoności karabiny maszynowe. W trakcie odwrotu Sowieci przeprowadzili piąty tego dnia szturm na pozycje polskie.

KRAWY SZANIEC

Bolszewicy w trakcie ataku zdołali okrążyć i podejść Polaków na kilkanaście metrów. Kozacy widzieli, że żołnierze polscy są u kresu sił, a ich zapasy – na wyczerpaniu. Zaczęli więc nawoływać, żeby się poddali. Dowódca polskiej baterii kpt. Adam Zając miał wtedy wydać swoim żołnierzom rozkaz śmierci: „Nasze skrwawienie uratuje 8 Dywizję! Walczyć do ostatniej kropli krwi!”. Gdy odparto pięć ataków na pozycje Polaków, żołnierze myśleli, że zostali ocaleni. Niestety, kozacy, nie zmieniając pozycji, kilkanaście metrów od stanowiska baterii przegrupowali się i przeprowadzili finalny, szósty atak na polskie oddziały. Na ich szarżę odpowiedziały już tylko pojedyncze wystrzały karabinowe, a artyleria całkowicie zamilkła. Polacy bronili się już jedynie za pomocą bagnetów i kolb karabinowych. Któryś z żołnierzy 13 Pułku Piechoty widział kpt. Adama Zająca oraz por. Franciszka Wątrobę, którzy do końca walczyli okrążeni ze swoimi żołnierzami i ostrzeliwani z pistoletów wdzierających się na pozycje baterii bolszewickich kawalerzystów.

Na wzgórzu zginęła cała, 59-osobowa obsługa 4 Baterii 1 Pułku Artylerii Górskiej wraz z dowódcą i prawie wszyscy żołnierze. Rozwścieczeni tak długotrwałym oporem kozacy i czerwonoarmiści dobijali rannych. 16 wziętych do niewoli Polaków rozebrali i związali. Następnie ustawili w szeregu i na bezbronnych, rannych polskich żołnierzach wykonali szarżę, rąbiąc ich szablami.

W całej bitwie pod wsią Dytiatyn śmierć poniosło około 240 żołnierzy Wojska Polskiego. Nigdy nie udało się ustalić liczby poległych bolszewików, ale musiała ona być ogromna. Męstwo polskiej grupy ar-

tylerzystów uratowało polską i ukraińską dywizję, które zaalarmowane przygotowały się na spotkanie z bolszewicką kawalerią.

LEGENDA DYTIATYNA

Następnego dnia miejscowej ludności ukazał się zastraszający widok. Ciała polskich żołnierzy leżały na polu bitwy, a znaczna ich część była zbezczeszczona i ograbiona. Miejscowi Polacy i Ukraińcy na wzgórzu 385 pochowali ciała bohaterskich żołnierzy. Męstwo artylerzystów dostrzegł sam dowódca 8 Dywizji Piechoty, płk Burhardt-Buckacki. W rozkazie nr 121/20 pisał: „Dnia 16 września 1920 roku w czasie marszu 8 Dywizji Piechoty na Podhajce, zo-

stała 4-a bateria 1 Pułku Artylerii Górskiej napadnięta zniemacka przez nieprzyjaciela pod Dytiatynem. W bitwie tam stoczonej zginęła cała bateria, otoczona przez bolszewicką piechotę i kozaków. W myśl rozkazu swego dowódcy, kapitana Zająca, »bronić się do ostatniej kropli krwi«, wytrwali wszyscy, tak żołnierze, jak i oficerowie mężnie na swoich stanowiskach, poświęcając raczej swe życie niż działa i honor Żołnierza Polskiego. Bohaterom tym Cześć! Męstwo ich i nieustraszona odwaga niech zapalą w nas ten wielki ogień Miłości Ojczyzny, który oby prowadził wszystkich śladami takich bohaterów. Na dowód też uznania tego męstwa i poświęcenia przedstawiono baterię 4 1 Pułku Artylerji Górskiej, jako »baterię śmierci« do Krzyża Virtuti Militari”.

Marszałek Józef Piłsudski nadał pośmiertnie 17 artylerzystom Srebrny Krzyż Orderu Wojennego Virtuti Militari, a 11 oficerom i 41 szeregowym Krzyż Walecznych. Jednocześnie nadał 4 Baterii prawo noszenia tytułu – „Baterii Śmierci”. Legenda polskich żołnierzy walczących pod Dytiatynem stała się, tak jak bitwy pod lwowskim Zadwórzem, bardzo popularna i rozpowszechniana w okresie II Rzeczypospolitej. Szczątki jednego z poległych tam żołnierzy zostały wytypowane do umieszczenia – po losowaniu i wyborze – w powstającym Grobie Nieznanego Żołnierza w Warszawie. Data i miejsce tej bitwy zostały uwiecznione na jego kolumnach. ■

WŁODZIMIERZ
KALETA

Konsekwencje jednego wystrzału



Jarosław M. odszedł z wojska w stopniu kaprała. Do dziś męczy go jednak wspomnienia wydarzeń sprzed ponad 20 lat. Służył wtedy w jednostce na Pomorzu, którą w obecnej nomenklaturze nazywano by logistyczną. Tak jak większości żołnierzy z poboru, czas służby wypełniały mu warty oraz sprzątanie rejonów. Do czasu. Któregoś dnia przyjechała do jednostki komisja. Kompania Jarosława M. została wyznaczona do przeprowadzenia strzelania. Okazało się, że z kałacha właśnie on uzyskał najlepszy wynik. Dwa dni później szef sztabu z przedstawicielem komisji, zastępcą dowódcy ds. ogniowych oraz dowódcą batalionu ponownie zawieźli go na strzelnicę. Miał teraz strzelać z karabinu wyborowego SWD, „kija”, jak go nazywali żołnierze. Pociski trafiły w lewy dół od dziesiątki, ale oficer ogniowy wprowadził odpowiednią korektę w celowniku i strzelania zachwyciły wszystkich. Jarosław M. szybko doszedł do takiej wprawy, że z odległości kilkuset metrów trafiał w pięcioletówkę.

Został strzelcem wyborowym. Ponieważ w tym czasie wydzielony komponent polskich żołnierzy był częścią oenztowskich sił pokojowych na terytorium byłej Jugosławii, głównie w Chorwacji, tam też, po podpisaniu zgody, Jarosław M. został wysłany. Gwałtowne redukcje w armii w tym czasie spowodowały, że na misje wyjeżdżali nie tylko żołnierze zawodowi, ale także nadterminowi, a nawet z poboru.

Jarosław M., wówczas już starszy szeregowy, brał udział w wielu patrolach w niewielkich miasteczkach i wsiach. Któregoś dnia wpadli w zasadzkę. Żołnierze zdążyli się ukryć przed ogniem. Przez celownik dostrzegł, jak jeden z napastników wyskoczył z budynku i, nie przerywając ognia, próbował poderwać kompanów do ataku. Jarosław M. wystrzelił. I nagle zapadła cisza. Na przedpolu trafiony napastnik miotał się w konwulsjach. Reszta jego kompanów uciekła. Starszy szeregowy przez dłuższą chwilę nie mógł oderwać celownika od zabitego. Patrol skończył się bez strat własnych. Były gratulacje, poklepywanie po plecach. Jarosław M. uśmiechał się, ale tak naprawdę widok trafionego zaczął go prześladować po nocach. Tak jest do dziś. Dopiero po wielu latach dowiedział się, że stres pola walki został uznany za chorobę. Za jego czasów był równoznaczny z tchórzstwem. Może rzeczywiście się przestraszył. Ten jeden strzał spowodował, że żołnierz pożegnał się z mundurem, rezygnując ze służby nadterminowej, która wówczas była marzeniem wielu poborowych.



Ppłk w st. spocz. WŁODZIMIERZ KALETA służył
w 7 Łużyckiej Dywizji Desantowej.

Okręty i statki będą miały w przyszłości niebezpiecznego przeciwnika – lotnictwo. Wykazały to próby przeprowadzone na morskich poligonach po wielkiej wojnie. Zagrożenie rosło, bo w okresie międzywojennym bardzo szybko rozwijały się konstrukcje powietrzne. Samoloty uzbrojone w bomby lub torpedy mogły posłać na dno nawet najpotężniejsze okręty. Dlatego pojawiła się potrzeba wzmocnienia obrony przeciwlotniczej flot. Na pokładach jednostek pływających różnych klas montowano coraz więcej dział i karabinów przeciwlotniczych, a w Wielkiej Brytanii postanowiono zbudować krążowniki, których główną misją miało być zwalczanie samolotów.

DRUGA MŁODOŚĆ

Na początek, w drugiej połowie lat trzydziestych XX wieku, Royal Navy do zadań obrony powietrznej zespołów okrętów przystosowała niektóre powstałe w czasie I wojny światowej lekkie krążowniki typu C, zaliczane do podtypów Caledon, Ceres i Carlisle. W 1936 roku Brytyjczycy mieli 13 tych jednostek. Jako pierwsze przebudowano HMS „Coventry” i HMS „Curlew”. Przede wszystkim zmieniono główne uzbrojenie. Gdy te krążowniki wchodziły do służby, miały po pięć dział BL 6 inch (152 mm) Mk XII, rozmieszczonych w jednodziałowych wieżach. Gdy przebudowano je na jednostki przeciwlotnicze, to zamiast BL 6 inch zamontowano po dziesięć szybkostrzelnych pojedynczych dział Mk V kalibru 102 mm. Na podstawach przeciwlotniczych maksymalny kąt podniesienia ich luf wynosił do 80°, ale w pozycji powyżej 62° nie można było ich naładować. Przy strzeleniu do celów powietrznych donośność wynosiła 8800 m. Jeśli jednak samoloty wroga przedarłyby się przez tę zaporę ogniową, do walki miały się włączyć zestawy mające po osiem działek Vickers kalibru 40 mm, których skuteczna donośność wynosiła 3960 m. Po dwa takie zamontowano na pokładach krążowników HMS „Coventry” i HMS „Curlew”.

Jako że wojna z Trzecią Rzeszą była nieunikniona, Brytyjczycy zdecydowali się na przebudowę kolejnych krążowników typu C. W 1939 roku w stocznich znalazły się HMS „Curacoa”, HMS „Cairo”, HMS „Calcutta” i HMS „Carlisle”. W tych okrętach działa 152-milimetrowe zastąpiono ośmioma działami Mk XIX kalibru 102 mm i rozmieszczono je w czterech dwudziałowych wieżach. Dodatkowym uzbrojeniem tej czwórki okrętów był zestaw poczwórny dział kalibru 40 mm i dwa poczwórne zestawy karabinów maszynowych Vickers kalibru 12,7 mm.

W trakcie wojny na krążowniki przeciwlotnicze przebudowano jeszcze trzy inne stare jednostki. Były to

HMS „Colombo” i HMS „Caledon” oraz HMS „Delhi”, należący do typu D. Przekształcenia tego ostatniego dokonano w stoczni w USA. Dlatego krążownik miał odmienny od pozostałych jednostek brytyjskich zestaw uzbrojenia. Zamontowano na nim pięć uniwersalnych dział Mark 12 127/38 mm, które mogły zwalczać samoloty do wysokości 11 887 m. Dobrze wyszkolona obsługa była w stanie wystrzelić z działa do 15 pocisków w ciągu minuty, a na krótki czas można było zwiększyć szybkostrzelność do 22 pocisków na minutę.

Od początku wojny Brytyjczycy wykorzystywali krążowniki przeciwlotnicze do zapewniania osłony grupom

TADEUSZ WRÓBEL

PRZECIWNIK SAMOLOTÓW

W czasie II wojny światowej pierwszy raz użyto lekkich krążowników przeznaczonych do zwalczania zagrożeń z powietrza.



okrętów i konwojom, których trasy znajdowały się w zasięgu wrogiego lotnictwa. Wiosną 1940 roku HMS „Calcutta”, HMS „Carlisle”, HMS „Cairo”, HMS „Curlew” i HMS „Curacoa” wykorzystano w kampanii norweskiej, jako część eskorty transportów wojsk brytyjskich przetrzucanych do Norwegii, które zaciekle atakowała Luftwaffe. Wtedy też poniesiono pierwsze straty. Niemieckie lotnictwo 26 maja 1940 roku w Lavangsfjorden (w Ofotfjorden) koło Narwiku zatopiło HMS „Curlew”.

KRWAWE BOJE

Od maja 1940 roku do służby w Royal Navy zaczęły wchodzić nowoczesne krążowniki przeciwlotnicze typu Dido. Ich główną bronią były szybkostrzelne działa QF 5.25 inch (133 mm) Mark I, w których maksymalny kąt podniesienia luf wynosił 70°. Szybkostrzelność tych dział to sześć strzałów na minutę, a donośność – 11 tys. m. Okręty typu Dido miały cztery lub

pięć dwudziałowych wież, jedno działo 102-milimetrowe oraz poczwórne zestawy dział kalibru 40 mm i karabinów maszynowych kalibru 12,7 mm.

W 1940 roku do służby weszły HMS „Dido”, HMS „Bonaventure”, HMS „Phoebe” i HMS „Naiad”. W następnym zaś roku HMS „Euryalus”, HMS „Hermione”, HMS „Cleopatra” i HMS „Charybdis”. Ostatni z tych krążowników – podobnie jak HMS „Scylla”, który rozpoczął służbę w 1942 roku – miał inne uzbrojenie główne. Na pokładach okrętów zamontowano cztery podwójne wieże z uniwersalnymi działami QF 4.5 inch (114 mm), mające donośność – 12,5 tys. m. W 1942 roku Royal Navy dostała jeszcze dwa inne krążowniki typu Dido – HMS „Argonaut” i HMS „Sirius”.

Po zakończeniu walk we Francji większość jednostek wysłano w region Morza Śródziemnego, żeby eskortowały konwoje m.in. z dostawami do Malty, Egiptu, a później również do Grecji, gdzie Brytyjczycy wysłali korpus ekspedycyjny. HMS „Bonaventure” zatonął 31 marca 1941 roku po tym, gdy został storpedowany przez włoski okręt podwodny „Ambra”. Krążownik eskortował wówczas konwój GA-8 z Grecji do Aleksandrii. Gdy grecka eskapada zakończyła się fiaskiem, krążowniki przeciwlotnicze osłaniały ewakuację sił alianckich, najpierw z Grecji kontynentalnej, a potem z Krety. U jej wybrzeży 1 czerwca 1941 roku niemieckie bombowce Ju-88 zatopiły krążownik HMS „Calcutta”, a HMS „Naiad” został uszkodzony.



**HMS „BELLONA”,
jeden z ostatnich pięciu brytyjskich
krążowników przeciwlotniczych,
jakie zbudowano podczas
II wojny światowej.**



**HMS „Charybdis”**

wszedł do służby w 1941 roku. 23 października 1943 roku podczas bitwy u wybrzeży Półwyspu Bretońskiego niemieckie łodzie torpedowe zatopiły okręt. Zginęło lub zaginęło 464 członków załogi, w tym dowódca.

Na pokładzie zamontowano cztery podwójne wieże z uniwersalnymi działami QF 4.5 inch (114 mm) mające donośność 12,5 tys. m.

Japoński jednak

W 1944 roku Japończycy na krążownik przeciwlotniczy przebudowali lekki krążownik „Isuzu”. Siedem wież z pojedynczymi działami 140-milimetrowymi

zastąpiono trzema z dwoma działami kalibru 127 mm. Zamontowano na nim również 50 działek kalibru 25 mm, w zestawach po trzy i po jednym.



Pechowy był rok 1942, kiedy na Morzu Śródziemnym Brytyjczycy utracili cztery jednostki. Niemieckie U-Booty posłały na dno HMS „Naiad” i HMS „Hermione”, a włoski okręt podwodny zatopił HMS „Cairo”. Bombowce Ju-87 i Ju-88 zniszczyły z kolei HMS „Coventry”. Na dodatek HMS „Curacoa” zatonął po kolizji z transatlantykiem RSM „Queen Mary” – przecięty na dwie części krążownik przepadł w głębinach wraz z 338 marynarzami.

W latach 1943–1944 utracone jednostki Royal Navy zastąpiono pięcioma nowymi krążownikami przeciwlotniczymi: HMS „Bellona”, HMS „Black Prince”, HMS „Spartan”, HMS „Royalist” i HMS „Diadem”, których główną bronią było osiem dział kalibru 133 mm w czterech wieżach. Jeden z nich Brytyjczycy stracili na Morzu Śródziemnym 29 stycznia 1944 roku, w pobliżu Anzio we Włoszech, gdzie wówczas alianci dokonali desantu. HMS „Spartan” został trafiony przez niemiecki naprowadzany radiowo pocisk rakietowy Henschel Hs 293.

AMERYKAŃSKA ÓSEMKA

Potrzebę zbudowania krążowników przeciwlotniczych dostrzegli również Amerykanie i w latach 1941–1945 do służby weszło osiem jednostek typu Atlanta. Główną bronią pierwszych czterech – USS „Atlanta”, USS „Juneau”, USS „San Diego” i USS „San Juan” – było 16 dział kalibru 127/38 mm w osiemu podwójnych wieżach. Po trzy z nich rozmieszczono w części dziobowej i rufowej okrętu, a po jednej przy lewej i prawej burcie. Druga czwórka krążowników – USS „Oakland”, USS „Reno”, USS „Flint” i USS „Tucson” – miała z kolei po tuzinie dział 127-milimetrowych. Maksymalny kąt podniesienia ich lufy wynosił 85°. W 1942 roku Amerykanie stracili dwa krążowniki przeciwlotnicze. W nocy z 12 na 13 li-

stopada koło wyspy Guadalcanal USS „Atlanta” został trafiony torpedą z japońskiego niszczyciela i pociskami ciężkiej artylerii pancernika „Hiei” oraz innych japońskich okrętów. W chaosie nocnego starcia jednostka została pomyłkowo ostrzelana przez inny okręt amerykański, ciężki krążownik USS „San Francisco”. W tej samej bitwie krążownikowi USS „Juneau” pierwszy cios zadał japoński niszczyciel „Amatsukaze”. Podczas nocnego starcia wystrzelona przez niego torpeda trafiła amerykański okręt w lewą burtę. Załoga próbowała ratować jednostkę, ale w niemal to samo miejsce uderzyła ją później torpeda wystrzelona przez japoński okręt podwodny I-26. W środku krążownika nastąpiła potężna eksplozja, która spowodowała przełamanie okrętu. Znajdujące się w pobliżu dwa inne amerykańskie krążowniki, USS „Hellenia” i USS „San Francisco”, odpłynęły z obawy przed nowym japońskim atakiem i z przekonaniem, że z 673-osobowej załogi USS „Juneau” nie przeżył nikt. W rzeczywistości ponad stu marynarzy przetrwało wybuch i zatonięcie okrętu. Większość z nich z powodu ran, wyziębienia i ataków rekinów nie doczekała pomocy, która dotarła po wielu dniach. To w tej katastrofie zginęło pięciu braci Sullivan. Po tym wydarzeniu US Navy zaczęła rozdzielać członków najbliższej rodziny, dotąd służących na tych samych okrętach.

Utrata dwóch jednostek pod Guadalcanal miała wpływ na przyszłość krążowników przeciwlotniczych w US Navy. Amerykanie doszli do wniosku, że ich wielką wadą jest mały kaliber głównej artylerii, dlatego wszystkie krążowniki przeciwlotnicze US Navy, które przetrwały wojnę, wycofano ze służby już w latach 1946–1949. W Wielkiej Brytanii część jednostek była natomiast używana do końca lat pięćdziesiątych XX wieku.

KRZYSZTOF
KUBIAK

Wrażliwe lotniska



Truizmem jest stwierdzenie, że samoloty i śmigłowce w powietrzu są zdolne do licznych manewrów, czyniących je w zależności od typu i przeznaczenia, niesłychanie użytecznymi bądź śmiertelnie groźnymi. Na ziemi, po wylądowaniu, tracą jednakże walory taktyczne i stają się po prostu łatwym celem. Do zniszczenia statków powietrznych przeciwnika na lotniskach i lądowiskach dążono więc zarówno podczas wielkich operacji wojsk lotniczych, jak i śmiałych akcji o charakterze działań specjalnych. Te drugie prowadzono wówczas, gdy posłużenie się metodami konwencjonalnymi było niemożliwe lub obciążone – z różnych przyczyn – zbyt wielkim ryzykiem.

Wietnamscy partyzanci szybko się zorientowali, jak wrażliwym celem (zarówno w wymiarze czysto wojskowym, jak i politycznym) mogą być amerykańskie bazy lotnicze. Z oceny tej wyciągnięto bardzo konkretne, przekładające się na działania, wnioski. Na początku 1969 roku 409 Batalion Wietkongu dostał rozkaz rozpoczęcia przygotowań do zaatakowania położonej około 4 km od Pleiku instalacji zwanej Camp Holloway, będącej podstawą operowania 52 Batalionu Lotniczego US Army. Po przeprowadzeniu starannego rozpoznania Wietkong skrycie skoncentrował tam około 300 żołnierzy. Ruszyli oni do walki nocą 7 lutego. Zatakowali kwatery amerykańskich żołnierzy i jednocześnie pokryli ogniem z moździerzy lądowisko. Impetyczny atak trwał zaledwie kilkanaście minut, ale pociągnął za sobą poważne straty: dziewięciu Amerykanów poległo, 126 zostało rannych, zniszczeniu uległo dziewięć śmigłowców i samolot transportowy, uszkodzonych zaś zostało od dziewięciu do 11 śmigłowców i sześć lekkich samolotów obserwacyjnych.

Podczas wojny falklandzkiej Brytyjczycy z kolei zaatakowali siłami specjalnymi argentyńskie lotnisko polowe na wyspie Pebble. Wynikało to z faktu, że w owej fazie konfliktu dysponowali oni zaledwie kilkunastoma samolotami Harrier, używanymi przede wszystkim do zadań związanych z obroną powietrzną zespołu okrętów, w związku z czym rajd komandosów uznano za rozwiązanie bardziej „ekonomiczne”. Brytyjcy komandosi przystąpili do działań 14 maja. Cztery śmigłowce Sea King, startujące z lotniskowca HMS „Hermes”, przerzuciły w rejon akcji 45 operatorów z SAS-u (Special Air Service). W tym czasie argentyński garnizon polowego lotniska na Pebble liczył 114 żołnierzy i oficerów, rdzeniem systemu obrony były zaś cztery stanowiska z bronią maszynową. Żołnierze SAS-u mieli przewagę, jeśli chodzi o rozpoznanie, a także wsparcie 114-milimetrowej armaty niszczyciela HMS „Glamorgan”, i uderzyli na przeciwnika przed świtem, uzyskując pełne zaskoczenie. Na stanowiskach znajdowało się wówczas zaledwie sześciu Argentyńczyków. Pod osłoną ognia artylerii okrętowej oraz własnego moździerza komandosi wdarli się na lądowisko i założyli ładunki wybuchowe na znajdujących się tam samolotach oraz zaminowali pas startowy. Potem nastąpiła orgia zniszczenia. Po zakończeniu zadania Brytyjczycy wykonali odskok ubezpieczony ogniem niszczyciela. Przeciwnik nie podjął próby pościgu i wszyscy komandosi ocalili. Argentyńczycy stracili 11 samolotów (sześć lekkich szturmowców Pucará, cztery samoloty rozpoznania taktycznego Turbo-Mentor oraz transportowiec Skyvan), ale i po ich stronie nikt nie poległ. W rezultacie akcji argentyńskie lądowisko zabezpieczające północną część archipelagu i podejścia do Cieśniny Falklandzkiej zostało trwale wyłączone z działań. ■



Prof. dr hab. KRZYSZTOF KUBIAK

pracuje w Katedrze Krajoznawstwa i Historii na Uniwersytecie

Jana Kochanowskiego w Kielcach.

HORYZONTY

/ SPORT



JACEK SZUSTAKOWSKI

ŻOŁNIERZE NA MEDAL

**Plut. Piotr Małachowski wywalczył na igrzyskach
olimpijskich w Rio de Janeiro srebrny medal,
a st. szer. Monika Michalik i st. szer. Oktawia Nowacka
zdobyły brązowe krążki.**

ROBERTO CASTRO/MINISTERIO DO ESPORTE

Jako pierwszy spośród reprezentantów Polski na Igrzyskach XXXI Olimpiady w Rio de Janeiro stanął na drugim stopniu podium plut. Piotr Małachowski. Dyskobol z wrocławskiego Wojskowego Zespołu Sportowego, nazywany przez kolegów „Machałkiem”, przez pięć kolejek prowadził w finale brazylijskiego konkursu. Niestety, w ostatniej wyprzedził go Niemiec Christoph Harting. Z kolei ósmy medal dla Polski i czwarty brązowy zdobyła st. szer. Monika Michalik. Zapaśniczka z poznańskiego WZS-u była trzecia w kategorii do 63 kg. St. szer. Oktawia Nowacka wywalczyła w Rio de Janeiro dziewiąty krążek dla Polski i zapisała się w annałach polskiego ruchu olimpijskiego tym, że zdobyła 300. medal w historii startów reprezentantów naszego kraju na letnich i zimowych igrzyskach olimpijskich.

O JEDEN RZUT ZA DALEKO

Konkurs rozgrywany na stadionie olimpijskim im. Joao Havelange’a był niezwykle emocjonujący. „Do ostatniego rzutu czekaliśmy na medalowe rozstrzygnięcia. Piotr dzielnie walczył. Przez pięć kolejek cieszyłem się, że jest mistrzem olimpijskim”, mówił po zakończeniu konkurencji ppłk Leszek Korszun, przełożony plut. Piotra Małachowskiego z wrocławskiego WZS-u. „W ostatniej serii złoty medal odebrał mu młodszy z braci Hartingów. Ale i tak ogromnie cieszę się ze srebra Piotra. Zdobycie jakiegokolwiek medalu olimpijskiego jest wielkim sukcesem”, dodał szef wrocławskiego WZS-u.

„Machałek” na rzutni w Rio musiał walczyć nie tylko z rywalami, lecz także z presją ciążyącą na liderze Diamentowej Ligi i świeżo upieczonym mistrzu Europy. „Oczekiwania związane ze startem naszego zawodnika były ogromne. Tymczasem konkursy olimpijskie rządzą się swoimi prawami. Przekonał się o tym choćby sierż. Robert Harting. Mistrzowi olimpijskiemu z Londynu i trzykrotnemu mistrzowi świata nie

udało się przebrnąć przez kwalifikacje”, podkreślił szef WZS Wrocław. „Piotr poradził sobie z tą presją. A po konkursie zapowiedział, że powalczy jeszcze na kolejnych igrzyskach, w Tokio. To ambitny zawodnik i myślę, że uczyni wszystko, aby jak najlepiej przygotować się do następnego olimpijskiego startu”, stwierdził oficer z Wrocławia.

Plut. Piotr Małachowski po pięciu seriach olimpijskiego konkursu w Rio de Janeiro prowadził z wynikiem 67 m 55 cm – uzyskanym w trzeciej próbie. W pierwszej kolejce „Machałek” objął prowadzenie rzutem na odległość 67,32 m. Christoph Harting, młodszy brat utytułowanego sierżanta z Bundeswehry, rzucił o 5 m bliżej. Niemiec dopiero w ostatniej serii awansował na medalową pozycję. Rzutem na 68,30 m ustanowił swój nowy rekord życiowy i zapewnił sobie złoty medal. Małachowski w ostatniej próbie w konkursie już nie dał rady pokonać rywala. Po zakończeniu konkurencji Polak przyznał, że sporo sił włożył w trzy pierwsze rzuty i w ostatniej kolejce nie był już w stanie wyprzedzić Hartinga. „Cóż, może złoto nie jest mi pisane? A może wszystko jest tak specjalnie ułożone, żebyście się musieli ze mną męczyć kolejne cztery lata, do Tokio?”, mówił do dziennikarzy „Machałek”. „Cieszę się z tego, czego dokonałem w swojej karierze. Liczę na kolejne sukcesy i na to, że przez najbliższe lata wciąż będę na świecie sławił imię Polski”, dodał podwójny wicemistrz olimpijski.

Warto dodać, że Małachowski w październiku zeszłego roku na wojskowych igrzyskach w Korei Południowej znalazł się w podobnej sytuacji jak Harting. „Machałek” przed ostatnią serią był poza podium – zajmował szóste miejsce. Dopiero po ostatniej rundzie awansował na drugą pozycję. Po udanym rzucie Polak krzyczał na stadionie w Mungyeong: „Jesteśmy!”. Bardzo się cieszył, że wywalczył upragnione miejsce na podium. Policjant Harting w Rio miał więcej



JACEK SZUSTAKOWSKI

Piotr Małachowski przekazał srebrny medal, który zdobył w Rio de Janeiro, na aukcję charytatywną. W ten sposób chce pomóc zebrać fundusze na operację oka trzyletniego chłopca. Olek Szymański od dwóch lat zмага się z nowotworem gałki ocznej.

W IGRZYSKACH XXXI OLIMPIADY O MEDALE WALCZYŁO 240 REPREZENTANTÓW POLSKI. WŚRÓD NICH BYŁO 37 ŻOŁNIERZY

szczęścia, bo udanym ostatnim rzutem zapewnił sobie pierwszą lokatę. „Machałkowi” odebrał zaś złoto, którego brakowało mu w bogatej kolekcji medalowej.

Polak w Brazylii po raz drugi w swojej karierze wywalczył tytuł wicemistrza olimpijskiego – srebro zdobył też przed ośmiu laty w Pekinie. Małachowski jest również mistrzem (z 2015 roku) i wicemistrzem świata (2009, 2013) oraz dwukrotnym mistrzem Europy (2010, 2016). Trzykrotnie triumfował też w prestiżowym cyklu Diamentowej Ligi (2010, 2014, 2015). Także trzykrotnie startował na żołnierskiej imprezie czterolecia. Ale tylko w debiucie – w 2007 roku w Indiach – wywalczył złoty medal. Cztery lata później, w Rio de Janeiro, z powodu kontuzji nie udało mu się zakwalifikować do wąskiego finału – był dziesiąty.

DO TRZECH RAZY SZTUKA

Przed igrzyskami w Rio de Janeiro ppłk Zygmunt Skrobicki, szef poznańskiego WZS i wiceprezes Wojskowego Klubu Sportowego „Grunwald”, liczył na udany start swoich zapaśników. W ośmioosobowej polskiej ekipie poleciało do Brazylii pięcioro żołnierzy. Z czterech reprezentantek wszystkie były z poznańskiego WZS-u. Z czwórki zapaśników w stylu wolnym jedynym żołnie-

rzem był natomiast st. szer. Radosław Baran. „Bardzo liczę na udany start zapaśniczek. Są bardzo dobrze przygotowane do igrzysk. W tej dyscyplinie jednak dużo zależy od losowania i tzw. dyspozycji dnia”, mówił szef WZS Poznań i najbardziej zachwalał st. szer. Monikę Michalik, która do Rio leciała na swoje trzecie igrzyska. Po jej starcie w Brazylii oraz występach szer. Katarzyny Krawczyk, st. szer. Iwony Matkowskiej i st. szer. Agnieszki Wieszczek-Kordus miał powody do zadowolenia. Michalik wywalczyła bowiem brązowy medal, pierwszy olimpijski krążek dla poznańskiego Grunwaldu od 36 lat. „Ogromnie się cieszę. Monika wreszcie doczekała się olimpijskiego medalu. Zasłużyła sobie na niego wieloletnią ciężką pracą”, mówił szef poznańskiego WZS-u.

Początek rywalizacji na igrzyskach w Rio nie był jednak udany dla Michalik. W pierwszej walce przegrała 0:5 z Japonką Risako Kawai. Wicemistrzyni świata zamknęła Polce drogę do olimpijskiego finału, ale dała nadzieję na walkę o brązowy medal. Michalik wierzyła, że Japonka pokona kolejne rywalki i awansuje do finałowej potyczki. Wówczas ona dostanie szansę startu w repesażu. „Kawai świetnie walczyła. Wiedziałam, że dotrze do finału. Później musiałam to wykorzystać, aby zdobyć brązowy medal”, ➔



St. szer. Oktawia Nowacka

St. szer. Monika Michalik

W RIO DE JANEIRO REPREZENTANCI POLSKI WYWALCZYLI 11 MEDALI, W TYM DWA ZŁOTE I TRZY SREBRNE

ZŁOTE MEDALE: Magdalena Fularczyk-Kozłowska i Natalia Madaj (zajęły pierwsze miejsce w wioślarskim wyścigu dwójek podwójnych) oraz Anita Włodarczyk (rzut młotem).

SREBRNE MEDALE: Piotr Małachowski (rzut dyskiem), Marta Walczykiwicz (kajakarstwo, K1 200 m) i Maja Włoszczowska (kolarstwo górskie).

BRAZOWE MEDALE: Rafał Majka (kolarstwo szosowe, wyścig ze startu wspólnego), wioślarska czwórka podwójna (Monika Ciaciuch, Maria Springwald, Agnieszka Kobus, Joanna Leszczyńska), Beata Mikołajczyk i Karolina Naja (kajakarstwo, K2 500 m), Monika Michalik (zapasy w stylu wolnym, kategoria do 63 kg), Oktawia Nowacka (pięciobój nowoczesny) i Wojciech Nowicki (rzut młotem).

mówiła Michalik po boju, którego stawką była trzecia lokata. Japonka po zwycięstwie z Rosjanką, Inną Trażukową, dotarła do finału, a w walce o złoto pokonała Białorusinkę, Maryję Mamaszuk. W repesażu natomiast Michalik wygrała 5:2 z Anastazją Grigoriewą z Łotwy, a potem w walce o brąz pokonała 6:3 Rosjankę.

Najpierw jednak, kiedy Polka dowiedziała się w szatni, że jej rywalką będzie Rosjanka, popłakała się. Bała się bowiem, by nie powtórzyła się historia sprzed czterech lat, gdy na igrzyskach w Londynie w pojedynku o brąz uległa innej Rosjance – Ljubow Włosowej. „Monika do ostatniej sekundy walki była bardzo skoncentrowana. To doświadczona zawodniczka. Wiedziała, że tuż przed końcową syreną można stracić wypracowaną wcześniej przewagę punktową”, przyznał szef poznańskiego WZS-u.

Trażukowa jako pierwsza zdobyła punkt po ostrzeżeniu dla Polki za pasywność. Michalik odpowiedziała na to akcją techniczną za dwa oczka. Rosjanka na niespełna półtoręj minuty przed zakończeniem walki wyrównała stan pojedynku po wypchnięciu Polki z maty, ale 20 s później nasza reprezentantka prowadziła 4:2 – punkty dostała za obejście rywalki. 37 s przed końcem walki Michalik za przerwienie Rosjanki dostała dwa kolejne oczka. Trażukowa za wszelką cenę chciała odebrać Polce zwycięstwo, ale w ostatnim fragmencie walki zdobyła tylko jeden punkt.

„Całe życie włożyłam w te sześć minut walki”, podkreśliła Michalik tuż po zdobyciu medalu w Rio. Przed czterema laty, po powrocie z igrzysk w Londynie, nie ukrywała, że drażni ją brak olimpijskiego krążka. „Jestem gotowa na największe wyrzeczenia, by go zdobyć. Dlatego zamie-

rzam walczyć do igrzysk w Rio de Janeiro. Będę miała wtedy 36 lat, ale dla mnie nie jest to wiek emerytalny”, mówiła zawodniczka w jednym z wywiadów. Teraz, pytana, czy dotrwa do kolejnych igrzysk w Tokio, nic nie mówiła o zakończeniu kariery i dodała, że jeszcze może powalczyć przez cztery lata. Na razie najbardziej utytułowana polska zapaśniczka ma w swojej kolekcji oprócz olimpijskiego brązu dwa brązowe medale mistrzostw świata (z 2006 i 2007 roku) i dziesięć medali mistrzostw Europy (trzy złote, cztery srebrne i trzy brązowe). Michalik jest też wojskową wicemistrzynią świata (2010, 2014), brązową medalistką mistrzostw świata juniorów (2000) i wicemistrzynią Europy juniorów (2000).

Warto dodać, że na macie w Rio cennych rad udzielał jej wraz z trenerem kadry Krzysztofem Ołenczymem st. chor. sztab. w st. spocz. Władysław Stecyk. To właśnie on w 1980 roku wywalczył na zapaśniczej macie w Moskwie srebrny medal olimpijski – ten ostatni (przed Michalik) przywieziony z igrzysk przez sportowca WKS Grunwald. Stecyk, za swoje szkoleniowe sukcesy w 2014 roku, decyzją kapituły plebiscytu sportowego portalu polska-zbrojna.pl został wybrany Trenerem Roku.

UDANY DEBIUT OKTAWII

St. szer. Oktawia Nowacka do Rio de Janeiro leciała na swoje pierwsze igrzyska olimpijskie. Start w Brazylii stał jednak pod znakiem zapytania, bo z powodu kontuzji zawodniczka dopiero w maju rozpoczęła normalne treningi. Mimo przeszkód pięcioboistka z zegrzyńskiego Wojskowego Zespołu Sportowego wywalczyła brązowy medal. Złoty, w rywalizacji najlepszych pięcioboistek, zdobyła Australijka Chloe Esposito, a srebrny – Francuzka Elodie Clouvel, podoficer żandarmerii w stopniu kaprała.

Polka prowadziła od pierwszej konkurencji. Z 35 pojeďdynców na szermierczej planszy wygrała aż 27. W drugiej konkurencji – pływaniu – najlepszy wynik uzyskała Rosjanka Gulnaz Gubaydullina. Druga była Francuzka Clouvel, która po raz kolejny udowodniła, że jest znakomitą pływaczką. W październiku 2015 roku kpr. Clouvel uzyskała najlepszy wynik na basenie podczas VI Letniej Olimpiady Wojskowej w Korei Południowej. Nowacka, która na koreańskich igrzyskach była szóstą w pływaniu i pierwsza w ogólnej klasyfikacji, w Rio uplasowała się na 16. pozycji. Po dwóch etapach rywalizacji jednak nadal była liderką. Po pływaniu pięcioboistki rozegrały bonusową rundę w szermierce. Wtedy zwyciężyła Nowacka i powiększyła swój dorobek punktowy o dwa oczka. W trzeciej konkurencji – jeździe konnej – Polka była dziewiąta. Nasza reprezentantka z 300 punktów, które można było uzyskać za bezbłędny przejazd na parkurze, straciła siedem za zrzutkę na pierwszej przeszkodzie. Przed ostatnią kon-

kurencją, biegu przełajowym na dystansie 3200 m połączonym ze strzelaniem z pistoletu, Nowacka miała 12 punktów przewagi nad Francuzką, co oznaczało, że na trasę crossu miała wyruszyć 12 s przed nią. Ostatnia konkurencja w pięcioboju nowoczesnym jest rozgrywana z handicapem czasowym. Pierwsza zawodniczka na mecie miała zostać mistrzynią olimpijską. Dwunastosekundowa „zaliczka” dla Polki, która z powodu kontuzji miała spore zaległości treningowe, nie była duża.

Oktawia w marcu jeszcze chodziła o kulach. W maju trener Stanisław Pytel stwierdził, że to ostatni moment, aby rozpocząć przygotowania do igrzysk. Czasu na nadrobienie zaległości było bardzo mało. „Oktawia, zanim w maju wznowiła normalne treningi biegowe, skupiła się na pozostałych konkurencjach. Biegała w wodzie i robiła wszystko, aby zniwelować braki spowodowane kontuzją”, mówił szer. Jarosław Świderski, jej partner ze sztafety mieszanej, który z Nowacką wywalczył na zeszłorocznych wojskowych igrzyskach w Korei Południowej złoty medal. „W niespełna cztery miesiące wróciła do formy, która pozwoliła jej zdobyć medal w Rio. Ja, żołnierz i stary facet, popłakałem się ze szczęścia, jak zobaczyłem ją wbiegającą na metę”, dodał pięcioboista z zegrzyńskiego WZS-u.

NA PUNKTOWANYCH MIEJSCACH

W Igrzyskach XXXI Olimpiady o medale walczyło 240 reprezentantów Polski. Wśród nich było 37 żołnierzy. Oprócz Małachowskiego, Michalika i Nowackiej podczas 13 dni igrzysk w Rio de Janeiro żadnemu z reprezentantów Wojska Polskiego nie udało się stanąć na podium. Punktowane miejsca w pierwszej ósemce zajęli wioślarze, szablistki, lekkoatleta szer. Marcin Lewandowski i męska sztafeta 4x400 m. W finale ósemek ze sternikiem wioślarze z bydgoskiego WZS-u: starsi szeregowi Krystian Aranowski, Piotr Juszcak, Michał Szpakowski i Daniel Trojanowski zajęli wraz ze Zbigniewem Schodowskim, Mateuszem Wilangowskim, Robertem Fuchsem, Mikołajem Burdą i Marcinem Brzezińskim piąte miejsce.

W konkursie drużynowym szablistek nasze reprezentantki były szóste. Polki walczyły w składzie: kpr. Aleksandra Socha (WZS Zegrze), st. szer. Bogna Jóźwiak (WZS Poznań), Małgorzata Kozaczuk i Marta Puda. Z kolei szer. Marcin Lewandowski z bydgoskiego WZS-u w finale biegu na 800 m również wywalczył szóste miejsce – był pierwszym Polakiem od 1972 roku, który pobiegł na tym dystansie. Siódme lokaty zajęli – sztafeta 4x400 m w składzie: szer. Łukasz Krawczuk, Michał Pietrzak, szer. Jakub Krzewina (obaj żołnierze z WZS Wrocław) i Rafał Omelko, oraz zapaśniczka st. szer. Iwona Matkowska (WZS Poznań) w kategorii 48 kg. ■

ANNA DĄBROWSKA

Pod Krzyżem Ofiarności

Na brytyjskim cmentarzu w Poznaniu spoczywają żołnierze 16 narodowości.

Dochodziła północ 14 września 1943 roku. Nad uśpionymi Nowymi Skalmierzycami w Wielkopolsce rozległ się huk silników potężnego bombowca. Ponad dachami miasta krążył brytyjski samolot Halifax II NF-V ze 138 Dywizjonu RAF-u. Maszyna, z siedmioosobową polską załogą na pokładzie, przyleciała z zaopatrzeniem dla Armii Krajowej.

Wieczorem piloci wystartowali z lotniska w Tempsford w południowej Anglii. Za sterami zasiadli kpt. pil. Franciszek Jakusz-Gostomski i sierż. pil. Ludwik Misiak, obserwatorem był kpt. Karol Gębik, radiooperatorem st. sierż. Wiktor Jabłoński, mechanikiem pokładowym plut. Zdzisław Kuczkowski. Leciało też dwóch strzelców: st. sierż. Kazimierz Pacut i kpr. Henryk Fojer.

Transportowaną broń mieli zrzucić dla placówki AK „Żyto 1” pod wsią Ołobok kilka kilometrów od Nowych Skalmierzyc. Szukając sygnałów świetlnych wskazujących punkt zrzutu, pilot krążył nad okolicą. Najprawdopodobniej maszyna zbyt obniżyła lot i, będąc na niewielkiej wysokości, zahaczyła o piętrowy budynek. Samolot runął na ziemię i stanął w płomieniach.

Według relacji świadków, pięciu lotników zginęło na miejscu, szósty – ciężko ranny, został zastrzelony przez Niemców. Ostatniemu z Polaków, kpr. Fojerowi, który odniósł lżejsze kontuzje, udało się zbiec. Jego los nie jest do końca wyjaśniony. Według oficjalnych danych lotnik zaginął w czasie katastrofy. Istnieje jednak także wersja, że udało mu się uratować, leczyl się potem potajemnie w pobliskiej miejscowości, po czym przedostał na Zachód i przeżył tam wojnę. W katastrofie halifaxa zginęło też trzech mieszkańców domu, na który spadł bombowiec – Genowefa i Stanisław Janczakowie oraz ich syn Leon.



Pochowano lub upamiętniono tutaj symbolicznie 427 żołnierzy i oficerów Wspólnoty Brytyjskiej.

Lotników pochowano na miejscowym cmentarzu. Po wojnie, w 1948 roku, przedstawiciele misji brytyjskiej ekshumowali ich szczątki i przewieźli do Poznania, gdzie złożyli na Cmentarzu Wojennym Wspólnoty Brytyjskiej (Commonwealth War Graves Commission) na stokach cytadeli.

Z OBOZÓW I WOJNY

Nekropolia powstała w 1925 roku na gruntach przekazanych przez polskie władze Brytyjczykom w wieczyste użytkowanie. Po zakończeniu I wojny groby brytyjskich żołnierzy zostały odnalezione w 28 miejscach Polski. Spoczywali w nich wojskowi, którzy dostali się do niemieckiej niewoli i zmarli w obozach jenieckich. Brytyjczycy postanowili przenieść wszystkie szczątki na jeden cmentarz. Na jego lokalizację wybrano część terenu pruskiego cmentarza starogarnizonowego ulokowanego na stokach poznańskiej cytadeli.

Prace ekshumacyjne, którymi zajmowała się Komisja Grobów Wojennych Imperium Brytyjskiego, trwały do października 1925 roku. Na cytadelę przeniesiono prochy 174 osób, głównie Brytyjczyków, m.in. z cmentarzy w Czersku, Szczypiornie i Pile, dwóch Kanadyjczyków, dwóch Australijczyków i jednego żołnierza z RPA. W 1926 roku sprowadzono z Wielkiej Brytanii kamienne tablice z nazwiskami żołnierzy oraz odznakami jednostek, w których służyli. Między mogiłami wzniesiono Krzyż Ofiarności nazywany też Krzyżem Poświęcenia.

Na cmentarzu ustawiono także obelisk z tablicą upamiętniającą pięciu żołnierzy Royal Naval Air Service z jednostki Russian Armoured Car Division. W czasie I wojny światowej w tej formacji walczyli na samochodach pancernych, po stronie sojuszniczego rosyjskiego Rządu Tymczasowe-



ŁUKASZ MAJCHER (2)

go, członkowie lotnictwa brytyjskiej marynarki wojennej. Upamiętnieni w Poznaniu żołnierze polegli pod Brzeżanami w 1917 roku, a ich ciała zostały pochowane w nieznanym miejscu.

WIELKA UCIECZKA

Podczas II wojny światowej, głównie w trakcie walk o cytadelę w styczniu i lutym 1945 roku, znaczna część fortyfikacji i wiele kwater na cmentarzu uległo zniszczeniu. W 1946 roku specjalna komisja brytyjska rozpoczęła w Polsce kolejne poszukiwania mogił swoich żołnierzy. Ich szczątki przenoszono na trzy centralne cmentarze brytyjskie – do Poznania, Krakowa i Malborka.

W marcu 1949 roku Polska ponownie oddała cmentarz do dyspozycji Komisji Grobów Wojennych Wspólnoty Brytyjskiej, a sześć lat później nekropolię odnowiono. Z Anglii przywieziono wówczas nowe wapienne pomniki nagrobne, wzniesiono też nowy Krzyż Ofiarności. W 1966 roku nekropolia została wpisana do rejestru zabytków, a ostatnie szczątki przeniesiono do Poznania w 1990 roku z okolic Swarzędza.

Po II wojnie na cytaдели spoczęły m.in. prochy 48 uczestników tzw. wielkiej ucieczki z obozu jenieckiego w Żaganiu – jednej z największych i najsłynniejszych ucieczek jenieckich z okresu II wojny. Założony przez Niemców stalag Luft III był przeznaczony dla lotników alianckich. Przetrzymany tam Brytyjczyków, obywateli USA, Australii, Nowej Zelandii, Kanady, a także Polaków służących w RAF-ie.

Jeńcy zawiązali konspiracyjną organizację i wspólnie wykopali 111-metrowy tunel „Harry”. Nocą z 24 na 25 marca 1944 roku podziemnym podkopem wydostało się z obozu 80 jeńców, w tym sześciu Polaków. Czterech

PO ZAKOŃCZENIU I WOJNY ŚWIATOWEJ W 28 MIEJSCACH POLSKI ODNALEZIONO GROBY BRYTYJSKICH ŻOŁNIERZY

uciekierów wartownicy schwytali zaraz przy wyjściu. Pozostali rozproszyli się po całym terenie III Rzeszy.

Niestety w szeroko zakrojonej akcji poszukiwawczej hitlerowcy ujeli niemal wszystkich zbiegów. Ucieczka udała się tylko trzem z nich. Norwegowie: ppor. Jens Müller i sierż. Per Bergsland dotarli do Szwecji, a Holender kpt. Bram van der Stok do Wielkiej Brytanii. Na specjalny rozkaz Hitlera 50 uczestników ucieczki zostało zamordowanych przez Niemców zaraz po ujęciu. Wśród rozstrzelanych oficerów i podoficerów byli wszyscy Polacy, a także m.in. 21 Brytyjczyków, sześciu Kanadyjczyków i pięciu Australijczyków.

Spśród zabitych jeńców 48 spoczywa w Poznaniu. Są wśród nich: mjr naw. Antoni Kiewnarski i por. naw. Kazimierz Pawluk z 305 Dywizjonu Bombowego Ziemi Wielkopolskiej im. Marszałka Józefa Piłsudskiego zamordowani 25 marca 1944 roku. Tego samego dnia życie stracili por. naw. Jerzy Mondschein z 304 Dywizjonu Bombowego Ziemi Śląskiej im. Ks. Józefa Poniatowskiego oraz por. naw. Włodzimierz Kolanowski z 301 Dywizjonu Bombowego Ziemi Pomorskiej im. Obrońców Warszawy. Jego kolega z jednostki por. naw. Paweł Tobolski został zabity 2 kwietnia, a dziesięć dni później rozstrzelano por. pil. Stanisława Króla z 74 Szwadronu RAF-u.

Obecnie cmentarz, którym opiekuje się Urząd Wojewódzki w Poznaniu, jest jedną z kilku nekropolii w tym rejonie. Graniczy z Cmentarzem Bohaterów Polskich i Prawosławnym Cmentarzem Garnizonowym. Na cytaдели mieszczą się także m.in. cmentarz z grobami powstańców wielkopolskich i żołnierzy poległych podczas wojny polsko-bolszewickiej oraz Cmentarz Żołnierzy Radzieckich.

Na brytyjskiej nekropolii o powierzchni 0,23 ha pochowano lub upamiętniono symbolicznie 427 żołnierzy i oficerów Wspólnoty Brytyjskiej. Są wśród nich jeńcy niemieckich obozów jenieckich z II wojny: w Szczecinie, Żaganiu, Szubinie oraz Poznaniu. Spoczywają tutaj żołnierze 16 narodowości. Oprócz Brytyjczyków są Kanadyjczycy, Australijczycy, Nowozelandczycy, Południowoafrykańczycy, a także m.in. Francuz, Grek, Norweg, Litwin, Belg i Czech. Pochowano tu też 16 polskich żołnierzy walczących w armii brytyjskiej w czasie II wojny, w tym 13 lotników. ■

Wyrazy głębokiego współczucia
oraz szczerze kondolencje

ppłk. Markowi Kurkowiczowi,

zastępcy dowódcy,
z powodu śmierci

Ojca

składają dowódca, żołnierze
oraz pracownicy wojska
4 Brodnickiego Pułku Chemicznego.

Panu st. chor. szt. Witalisowi Jasińskiemu
wyrazy szczerzego współczucia i głębokiego żalu
z powodu śmierci

Matki

składają kierownik, żołnierze
i pracownicy wojska
Warsztatów Techniki Lotniczej w Toruniu.

Pani Malwinie Kucharskiej
wyrazy głębokiego współczucia
i najszczerze kondolencje
z powodu śmierci

Mamy

składają komendant 16 WOG Drawsko Pomorskie
oraz kadra i pracownicy wojska.

Z głębokim smutkiem przyjęliśmy
wiadomość o śmierci
śp. płk. Jacka Adamka.

Wyrazy współczucia i żalu

Rodzinie

składają żołnierze i pracownicy wojska Oddziału
Planowania Infrastruktury Zarządu Planowania
Logistycznego – J4 Dowództwa Generalnego
Rodzajów Sił Zbrojnych.

Wyrazy głębokiego współczucia oraz żalu
Pani Monice Grabiec
z powodu śmierci

Ojca

składają koleżanki i koledzy z Oddziału Zasobów
Osobowych Centrum Operacji Morskich –
Dowództwa Komponentu Morskiego.

Pani Monice Grabiec
wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Ojca

składa dowódca Centrum Operacji Morskich –
Dowództwa Komponentu Morskiego wraz
z podległą kadram i pracownikami wojska.

Panu płk. rez. Andrzejowi Domerackiemu
oraz Jego Rodzinie i Bliskim

wyrazy głębokiego współczucia
i szczerze kondolencje z powodu śmierci

Ojca

składają dowódca, żołnierze i pracownicy resortu
obrony narodowej 24 PTBWŁ.

Panu st. szer. Sławomirowi Lipińskiemu
wyrazy szczerzego współczucia i głębokiego żalu
z powodu śmierci

Ojca

składają dowódca, żołnierze i pracownicy wojska
1 Ośrodka Radioelektronicznego w Grójcu.

Naszej Drogiej Koleżance
Pani Małgorzacie Nowakowskiej

wyrazy głębokiego współczucia i żalu
z powodu śmierci

Mamy

składają kierownictwo,
kadra zawodowa i pracownicy Departamentu
Wojskowych Spraw Zagranicznych MON.

Z głębokim żalem żegnamy
Pana Krzysztofa Słomczyńskiego.

Rodzinie Zmarłego

wyrazy szczerzego współczucia
składają dyrektor, kadra i pracownicy wojska
Wojskowego Biura Zarządzania Częstotliwościami.

Nekrologi przyjmujemy tylko w formie elektronicznej. Treść kondolencji należy przesyłać pod adresem: polska-zbrojna@zbrojni.pl
z nagłówkiem wiadomości: „Nekrologi”. Prosimy o telefoniczne potwierdzenie zamieszczenia kondolencji: 261 845 213,
261 845 230, 261 840 227

**Panu ppłk. dypl. Markowi Kurkiewiczowi
i Jego Rodzinie**

słowa otuchy i wyrazy szczerego żalu
oraz głębokiego współczucia z powodu śmierci
Ojca
składają żołnierze i pracownicy wojska Zarządu
Obrony przed Bronią Masowego Rażenia
Inspektoratu Rodzajów Wojsk Dowództwa
Generalnego RSZ.

Pograżonym w żałobie i smutku
Żonie i Rodzinie Zmarłego
ppłk. Grzegorza Kordasza
wyrazy głębokiego współczucia
składają żołnierze i pracownicy
Wydziału Materiałowego
3 Regionalnej Bazy Logistycznej w Krakowie.

**Panu ppłk. Markowi Gołosiowi
oraz Jego Rodzinie**

wyrazy głębokiego współczucia i żalu
z powodu śmierci
Matki
składają komendant, żołnierze i pracownicy wojska
Wojskowego Centrum Kształcenia Medycznego
w Łodzi.

Panu ppłk. pil. Piotrowi Heringowi

wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci
Żony
składają Dowództwo 1 Brygady Lotnictwa
Wojsk Lądowych.

**Panu ppłk. Arturowi Obrębskiemu
oraz Jego Rodzinie i Bliskim**

słowa otuchy, wyrazy głębokiego współczucia
i szczerze kondolencje z powodu śmierci
Ojca
składają żołnierze i pracownicy wojska
Inspektoratu Szkolenia Dowództwa Generalnego
Rodzajów Sił Zbrojnych.

Panu płk. pil. Piotrowi Heringowi

wyrazy głębokiego współczucia
i szczerze kondolencje z powodu śmierci.
Żony
składają dowódcę, żołnierze i pracownicy wojska
56 Bazy Lotniczej w Inowrocławiu.

**Panu por. Remigiuszowi Kowalowi
oraz Jego Najbliższym**

wyrazy głębokiego współczucia
i szczerze kondolencje z powodu śmierci
Żony Marzeny
składają żołnierze i pracownicy
Wydziału Materiałowego 3 Regionalnej Bazy
Logistycznej w Krakowie.

**Panu kmdr. w st. spocz. Janowi Fursewiczowi
oraz Jego Rodzinie**

wyrazy głębokiego współczucia
i szczerze kondolencje
z powodu śmierci
Córki Jolanty
składają komendant, żołnierze
oraz pracownicy wojska
Komendy Portu Wojennego Gdynia.

Panu mjr. Jackowi Kowalskiemu

wyrazy szczerego współczucia i głębokiego żalu
z powodu śmierci
Ojca
składają dowódcę, żołnierze i pracownicy wojska
1 Ośrodka Radioelektronicznego w Grójcu.

Rodzinie i Najbliższym

śp. ppłk. w st. spocz. lek. Zbigniewa Komarewicza
szczerze wyrazy żalu i współczucia
składają komendant, kadra zawodowa i pracownicy
5 Wojskowego Szpitala Klinicznego z Polikliniką
w Krakowie.

Wyrazy głębokiego żalu i szczerego współczucia

Panu Janowi Wzorek

oraz Jego Rodzinie

z powodu śmierci

Mamy

składają szef, żołnierze, strażacy oraz pracownicy
Wojskowej Ochrony Przeciwpowodzi.

Z głębokim smutkiem i żalem przyjęliśmy
wiadomość o śmierci naszego Kolegi

śp. Damiana Fojcika.

W tej trudnej chwili serdeczne wyrazy
współczucia i słowa otuchy

Żonie Ewie, Rodzinie i Najbliższym

składają koleżanki i koledzy

z Agencji Mienia Wojskowego.

Z wielkim smutkiem przyjęliśmy wiadomość
o śmierci naszego kolegi

kpt. Zbigniewa Cygana.

Wyrazy głębokiego współczucia
oraz słowa wsparcia w trudnych chwilach

Rodzinie i Bliskim Zmarłego

składa szef, żołnierze oraz pracownicy
Zarządu Wojsk Radiotechnicznych.

12 sierpnia 2016 roku, w wieku 71 lat,
zmarł zasłużony dla administracji wojskowej
ppłk w st. spocz. Stanisław Drozdowski,
absolwent Oficerskiej Szkoły Wojsk Inżynierskich
we Wrocławiu oraz Wojskowej Akademii
Technicznej w Warszawie,
w latach 1990–1996 zastępca komendanta
WKU w Elku, w latach 1996–2002 wojskowy
komendant uzupełnień w Elku.

Wyrazy szczerego współczucia i głębokiego żalu
Najbliższej Rodzinie

w tych trudnych chwilach

składają szef Wojewódzkiego Sztapu Wojskowego
w Olsztynie oraz żołnierze i pracownicy cywilni
wojskowych komend uzupełnień.

Panu ppłk. Mariuszowi Bruskiemu

oraz Jego Najbliższym

wyrazy głębokiego żalu, szczerego współczucia
i słowa wsparcia
z powodu śmierci

Ojca

składają żołnierze i pracownicy
Wydziału Współpracy Zagranicznej
Oddziału Operacyjnego Inspektoratu Wsparcia
Sił Zbrojnych.



Pamiętamy

st. chor. Sylwester Janik

2 września 2013 r., PKW Afganistan

sierż. Marcin Poręba

4 września 2009 r.,
PKW Afganistan

st. chor. Władysław Wojciechowski

5 września 1989 r., UNTAG Namibia

st. chor. Ryszard Zalewski

5 września 1989 r., UNTAG Namibia

st. sierż. Jan Boleszczuk

5 września 1989 r.,
UNTAG Namibia

kpr. Artur Pyc

8 września 2009 r.,
PKW Afganistan

kpr. Piotr Marciniak

10 września 2009 r.,
PKW Afganistan

por. Piotr Mazurek

12 września 2004 r., PKW Irak

kpr. Grzegorz Nosek

12 września 2004 r., PKW Irak

por. Daniel Różyński

12 września 2004 r., PKW Irak

st. chor. Rafał Celebudzki

16 września 2014 r.,
PKW Afganistan

chor. Kazimierz Kajszcak

20 września 1991 r., UNDOF Syria

płk Bogdan Reczek

21 września 1977 r., UNEF II Egipt

chor. Kazimierz Kasprzak

27 września 2010 r., PKW Afganistan

szer. Józef Zuzański

29 września 1994 r., UNDOF Syria



Piloci w gimnazjum

Mural upamiętnia asów polskiego lotnictwa

MICHAŁ NIWICZ

General Stanisław Skalski, mjr pil. Eugeniusz Horbaczewski oraz samoloty: Messerschmitt Bf 109, Hs 126 i Junkers, które piloci zestrzelili podczas podniebnych walk II wojny światowej, widnieją na muralu na-

malowanym na ścianie warszawskiego **Gimnazjum nr 28 na Gocławiu**. Pomysłodawczynią jest mieszkanka dzielnicy Iwona Szatkowska. Zgłosiła wykonanie malowidła jako propozycję do sfinansowania z budżetu party-

cypacyjnego Warszawy. Na projekt przeznaczono 30 750 zł. Mural wysokości 9 m i szerokości 16 m zaprojektowali i wykonali Wojtek Woźniak oraz Marcin Budziński, autorzy m.in. muralu „Wilki” w Gdańsku. EK ■



P W P W

Uratowali polskie złoto

Powstały banknoty z wizerunkami oficerów

Druki przygotowała Polska Wytwórnia Papierów Wartościowych. Jak powiedział jej prezes Piotr Woyciechowski, w ten sposób PWPW chciała uhonorować dwóch bohaterów: płk. Ignacego Matuszewskiego i mjr. Henryka Floyara-Rajchmana. Druki nie mają nominalów i nie zostaną wprowadzone do obiegu. O tym, kto otrzyma banknoty, zadecydują

przedstawiciele Wytwórni oraz Wojskowego Biura Historycznego. Płk Matuszewski był m.in. szefem Oddziału II Naczelnego Dowództwa odpowie-

dzialnym za wywiad wojskowy oraz ministrem skarbu w II Rzeczypospolitej. Mjr Floyar-Rajchman służył m.in. w Biurze Inspekcji Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych, był ministrem przemysłu i handlu II RP. Obaj oficerowie na polecenie polskiego rządu we wrześniu 1939 roku nadzorowali ewakuację 75 t złota Banku Polskiego do Francji. Majątek ten pomógł w tworzeniu polskiej armii i działalności rządu emigracyjnego. W 1941 roku żołnierze przedostali się do USA, gdzie organizowali ruch polonijny. Spoczywają na nowojorskim cmentarzu, a ich szczątki mają zostać sprowadzone do Polski i spocząć na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach. MM ■

Kajakiem po Wiśle

Podczas wyprawy walczył z żywiołem i z chorobą

Andrzej Michalik z Centrum Wsparcia Teleinformatycznego Sił Zbrojnych pokonał kajakiem najdłuższą polską rzekę – Wisłę. W drodze walczył nie tylko z żywiołem, lecz także z cukrzycą, na którą cierpi od dziecka. Do pokonania blisko tysiąca kilometrów przygotowywał się rok. Przez ten czas ćwiczył na siłowni i kompletował ekwipunek. Mimo nieplanowanych postojów – z powodu awarii kajaka oraz zatrucia – udało mu się pokonać tę trasę w ciągu trzech tygodni. Teraz chciałby spełnić swoje kolejne marzenie, którym jest lot myśliwcem. „Z powodu choroby nie mogłem zostać żołnierzem, ale może kiedyś uda mi się zasiąść w takim samolocie, chociażby na miejscu pasażera”, mówi. MM ■

KSIĄŻKA

Świadek prawdy

Był jedynym polskim oficerem, który uniknął losu współtowarzyszy z obozu w Kozielsku.

Przed II wojną światową Stanisław Swianiewicz był wykładowcą ekonomii na Uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie. Jako porucznik rezerwy w wieku 40 lat został zmobilizowany do wojska i brał udział w kampanii wrześniowej. Kiedy przedzierał się na Węgry, trafił do sowieckiej niewoli i obozu w Kozielsku. 29 kwietnia wraz z grupą



Stanisław Swianiewicz

innych Polaków trafił transportem kolejowym na stację Gniezdowo. Tam wywołano go i kazano stanąć z boku. Swianiewicz był przekonany, że oddzielono go od innych, aby go rozstrzelać. Przypadek sprawił, że to jemu jedyńemu spośród ponad 4 tys. polskich oficerów kozielskich było dane zobaczyć i przeżyć zbrodnię katyńską.

Nakładem Wydawnictwa LTW ukazały się wspomnienia Stanisława Swianiewicza z tamtych czasów. „W cieniu Katynia” to najprawdopodobniej jedno z najlepiej zachowanych wspomnień opisujących losy polskich oficerów wziętych do niewoli przez Armię Czerwoną po wrześniu 1939 roku i wyjątkowa relacja ocalałego naocznego świadka zbrodni katyńskiej.

JAKUB NAWROCKI

Stanisław Swianiewicz, „W cieniu Katynia”, Wydawnictwo LTW, 2016



KSIĄŻKA

Zbrojne narzędzie reżimu

Licząca prawie 900 stron książka jest poświęcona powstaniu, działalności oraz strukturze Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Autor nie tylko dotarł do unikatowych dokumentów źródłowych, ale jako były wojskowy kompetentnie je przedstawił czytelnikom. Przez lata dowództwo i sztab KBW w dużej części składały się z radzieckich oficerów w polskich mundurach, a żołnierzy do tej formacji przyjmowano według kryterium klasowego, czyli albo byli to działacze partii komunistycznej, albo członkowie rodzin osób należących do tej partii.

Walczyli oni ze zbrojnym podziemiem, chronili obiekty rządowe, konwojowali więźniów politycznych. Wojska te borykały się nieustannie z problemami doboru kadry i żołnierzy, fatalnego zaopatrzenia, wreszcie ze zjawiskiem masowych dezercji. Ratunkiem mieli być kadeci, w których szeregach szkolił się m.in. znany satyryk Jan Pietrzak.

Autor wiele pisze o podziemiu antykomunistycznym i jego zwalczaniu przez KBW. Korpus był słabo przygotowany do prowadzenia takich działań. Wiele zamętu

wywoływały tarcia między polskimi komunistami a oficerami radzieckimi, istniała też silna konkurencja między KBW a ludowym Wojskiem Polskim. Autor wychodzi poza główny zakres rozważań, dlatego czytelnik otrzymuje szeroki obraz sytuacji międzynarodowej i wewnętrznej w tamtych czasach.

JACEK POTOCKI

Lech Kowalski, „Korpus Bezpieczeństwa Wewnętrznego a żołnierze wykłęci”, Zysk i S-ka, 2016

KSIĄŻKA

Szlachetny Żyd słucha Hitlera



Z takim samym zaangażowaniem mówi o obozach koncentracyjnych czy nienawiści do Żydów, jak i o ulubionych czekoladkach i diecie warzywnej.

W gabinecie lekarza Eduarda Blocha 14 stycznia 1907 roku pojawiła się pacjentka, Klara Hitler. Okazało się, że ma raka piersi i jest konieczna operacja. Doktor Bloch zakomunikował tę smutną wiadomość jej dzieciom, szczególną uwagę zwracając na najmłodszego syna, Adolfa, najbardziej „przygniecionego cierpieniem”. W ten sposób, trochę przewrotnie, los połączył austriackiego Żyda i jednego z największych zbrodniarzy w historii ludzkości, odpowiedzialnego za masową eksterminację ludności wyznania mojżeszowego. Klara Hitler zmarła, ale jej syn nie zapomniał „szlachetnemu Żydowi”, jak nazywał lekarza, jego zaangażowania i troskliwości – w zamian

otoczył go „opieką”, swoistym parasolem ochronnym, co pozwoliło przetrwać Blochowi czasy dojścia nazistów do władzy i spędzić lata wojny w ukryciu.

W kwietniu 1945 roku, kiedy losy II wojny światowej były już przesądzone, Bloch dostał od swojego „opiekuna” propozycję nie do odrzucenia – ma spisać ich rozmowę, wywiad rzekę, ale z zastrzeżeniem, że zostanie upubliczniona dopiero po śmierci Führera. Oslupiały lekarz następnego dnia stawia się w bunkrze na pierwszą część rozmowy...

Czytelnicy, którzy sięgną po książkę „Spowiedź Hitlera. Szczera rozmowa z Żydem”, opracowaną przez niemieckiego pisarza Christophera

Machta, mogą liczyć na lekturę pełną emocji, wobec której trudno pozostać obojętnym. **Przywódca III Rzeszy okazuje się rozmówcą szalenie trudnym.** Sam narzuca tematy, wątki, szybko się złości, co chwilę obraża, grozi Blochowi rozstrzelaniem. Mimo wszystko udaje się im poruszyć wątki dotyczące dzieciństwa i młodości kanclerza, stosunku do ojca, epizodów z życia w Wiedniu czy podejścia do okultyzmu. Hitler rzeczowo wyłuszcza swoją teorię rasową, opowiada o pseudomedycznych eksperymentach czy komorach gazowych. Z takim samym zaangażowaniem mówi o obozach koncentracyjnych czy nienawiści do Żydów, jak i o ulubionych czekoladkach. ■

KATARZYNA PIETRASZEK

„Spowiedź Hitlera. Szczera rozmowa z Żydem”, oprac. Christopher Macht, Bellona, 2016

KSIĄŻKA

Nauczyciel znów w akcji

Uniwersum Metro 2033” ponownie zaprasza do ogarniętego chaosem po wojnie nuklearnej Wrocławia. Zaczynając lekturę, można poczuć się jak w domu, wśród Pasów, Dresów, Czystych, lekteryków i innych mieszkańców podziemnych enklaw, którzy byli częścią świata przedstawionego przez Roberta J. Szmidta w „Otchłani”, poprzedniej powieści jego autorstwa z cyklu. Tym razem bohater Szmidta, Paweł Remer, ostatni Czarny Skorpion, znany także jako Duch, Nauczyciel, Pamiętający, ma do wykonania

kolejną misję. Teraz już jako przywrócony do służby żołnierz Wojska Polskiego, Nauczyciel ma pomóc w wyprowadzeniu uciekinierów z ogarniętego kryzysem Nowego Watykanu. Misja, i tak niełatwa, jest jeszcze bardziej uciążliwa, gdy się okazuje, że Remerowi ma pomóc dobrze mu znana i niezwykle irytująca dziewczyna, Iskra. W dodatku wyznaczone dla tej dwójki zadanie było jedynie prelude do wydarzeń, z jakimi muszą się zmierzyć... I do konsekwencji, których w życiu nie mogli by przewidzieć.



Niebanalni bohaterowie, dosadny język, wartka akcja i duszny świat podziemnego Wrocławia, przy którym twórcy Mad Maxa mogą się schować, to wystarczająca zachęta do tego, aby skusić się na lekturę „Wieży”. A dla tych, którzy zechcą mieć egzemplarz powieści w swojej biblioteczce, dodatkowa korzyść – dołączony do niej kolejny już zbiór opowiadań fanów projektu Dmitrija Głuchowskiego. Bonusem jest umieszczone w zbiorze opowiadanie Pawła Majki, od którego „Dzielnicy obiecanej” zaczęła się moja przygoda z „Uniwersum Metro 2033”. ■

JOANNA ROCHOWICZ

Robert J. Szmidt, „Wieża”, Insignis, 2016

KSIĄŻKA

Czerń i biel

Ogromne pieniądze zderzają się tu z wielowiekowymi tradycjami Beduinów.

Tutaj zakupy w centrum handlowym to przede wszystkim pretekst do wzięcia udziału w rytuale uwodzenia. Jest to jedyne miejsce, gdzie kobiety i mężczyźni mogą w niezobowiązujący sposób nawiązać ze sobą kontakt. Mężczyźni w białych kandurach przemykają między kobietami osłoniętymi czarnymi abajami, szepcząc im ukradkiem swój numer telefonu. „To towarzyska mekka, do której codziennie pielgrzymują młodzi Emiratczycy. Czerń i biel narodowych strojów, przeciwstawne żywioły, damska i męska szachownica, antypody na palecie kolorów i ról społecznych łączą się w jeden wartki i niebezpieczny nurt”, jak pisze Aleksandra Chrobak w „Beduinkach na Instagramie”.

Autorka, absolwentka reli-

gioznawstwa i studentka iraniistyki, spędziła kilka lat w Zjednoczonych Emiratach Arabskich. I choć na początku kobiecie ze świata zachodniego trudno było się odnaleźć w społeczności arabskiej, zakochała się w tym kraju i jego mieszkańcach. To uczucie widać w książce, w sposobie, w jaki opisuje to miejsce pełne skrajności.

Na pierwszy rzut oka wszystko jest tam albo białe, albo czarne – jak oficjalne stroje mężczyzn i kobiet. Aleksandra Chrobak z jednej strony pokazuje Dubaj pełen szklanych wieżowców i bajecznie drogich samochodów, a z drugiej baraki, gdzie w dramatycznych warunkach mieszkają napływowi pracownicy fizyczni. Ekskluzywny świat kobiet, które robią zakupy w Londynie, zderza z codziennymi trudami tamtejszych służących.



Częsty jest tam np. widok starszej kobiety ubranej w tradycyjną beduińską maskę i z ozdo-

bionymi henną dłońmi, w których trzyma najnowszy model iPhone'a i sprawnie się nim posługuje, choć nie umie czytać. To państwo powstało niecałe 50 lat temu i przez tak krótki czas zrobiło niesamowity przeskok technologiczny. Ogromne pieniądze zderzają się w nim z wielowiekowymi tradycjami Beduinów, którzy niedawno żyli w namiotach na pustyni. Aleksandra Chrobak zachęca do poznania tego wyjątkowego miejsca, ale ostrzega, że ta ekskluzywna nowoczesność może zmylić. Panuje tam bowiem mnóstwo niepisanych praw typowych dla społeczności muzułmańskich.

ANETA WIŚNIEWSKA

Aleksandra Chrobak, „Beduinki na Instagramie”, Znak, 2016



KSIĄŻKA

Bezradność

Czy tacy żołnierze jak Dražen lub Dirk mogli zmienić bieg zdarzeń w Srebrenicy?

Pamięta, że wtedy na palcu zrobił mu się pęcherz od zabijania ludzi. Ile razy pociągnął wówczas za spust? 16 lipca 1995 roku – ta data odcisnęła piętno na całym jego życiu. „Ilu osobom odebrałem życie? Dziesięciu? Stu? Zaczynam

myśleć. [...] Dzisiaj zamordowałem przynajmniej siedemdziesiąt osób. Mój Boże, już nie mogę sobie przypomnieć ich twarzy”.

Niewiele ponad 20 lat miał Dražen Erdemović, kiedy wybuchła wojna w byłej Jugosławii. Ten pół-

-Serb pół-Chorwat nie angażował się po żadnej ze stron konfliktu. Kiedy jednak coraz trudniej było mu utrzymać rodzinę w spustoszonej przez wojnę kraju, postanowił emigrować. Musiał tylko zdobyć na to fundusze. I właśnie ze względów finansowych zaciągnął się do serbskiej armii. Trudno było się mu dostosować do panujących tam zasad, nie zgadzał się na gwałt, jaki żołnierze stosowali wobec ludzi. Odmówił też wykonania rozkazu egzekucji na mężczyznach przywiezionych ze Srebrenicy. W końcu jednak pod presją to zrobił. Ale kiedy powołano



WYDARZENIE

Bitwa nad Bzurą po 77 latach

W Sochaczewie i w Łomiankach 7–18 września 2016 roku odbędą się wspólne uroczystości 77. rocznicy bitwy nad Bzurą, jedynej bitwy kampanii polskiej 1939 roku, która wyniknęła z inicjatywy operacyjnej polskiego dowódcy gen. dyw. Tadeusza Kutrzeby. Dzięki natarciu żołnierzy z Wielkopolski i Pomorza Warszawa umocniła obronę i mogła trwać jako jedyna z ostatnich redut września 1939 roku. Inicjatywa operacyjna gen. Tadeusza Kutrzeby udowodniła, że żołnierze polscy potrafili przeprowadzić zwrot zaczepny na wielką skalę. Uderzać. Zmuszać do odwrotu Niemców. 20 września dowódca 8 Armii niemieckiej gen. Johannes Blaskowitz napisał w rozkazie o „jednej z największych, wyniszczających bitew wszystkich czasów”.

W obu miejscowościach znajdują się ogromne cmentarze wojenne – na sochaczewskich spoczywa 4 tys. polskich żołnierzy, a w Łomiankach – 2700 osób i władze obu miejscowości co roku oddają hołd poległym. Nic więc dziwnego, że od lat w tym rejonie odbywają się największe rekonstrukcje historyczne, poczynając od zorganizowanej w 2002 roku rekonstrukcji bitwy nad Bzurą w Brochowie, a później w Sochaczewie i w Łomiankach. **Wszystkie te wydarzenia koordynuje Muzeum Ziemi Sochaczewskiej i Pola Bitwy nad Bzurą** – placówka z ponad 40-letnią tradycją, w której swoje pamiątki złożyli uczestnicy bitwy i ich rodziny.

17 września w Sochaczewie uroczystości rozpoczną się o godz. 14.00

na cmentarzu wojennym w Trojanowie, a potem o godz. 16.00 na sochaczewskim placu Tadeusza Kościuszki sztandar wojskowy dostanie 38 Dywizjon Zabezpieczenia Obrony Powietrznej, noszący imię obrońcy Sochaczewa w 1939 roku, mjr. Feliksa Kozubowskiego, dowódcy II Batalionu 18 Pułku Piechoty. Uroczystości zakończy o godz. 19.00 wielka rekonstrukcja historyczna w rejonie wzgórza zamkowego „Obronić Miasto – Sochaczew 1939”.

Następnego dnia w Łomiankach w rekonstrukcji historycznej „Bitwa pod Łomiankami 1939”, niedaleko od historycznego miejsca, gdzie 19 września 1939 roku miała miejsce ostatnia szarża kawalerii II Rzeczypospolitej – 14 Pułku Ułanów Jazłowieckich, zostaną przypomniane niezwykle dzieje polskiej jazdy i kawalerii. Udział zapowiedziały najlepsze polskie konne grupy rekonstrukcyjne.

Uroczystości patronatami honorowymi objęli: prezydent RP Andrzej Duda (Sochaczew) i minister obrony narodowej Antoni Macierewicz (Łomianki). PR ■

W więcej informacji na portalu historii ożywionej www.dobroni.pl

Międzynarodowy Trybunał Karny dla byłej Jugosławii, sam się zgłosił i przyznał do winy. Jest jedynym żołnierzem z 10 Pułku Sabotażowego, który został osądzony jako zbrodniarz wojenny.

Dražen Erdemović jest bohaterem znakomitej powieści Marca Maginiego, ale autor pokazał dramat nie tylko tego żołnierza. W „Jakby nikogo nie było” prowadzi narrację w imieniu trzech osób. Oprócz autentycznej postaci, wprowadza dwie fikcyjne, idealnie wpisujące się w tamtejsze realia. Dirk, żołnierz holenderski, pokazuje konflikt z per-

spektywy przedstawiciela sił ONZ. Niemal pod ich nosem dokonało się największe ludobójstwo w Europie od czasu II wojny światowej. W ich obecności przeprowadzano m.in. selekcję ludzi, którzy mieli zostać rozstrzelani. Dramat tego szeregowego żołnierza, który beczynnemu musiał przyglądać się tamtej tragedii, nie ustępuje traumie Erdemovicia. Całości niejako dopełnia opowieść Romea Gonzáleza, sędziego Międzynarodowego Trybunału Karnego dla byłej Jugosławii. Jego dylematy przywodzą mi na myśl decyzję Tadeusza Mazowieckiego, który po

trzech latach badania w imieniu ONZ-etę czystek etnicznych na Bałkanach zrezygnował z tej funkcji. „Obecnie uświadomić sobie trzeba i naturę tych zbrodni, i odpowiedzialność Europy i społeczności międzynarodowej za własną bezradność”, napisał wówczas w proteście do sekretarza generalnego ONZ-etę. I to właśnie uczucie bezradności łączy trzech bohaterów książki Marca Maginiego. ■

ANETA WIŚNIEWSKA

Marco Magini, „Jakby nikogo nie było”, Prószyński i S-ka, 2016



KSIĄŻKA

Rząd dusz za Azeroth

Dziesięć tysięcy lat spędził w więzieniu Illidan, nocny elf spaczony złą magią. Oskarżony o zdradę, został uwięziony przez ukochaną Tyrande i brata Malfuriona Stormrage'a. Cały ten czas planował ostateczną rozgrywkę z Płonącymi Legionami demonów. Gdy Tyrande uwalnia go z więzienia, Illidan rozpoczyna krucjatę. Gromadzi własne wojsko, a w nim wybrańców – łowców demonów. Jednak bezwzględność Illidana i mroczna magia, którą się posługuje, powodują, że jego motywy dla wielu wciąż nie są jasne. Wśród zgroma-

dzonych wokół potężnego wojownika istot czają się wrogowie, którzy bardziej niż zagłady armii demonów pragną śmierci przywódcy. W dodatku jego tropem podąża owładnięta żądzą zemsty Maiev Shadowsong, strażniczka więzienna. Od początku wiadomo, że wszystko zmierza do upadku. Tylko czyj to będzie upadek? Illidana czy demonów?

„Illidan” to kolejne dzieło z cyklu „World of Warcraft”, universum Blizzarda, najpopularniejszej chyba gry z gatunku MMORPG (massively multiplayer online role-playing ga-

me), a jednocześnie prequell szóstego rozszerzenia do niej („Legion”). Autorem jest William King, który ma na swoim koncie również książki osadzone w świecie Warhammera. Tytułowy bohater, jak zapewne wszyscy fani gry doskonale wiedzą, nie jest postacią stworzoną przez Kinga. Bracia Stormrage pojawiają się w trzeciej części gry i tam głównie można śledzić historię ich konfliktu i przemiany Illidana w demona za pomocą czaszki Gul'dana. Po powieść Kinga spokojnie mogą sięgnąć również ci, którzy nie dali się jeszcze wciągnąć w wirtualny świat Warcrafta i wolą zakończyć przygodę z nim na czytaniu. Na pewno nie stracą. ■

JOANNA ROCHOWICZ
William King, „Illidan”, Insignis, 2016

KSIĄŻKA

Pokolenia Holocaustu

Chciała się zmierzyć z przeszłością swojej rodziny, dlatego przetłumaczyła pamiętniki matki.

Mawia się, że w rodzinie każdego Localonego wybiera się jedno dziecko, by stało się »świeczką pamięci«. Ma ono kontynuować żałobę, a swoje życie poświęcić na podtrzymywanie pamięci o Shoah”. W rodzinie, o której mowa w książce „Pamięć jest moim domem”, tę odpowiedzialność wzięła na siebie Suzanna, córka polskich Żydów,

których rodziny albo dokonały żywota w komorach gazowych Auschwitz, albo poumierały w wyniku głodu i chorób w okupowanej Polsce.

Za namową profesora Eliego Wiesela, ocalonego z Zagłady, na którego wykłady uczęszczała na Wydziale Studiów Żydowskich w City College w Nowym Jorku, kobieta postanowiła zmierzyć się z przeszłością swojej rodziny i przetłumaczyć pamiętniki matki, Romy Talasiewicz, aby dać świadectwo losów ocalonych z traumy wojennej. Sama zaczęła zdawać sobie sprawę z tego, jak wielkie piętno na niej, drugim pokoleniu, odcisnęło dorastanie w cieniu Holocaustu.

Roma Talasiewicz, urodzona w 1917 roku, spisała w pamiętniku losy swojej rodziny, począwszy od biednego dzieciństwa spędzonego w Warszawie. Osierocona najpierw przez ojca, potem matkę, wychowy-

wała się wraz z pięciorgiem rodzeństwa, które bardzo wcześnie musiało zacząć zarabiać. Ale bracia i siostry dzielnie trzymali się razem. Coraz częściej zaczęły się pojawiać niepokojące wiadomości o zbliżającej się wojnie z III Rzeszą, atmosfera w mieście stawała się coraz gorsza. Przed wojenną zawieruchą Roma uciekła do Związku Sowieckiego, gdzie ciężko pracując, z dala od najbliższych, spędziła sześć lat. Kiedy w 1946 roku wróciła do Polski, okazało się, że nikt z jej rodziny nie ocalał, choć długo z nadzieją szukała bliskich za pośrednictwem Czerwonego Krzyża. Takie same doświadczenia dzielił Abram, jej przyszły mąż – cała jego rodzina została unicestwiona w nazistowskich obozach. Ani jedno, ani drugie nie pogodziło się z utratą bliskich i przez resztę życia zmagало się z traumą Holocaustu. ■

KATARZYNA PIETRASZEK
Suzanna Elbuszyc, „Pamięć jest naszym domem”, Prószyński i S-ka, 2016



KSIĄŻKA

Perfekcyjny morderca

Höss w przerażający sposób pokazał, do czego może doprowadzić człowieka absolutne posłuszeństwo.

Opinia publiczna [...] chce widzieć we mnie żadną krwi bestię, okrutnego sadystę, masowego mordercę, ponieważ szerokie masy nie potrafią inaczej przedstawić sobie komendanta Auschwitz. Nigdy nie byłyby w stanie zrozumieć, że on także miał serce, że nie był zły”, tak o sobie pisał Rudolf Höss. I choć trudno się z nim zgodzić, to ta postać idealnie wpisuje się w teorię Hannah Arendt o banalności zła. On, podobnie jak Adolf Eichmann, nie był owładniętym żądzą zabijania sadystą, lecz gorliwie wykonującym rozkazy żołnierzem, urzędnikiem. „Radość odczuwał najwyżej wtedy, gdy przyzwoicie wykonał swoją »pracę«,” jak napisał w jego biografii Volker Koop. „Höss w przerażający sposób pokazał, do czego może doprowadzić człowieka absolutne posłuszeństwo”.

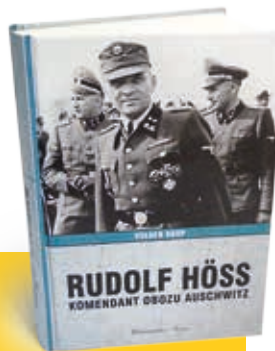
Ze skrupulatnością gorliwego urzędnika wykonywał polecenia Heinricha Himmlera... A że dostał rozkaz stworzenia obozu będącego maszyną śmierci, to, według Hössa, było kwestią drugorzędną. Tym łatwiej przychodziło mu bezwzględne posłuszeństwo, że nie podawał w wątpliwość np. nazistowskiego sposobu selekcji więźniów. Głęboko wierzył, że Żydów należy zgładzić, bo zagrażają niemieckiemu narodowi. W czasie procesu po II wojnie światowej Höss nie wypierał się tego, co zrobił. Nie zgadzał się jednak z twierdzeniem, że zabijał ludzi: „Nigdy sam nie maltretowałem żadnego więźnia ani też nie zabiłem. [...] Gdy teraz, w trakcie śledztwa, słuchać muszę, jak okropne dręcze-

nie odbywało się w Auschwitz, przechodzi mnie zimny dreszcz”. Przekonywał sędziów, że wzorowo prowadził więzienie. I prawdopodobnie wierzył w to, co mówił, choć tłumaczył to na swój chory sposób. Bo z jednej strony faktycznie wielokrotnie występował o fundusze, które pozwoliłyby na poprawę warunków w obozie, z drugiej jednak sam kradł przeznaczoną dla więźniów żywność, którą jego żona serwowała na wystawnych przyjęciach. **Z jednakowym zaangażowaniem wydawał rozporządzenie o tatuowaniu na rękach numerów więźniów, jak i zakaz zrywania bzu ze względu na estetykę otoczenia.**

Wiele już napisano na temat komendanta obozu w Auschwitz. Warto jednak zwrócić uwagę na biografię Volkera Koopa, ponieważ obala wiele mitów na temat tej postaci. Przede wszystkim autor rozprawia się z tym, co na swój temat mówił i pisał sam Höss. Udowadnia, że podawał on w większości nieprawdziwe informacje, nawet tak podstawowe jak data urodzenia. Volker Koop pokazuje ponadto, że w wypadku tego człowieka nazistowska ideologia trafiła na wyjątkowo podatny grunt. Przy czym gdyby dostał on rozkaz przygotowania filmu o dokonaniach Hitlera lub zbudowania gmachu opery – każde z tych poleceń wykonałby śpiewając. Tyle że Höss uruchomił maszynę, która doprowadziła do śmierci tysięcy ludzi... ■

ANETA WIŚNIEWSKA

Volker Koop, „Rudolf Höss. Komendant obozu Auschwitz”, Prószyński i S-ka, 2016



POD NASZYM PATRONATEM

Pamięć o żołnierzach Andersa

Muzeum Wojska Polskiego oraz Urząd ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych przygotowały wystawę „Na nieludzkiej ziemi... Armia Polska w ZSRR 1941–1942”. Ma to być sposób na upamiętnienie powstania polskich sił zbrojnych na wschodzie oraz oddanie hołdu gen. Władysławowi Andersowi, który nimi dowodził. Na wystawie można zobaczyć mundury polskich żołnierzy oraz ich przedmioty osobiste – mieniącą się w Katyniu, sandały zrobione przez jednego z żołnierzy w Kozielsku, naramienniki czy orzełka na czapkę wykonanego z łyżki aluminiowej. Wśród eksponatów znajdują się także dokumenty potwierdzające przynależność żołnierzy do poszczególnych jednostek, zaświadczenia o odbyciu służby wojskowej czy zezwolenia na robienie fotografii.

W muzeum po raz pierwszy zaprezentowano także **sztandar 8 Dywizji Piechoty**, który z uwagi na ewakuację żołnierzy do Iranu w 1942 roku, nigdy nie został im przekazany. Tę pamiątkę przechowywała w USA rodzina gen. Bronisława Rakowskiego, dowódcy tej formacji. Trudno nie zwrócić też uwagi na powstałą w 1942 roku gazetkę ścienną żołnierzy 22 Pułku Piechoty czy na obrus i sztuce, które były używane w trakcie przyjęcia wydanego przez gen. Andersa na cześć gen. Władysława Sikorskiego w 1941 roku. ■

MAGDALENA MIERNICKA

Ekspozycję w Muzeum Wojska Polskiego można oglądać do 18 grudnia 2016 roku.

ANDRZEJ
FĄFARA

Wojna prawdę ci powie



Rzetelności sojuszników nie da się ocenić podczas pokoju. Można ją zweryfikować tylko po wybuchu wojny. Wtedy dopiero okazuje się, ile są warte deklaracje pomocy i odsiecz. We wrześniu 1939 roku Polska czekała na ów moment prawdy aż 12 dni. Wcześniej były obietnice i złudzenia. Wypowiedzenie wojny Niemcom przez Wielką Brytanię i Francję, obwieszczone 3 września, nie spowodowało żadnych konkretnych działań. Nasi się bili, a rzekomi sojusznicy obserwowali rozwój sytuacji.

12 września w pikardyjskim miasteczku Abbeville doszło do tajnego spotkania premierów Francji i Wielkiej Brytanii. Tam złudzenia prysły. Panowie Edouard Daladier i Neville Chamberlain ustalili, że nie będą specjalnie utrudniać Niemcom sytuacji. „Podjęcie operacji na wielką skalę na samym początku byłoby błędem”, stwierdził szef francuskiego rządu.

A na małą skalę? Wyglądało to tak, że armie francuska i niemiecka nawet nie udawały, że walczą. Kuriozalnie brzmi opowieść o tym, jak Francuzi na jakimś odcinku frontu wywiesili napis: „Prosimy nie strzelać. My nie strzelamy.”. Wtedy Niemcy natychmiast podchwycili tę deklarację i odpisali: „Jeśli wy nie strzelacie, to i my nie będziemy strzelać”. Zamiast wymiany ognia – wymiana napisów. Niemcy znaleźli dobre określenie dla tej sytuacji: sitzkrieg, czyli siedząca wojna. Nawet podwórkowe zabawy bywają poważniejsze.

Tego samego dnia, gdy panowie Daladier i Chamberlain doszli w Abbeville do wniosku, że Polskę można pozostawić samą sobie, zmotoryzowane oddziały niemieckie dotarły pod Lwów. Dwa dni później Niemcom udało się zakończyć okrążanie sił polskich pomiędzy Wisłą a Bugiem. Zamknęła się też pętla wokół Warszawy. A 17 września granice Rzeczypospolitej przekroczyła Armia Czerwona. Wieści, które napłynęły do Moskwy z Pikardii, na pewno miały wpływ na tę decyzję Józefa Stalina. Oto jak po ponad dwóch tygodniach wojny wyglądała prawda o naszych wspaniałych sojuszach. Gdyby ktoś próbował wieszczyć coś takiego przed 1 września, zostałby nazwany kłamcą i oszczercą.

Zdaję sobie doskonale sprawę z tego, że historia świata jest pełna złamanych paktów i niespełnionych obietnic. Można by powiedzieć: taka jest polityka, i po prostu postawić kropkę. Niestety, w każdym podobnym przypadku zawsze pozostaje fatalne przesłanie. Takie mianowicie, że można coś w blasku fleszy podpisać, uroczystie przyrzec, po czym powiedzieć: excusez-moi (albo sorry), to był błąd, sytuacja się zmieniła. Szary człowiek ma prawo pomyśleć, że skoro Daladier i Chamberlain mogli, to i on może.

I jeszcze jedno. Pikardyjskie miasteczko Abbeville zostało wyzwolone we wrześniu 1944 roku przez żołnierzy 1 Dywizji Pancernej gen. Stanisława Maczka. Ironia historii w najczystszej postaci...

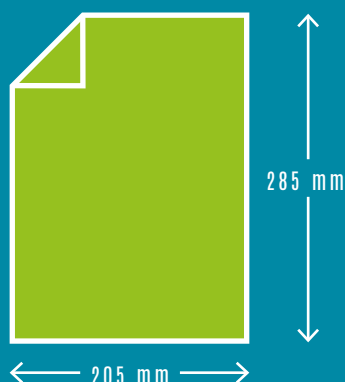


Wojskowy Instytut Wydawniczy, wydawca m.in. „Polski Zbrojnej”, „Przeglądu Sił Zbrojnych”, „Kwartalnika Bellona” oraz portalu polska-zbrojna.pl, serdecznie zaprasza do współpracy marketingowej w wydaniach specjalnych.

REKLAMA I PROMOCJA NA ŁAMACH WYDAWNICTW SPECJALNYCH

Wydania specjalne:

- **Jubileusz 95-lecia Polski Zbrojnej** (5.10.2016)
- **Prezentuj Broń – Cyber Security 2016** (17–19.11.2016)



REKLAMA	
IV okładka	8000 PLN
II okładka	7000 PLN
III okładka	6000 PLN
wewnątrz	5000 PLN

ARTYKUŁ SPONSOROWANY	
tekst + grafika	5000 PLN
tekst	5000 PLN

Upusty:

10% – współpraca w dwóch tytułach specjalnych

20% – współpraca w min. trzech tytułach specjalnych

* wszystkie ceny są w kwotach netto

Wydawnictwa specjalne WIW-u regularnie trafiają do Kancelarii Prezesa Rady Ministrów i Kancelarii Prezydenta RP, przedstawicieli rządu, przedstawicielstw wojskowych w Polsce, departamentów Ministerstwa Obrony Narodowej, dowództw i instytucji wojskowych, dowódców, żołnierzy, pracowników i fanów wojska. Dodatkowo są dystrybuowane także podczas targów, konferencji, imprez oraz innych wydarzeń z udziałem i pod patronatem Wojskowego Instytutu Wydawniczego.

Zapraszamy do współpracy!!!

wiw
WOJSKOWY INSTYTUT WYDAWNICZY

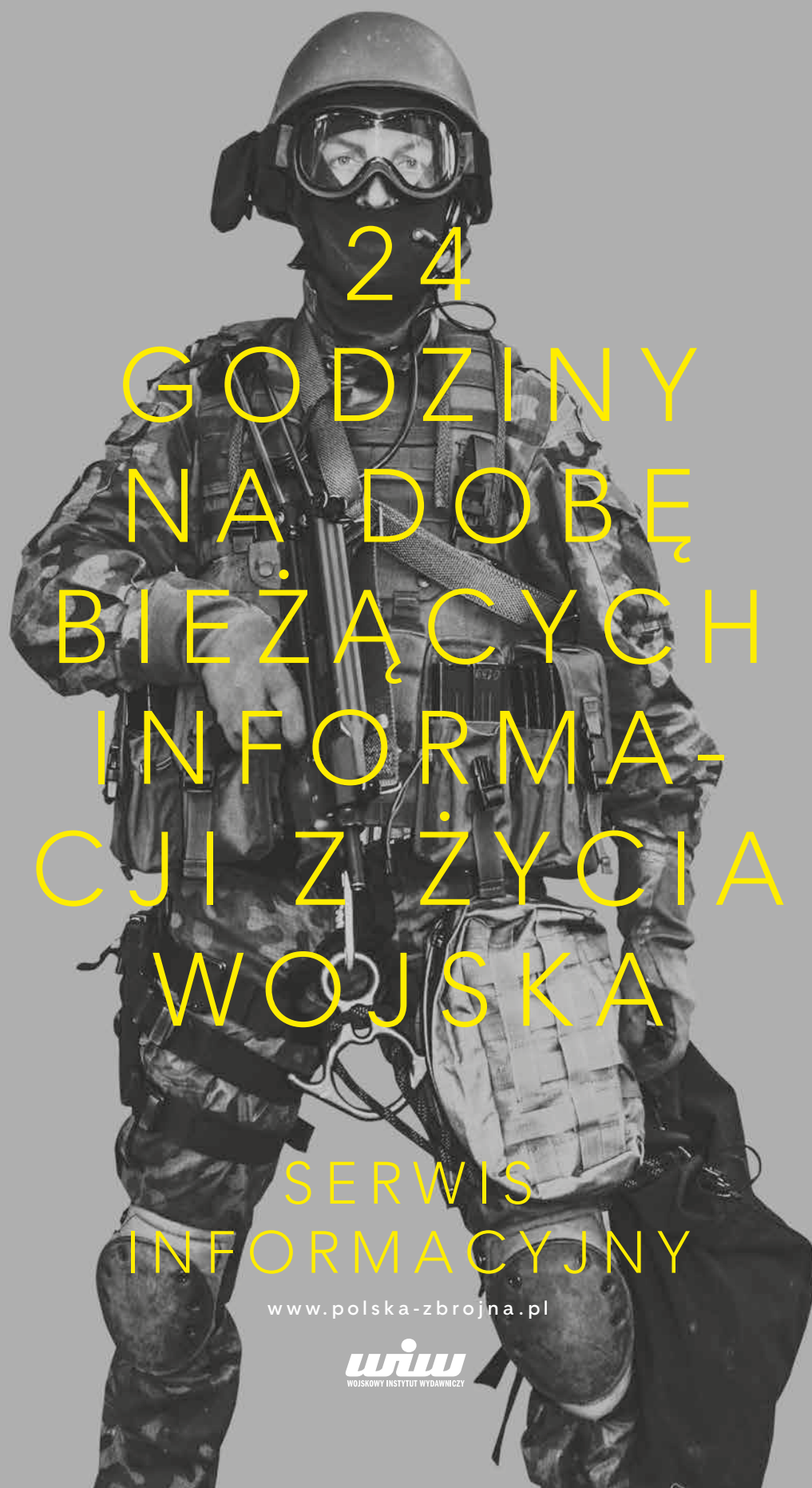
Aleje Jerozolimskie 97, 00-909 Warszawa, tel.: +48 261 845 365, e-mail: sekretariat@zbrojni.pl

Wydział Marketingu i Promocji

tel.: +48 261 845 180, e-mail: reklama@zbrojni.pl



POLSKA-ZBROJNA.PL



24
GODZINY
NA DOBĘ
BIEŻĄCYCH
INFORMA-
CJI Z ŻYCIA
WOJSKA

SERWIS
INFORMACYJNY

www.polska-zbrojna.pl

wiiw
WOJSKOWY INSTYTUT WYDAWNICZY